

ELENA VARVELLO
CZY MNIE SŁYSZYSZ?



ELENA VARVELLO
CZY MNIE SŁYSZYSZ?

PRZEŁOŻYŁA
Monika Woźniak

WYDAWNICTWO LITERACKIE

© 2016 Giulio Einaudi editore s.p.a., Torino
All right reserved
© Copyright for the Polish translation by Monika Woźniak
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2018
TYTUŁ ORYGINAŁU: "La vita felice"

PROJEKT GRAFICZNY OKŁADKI: Marek Pawłowski
ILUSTRACJE: © Tony Watson/Arcangel Images
REDAKTOR PROWADZĄCY: Lucyna Kowalik
REDAKCJA: Anna Milewska
KOREKTA: Maria Wolańczyk, Małgorzata Wójcik

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
fax: (+48-12) 430 2519 tel.: (+48-12) 619 27 70

ISBN: 978-83-08-06654-6

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark). Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Spis treści

W lasach

Prawda (1)

I

Anna

II

Dziewczyna

III

Czcij ojca

IV

Mur

V

Nie możesz odejść

VI

Śmiech

VII

Wodospady

VIII

Urodziny

IX

Ludzie

X

Właściwa chwila

XI

Szczęśliwe życie

XII

Niedziela

XIII

Koniec lata

XIV

Jestem tutaj

XV

Potem

XVI

Tam na dole

XVII

Prawda (2)

Życie

*In talking about the past we lie
with every breath we draw*

WILLIAM MAXWELL

W lasach

W lasach

W sierpniu 1978 roku, tego lata, kiedy poznałem Annę Trabuió, mój ojciec zaciągnął do lasu dziewczynę.

Zatrzymał furgonetkę na poboczu szosy — to było przed zmierzchem — zapytał dziewczynę, dokąd idzie, i zaproponował, że ją podwiezie.

Wsiadła do samochodu, bo go znała.

Widziano go, jak jedzie na zgaszonych światłach w stronę miasteczka, potem jednak samochód skręcił w stromą polną drogę. Ojciec zmusił dziewczynę, żeby wysiadła, i powlókł ją ze sobą.

Czekaliśmy na niego z matką, martwiąc się, że coś mu się przytrafiło.

Podczas gdy ja wpatrywałem się w ciemność za szybą salonu, ona wykonała kilka telefonów. — Jeszcze nie wrócił.

Zastałem ją opartą o ścianę korytarza, ze słuchawką przyciśniętą do piersi. — Zobaczysz, że nic się nie stało — powiedziała, próbując się uśmiechnąć, jak gdyby już słyszała nadjeżdżającą furgonetkę, kroki ojca na podwórzu.

Zadzwoniła na izbę przyjęć w najbliższym szpitalu i odetchnęła z ulgą, kiedy powiedziano jej, że go tam nie ma.

Podgrzała kawę i usiedliśmy przy stole w kuchni. Miała na sobie niebieską sukienkę z długimi rękawami i wzorem w zielone palmy, które wyglądały, jak gdyby zaraz miała je porwać gwałtowna wichura.

— Nie martw się — powiedziała.

Wróciłem do salonu, wyciągnąłem się na kanapie i zapadłem w niespokojną drzemkę, z której szybko się zbudziłem.

Matka stała na podwórzu.

— Dlaczego nie idziesz do łóżka? — spytała.

— Odechciało mi się spać.

Objęła mnie ramieniem i spojrzała w górę: — Popatrz, jakie czyste niebo.

— Zimno ci? — spytałem.

Sierpniowa noc była gorąca, ale matka drżała.

Poszła się położyć, a ja próbowałem czytać komiks.

Pół godziny później wyszła ze swojego pokoju. Na plecy miała narzucony koc. Potrząsnęła głową: — To bez sensu, nie jestem w stanie spać — zamknęła się w łazience, po czym zeszła do kuchni i zawołała: — Chcesz tu do mnie przyjść?

Otuliła się szczelniej kocem.

W ciszy przed świtem usłyszeliśmy nadjeżdżającą furgonetkę.

Odwróciła się w stronę drzwi, wyprostowała plecy, zrzuciła z siebie koc i przeczesła palcami włosy.

— Całe szczęście. Dzięki Bogu. — Patrzyłem, jak wstaje, obciąga sukienkę i wychodzi na podwórze: — Kochanie, gdzie ty się podziewałeś?

Wyszedłem za nią. Zatrzymałem się na ganku, pod zaświeconą żarówką, próbując dojrzeć sylwetkę ojca w ciemnościach. Czuję złość, a zarazem ulgę, miałem ochotę go uderzyć i powiedzieć, że mnie nie obchodzi: — Mogłeś zostać tam, gdzie byłeś! — a zarazem chciałem podbiec i upewnić się, że nic mu się nie stało.

Powoli wynurzyli się w świetle i patrzyłem, jak wchodzi do domu.

Miałem szesnaście lat.

Ojca od dawna już nie ma, ale to właśnie wtedy — niecały rok od zwolnienia go z pracy i od zaginięcia chłopca — wszystko się rozpadło.

Prawda (1)

Czy mnie słyszysz?

Pamiętam jego głos w ciemnościach.

Budząc się gwałtownie tego lata, słyszałem szum wody w łazience, kroki ojca w korytarzu, jego pokaszliwanie. Matka wołała go: — Chodź spać. — Odpowiadał: — Nie mam czasu.

Schodził na dół, do garażu, albo siadał przy stole w kuchni.

Zasypiałem ponownie.

Pewnej nocy usłyszałem oddech ojca za zamkniętymi drzwiami swojej sypialni.

Nasłuchiwałem, leżąc bez ruchu. Otworzył drzwi i wszedł do środka.

— Elia?

Za jego plecami paliło się światło.

— Elia, słyszysz mnie?

Uniosłem lekko powieki. Chciałem zapytać: „Czego chcesz, tato? Co się dzieje?“, ale zamiast tego odwróciłem się na drugi bok, udając, że śpię, i naciągnąłem koc na głowę.

Imię mojego ojca, niski i ochrypły głos, jakim je wymawiał: — Nazywam się Ettore Furenti.

Matka go uwielbiała. Często widziałem, jak wpatruje się w niego z brodą opartą na dłoni, z uśmiechem na ustach.

— Twój ojciec jest takim pięknym mężczyzną. I zawsze potrafi mnie rozśmieszyć.

Bo mój ojciec *umiał* rozśmieszać: zarażał swoim śmiechem innych i zawsze miał na podorędziu zabawne historyjki.

— Elia, chodź na chwilę.

— Po co?

— Musisz tego posłuchać.

Zwalisty, wysoki mężczyzna, szerokie czoło, czarne włosy i jasnobłękitne oczy — ona była drobna, niska, ciągle marzła, miała brązowe włosy i oczy. Pamiętam jeszcze, jak obejmuje ją po powrocie z pracy, jeszcze w kurtce, są tacy młodzi: odwracają się i uśmiechają, widząc, że się im przyglądam. Widzę, jak wchodzi do

sypialni, matka sięga mu głową ledwie do ramienia, ojciec zamyka drzwi, puszczać do mnie oko.

W lecie zabierał mnie w niedzielę nad rzekę albo do kina — pamiętam jego profil w półcieniu sali owiany chmurą dymu z papierosa, sposób, w jaki zaczynał pogwizdywać, gdy tylko skończył się film, a potem mówił: „Gdy wrócimy do domu, zrobimy jej niespodziankę”. Skręcał na podjeździe, wjeżdżał powoli do garażu, wysiadaliśmy, zamykając drzwi jak najciszej, chichocząc. Matka wiedziała, co nam chodzi po głowie, ale umyślnie mówiła na głos „Kto wie, kiedy wrócą”. Wtedy on chwycił ją w pasie i całował w szyję, a ona wydawała okrzyk zaskoczenia i wybuchała śmiechem.

— Przestraszyłeś mnie.

— To jego wina — odpowiadał. — On wpadł na ten pomysł.

Czasami jednak zachodziła w nim zmiana, zamykał się w garażu i nie wolno mu było przeszkadzać. Godzinami siedział na ganku na bujanym krześle, wykręcając nerwowo palce i przygryzając wargi. Pewnego popołudnia przyłapałem go, gdy szlochał — wtedy jeszcze wszystko układało się dobrze — zanurzony w wannie, błady i drżący, z kolanami przyciągniętymi do piersi.

Kiedy był bardzo zmęczony lub zatroskany, zaczynał się jękać; musiał zatrzymać się na chwilę i potrząsnąć głową, uderzał się pięścią w udo.

Potrafił niespodziewanie się zirytować — jej nigdy się to nie zdarzało — robił się wtedy sztywny i sarkastyczny: patrzył na nas z ustami wykrzywionymi w grymasie, jak gdybyśmy byli jakąś pomyłką. Potem wszystko wracało do normy i słyszałem, jak rodzice szepczą, jak ojciec się śmieje.

Nie wiedziałem wiele o jego przeszłości.

Stracił rodziców, kiedy miał osiemnaście lat, w ciągu trzech miesięcy. Poza tym nie miał żadnej rodziny, tak samo jak matka. Latem, zanim rodzice umarli, pracował w warsztacie na stacji benzynowej, potem przyjęto go do fabryki.

— Nie zostało mi wiele wspomnień — odpowiadał, gdy próbowałem go wyciągnąć na zwierzenia.

Często wychodzili z matką: szli na spacer do miasteczka, na kawę czy na kolację do restauracji „Myśliwy”, krętą drogą, która biegła przez lasy i prowadziła do naszego domu oraz domu Idy Belli. Ida nie miała przyjaciół i zdawało się, że jej to nie przeszkadza.

— Nikogo nie potrzebuję.

Czasami pytałem ją, jaki był mój ojciec jako nastolatek.

— Taki sam, jak teraz.

Pogodny, wesoły człowiek o błyskotliwym dowcipie, mówiłem sobie i dziwnie się czułem, kiedy natykałem się na niego na ganku, zapatrzonego w milczeniu na trawnik i las, albo kiedy barykadował się w garażu.

Matka miała Idę i bardzo ją lubiła.

— Jest dla mnie jak siostra.

Ida była wysoką kobietą o wystającej brodzie, zamaszystych ruchach; miała krótko obcięte włosy, a jej śmiech przypominał rżenie konia. Potrafiła zmiażdżyć człowieka w uścisku albo niespodziewanie wałnąć go przyjacielsko po plecach.

Rozwiodła się z mężem, który przeprowadził się do Rzymu i ożenił ponownie. Mieszkała z córką. Uważaliśmy ją wciąż za dziecko, chociaż była w moim wieku; niektórzy mówili, że jest opóźniona w rozwoju: miała zgarbione plecy, wielką chwiejącą się głowę i stale wilgotne, wywinięte usta.

Ida powtarzała: — Wystarczamy sobie z Simoną.

Córka zawsze stała za jej plecami, tak ją zapamiętałem, mrużącą i mamroczącą moje imię.

Nie należało jej dotykać, bo reagowała krzykiem i jękami. Nie chodziła do szkoły; spędzała czas, rysując, skulona na ziemi. Kiedy coś ją zaniepokoiło, smarowała sobie twarz kredkami.

Ida, która pracowała jako księgowa w fabryce mebli, zatrudniła na pełny etat dziewczynę do opieki nad córką.

Dziewczyna przyjeżdżała rano autobusem i wracała do domu późnym popołudniem. Szła szybkim krokiem na przystanek, z papierosem w dłoni, podczas gdy światło dnia powoli gasło.

Aż któregoś dnia spotkała mojego ojca.

Mieszkaliśmy na szczycie wzgórza — w jego rodzinnym domu — gdzie droga przechodziła w ścieżkę, trzy kilometry od Ponte, małego prowincjonalnego miasteczka, które nazywaliśmy miastem, bo znajdował się w nim zakład przemysłowy. Wąska dolina, opuszczona kopalnia pirytu, kręte koryto rzeki, strumienie, stary kamienny most nad przepaścią, drugi, szerszy, nad bystrzami rzeki

i wszędzie dookoła lasy. W miasteczku były jednak szkoły, kino Futura, biblioteka miejska — królestwo mojej matki, jedynej bibliotekarki — i bar z salą do gier. Fabryka mebli z salonem wystawowym zestawów kuchennych i szaf, w tak zwanej strefie przemysłowej. I zakłady, otoczone ceglany murem, owiane dymem z kominów.

To była przędzalnia bawełny, prosperująca od tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Pod koniec lat sześćdziesiątych zatrudniała dwieście osób. Mój ojciec pracował tam jako serwisant; lubił swój fach i nie zamieniłby go na żaden inny.

Kiedy zamówienia zaczęły spadać, a koszty wzrastać, spółka została sprzedana. Ojciec powtarzał nam: „idą ciężkie czasy”. Nowi właściciele fałszowali bilans, kradli, oszukiwali. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku ogłoszono bankructwo. W pewien wrześniowy dzień zobaczyłem, jak ojciec płacze, pocieszany przez siedzącą obok niego matkę.

Pozostał ceglany mur, wyłożony na górze szkiełkami z butelek. Wygasłe, zimne kominy. Wiatr świszczący pomiędzy pustymi budynkami.

W następnych miesiącach z grupą chłopaków, z którymi się wtedy kolegowałem, przełaziliśmy dla zabawy przez mur. Wyważaliśmy drzwi i wchodziliśmy do hal fabrycznych. Rzucaliśmy kamieniami w okna i przewracaliśmy szafki na segregatory. Sikaliśmy na mury i wypisywaliśmy na nich sprośne hasła. Siadaliśmy na ziemi, obok maszyn, w zakurzonej półmroku i dzieliliśmy się papierosem. Spędzaliśmy czas w tych ogromnych, milczących wnętrzach, jak gdyby należały do nas.

Potem nagle nam się to znudziło — w grudniu, kiedy zaginęło to dziecko.

Ojciec wychodził wtedy z domu każdego dnia, ale nie miałem pojęcia dokąd.

Bankructwo przędzalni było początkiem końca.

Dla Ponte oznaczało katastrofę. Wielu mieszkańców wyjechało z miasteczka w poszukiwaniu pracy. Inni zaczęli pić lub włóczyć się bez celu po ulicach.

Mój ojciec zamknął się w sypialni i nie wychodził z niej tygodniami, wstawał z łóżka tylko do łazienki albo żeby przyjść w piżamie do stołu, kiedy matka wołała go na posiłek. Wpatrywał się w talerz, trzymając w ustach papierosa, który matka wyjmowała mu z czułością.

— Zobaczysz, poradzimy sobie.

— Jak?

— Teraz o tym nie myśl. Jedz.

Matka zasięgnęła informacji — w fabryce mebli, w magazynie budowlanym — ale nigdzie nie szukano pracowników. Potem dowiedziała się, że jakieś dwadzieścia kilometrów od Ponte deweloper nabył teren, na którym chciał wybudować osiedle domków.

— Może tam uda się coś znaleźć.

Po powrocie z biblioteki wyciągała się obok niego. Tak ich zapamiętałem — bliskich sobie i, mimo że różnili się pod każdym względem, prawie nierozróżnialnych.

W zamkniętym pokoju w ojcu dojrzywało pewne przekonanie, obłąkana pewność. Pewnego dnia przyszedł do stołu, nalał wody do szklanki, upił łyk i powiedział: — Miałem czas, żeby się zastanowić.

Matka popatrzyła na niego i rozbłyły jej oczy: — Nad czym?

Skąd mogła wiedzieć?

— Znaleźli sposób, żeby się mnie pozbyć — powiedział. — Taki był ich cel. A teraz śmieją się ze mnie.

— Kochanie, to dotyczy was wszystkich.

Ojciec wykrzywił usta w gorzkim uśmiechu. — Taka jest oficjalna wersja. Ale to nieprawda.

Odsunął krzesło i wrócił do sypialni.

Odwróciłem się do matki.

— Co on ma na myśli?

— Nie martw się, wszystko jest w porządku.

Ojciec powtórzył to samo następnego wieczoru, a potem znowu i tak przez całe tygodnie; mówił o spisku, w pewnej chwili stuknął palcem wskazującym w stół i oświadczył, że był to prawdziwy plan, zwykły kamuflaż.

— Powinienem być go wysłuchać — stwierdził.

— Ale kogo? — spytała matka.

— Nie mogę powiedzieć.

— Nie myślisz jasno. Wiem, jak ci trudno.

— Nic nie wiesz.

Któregoś ranka wstał przed świtem i zszedł do garażu — w środku stały metalowe regały, stół do pracy, umywalka, niewielka kanapa, brudna i wysiedziana, i mały elektryczny piecyk.

Tam go zastałem, kiedy wróciłem do domu: był boso, w swojej szarej piżamie, z przejęciem pisał coś na kartce.

— Co robisz?

— Nic. Gdzie byłeś?

— W szkole — odpowiedziałem. Wiedział o tym.

Złożył kartkę na pół, wyciągnął z paczki papierosa i zapalił.

— Co piszesz?

Ojciec nie odpowiedział: utkwiał spojrzenie za moimi plecami, wpatrując się w blade jesienne niebo, prześwitujące zza otwartych drzwi.

— Jest zimno — powiedziałem. — Przynajmniej włącz piecyk.

— Nie marznę.

— Siedzisz tutaj od rana?

— Nie chce mi się spać.

— Może przyniosę ci sweter?

— Okej.

— Wszystko naprawię — powiedział w końcu. — Nie musisz się martwić.

Powinienem był nalegać, żeby mi wyjaśnił, co mu chodzi po głowie — naprawdę myślał, że inni pracują, że zakłady są otwarte? — zamiast tego poszedłem sobie i zostawiłem go sam na sam z jego zwidami, w przekonaniu, że jest bezpieczny.

Poszedł kupić znaczki i koperty.

— To znaczy, że piszesz listy? — spytała go matka. — Do kogo chcesz je wysłać?

— Wszyscy muszą się dowiedzieć — oświadczył.

Westchnęła: — To nie ma sensu. Cokolwiek to jest.

— Nie rozumiesz. Muszę ich zaskarżyć. Muszą mnie wziąć z powrotem.

Pogładziła go po policzku, pogłaskała po rękę. — Skarbie, nikt cię nie może wziąć z powrotem. Tam już nikogo nie ma. Wiesz przecież, co się stało.

Ojciec popatrzył na nią, przygryzł usta i przymknął powieki, jak gdyby nad czymś się zastanawiał.

— Wiesz o tym, prawda? Ettore, odpowiedz mi.

— W tym właśnie sęk. Jaka jest prawda?

— Istnieje tylko jedna — odpowiedziała.

— Jesteś o tym przekonana?

Spędził tę noc — swoją pierwszą bezsennością — przed szumiącą planszą testową

na ekranie telewizora. W pewnej chwili poszedłem się wysikać do łazienki. Wracając do łóżka, usłyszałem, jak mamrocze: — Dobrze, będę milczał jak grób.

Czy mnie słyszysz?

Dwa tygodnie później, w niedzielę, powiedział nam o furgonetce.

Nie było go w domu, kiedy wstaliśmy rano z matką i siedliśmy do śniadania. Zapytałem, gdzie jest ojciec, ale tylko potrząsnęła głową. Kilka minut potem usłyszeliśmy warkot silnika. Ojciec wszedł do kuchni, cisnął kurtkę na krzesło, potarł zziębnięte ręce i ściągnął buty.

— Jeden typ sprzedaje furgonetkę. Powiedziałem mu, że chcę ją kupić.

Matka zapytała, kto to taki.

— Nie znasz go.

— Co ty mówisz, przecież wszyscy się tu znamy. Ile kosztuje?

Dyskutowali kilka razy o kupnie drugiego samochodu, ale on był wtedy bezrobotny, a pensja mojej matki ledwie wystarczała na zapłatę rachunków i zakupy.

— To nie twój problem — odpowiedział.

— Właśnie, że tak.

— Zdaje mi się, że mieszkasz w tym domu.

— I co z tego?

— To jest mój dom, więc ja podejmuję decyzje — odwrócił się, pochylając się nad stołem w moją stronę, i pociągnął mnie za mankiet piżamy. — Czy to nie świetny pomysł?

Wybuchnął śmiechem, podszedł do matki, złapał ją wpół i podniósł do góry. Najpierw mu się wyrwała: — Nie możesz tak robić! — ale potem musiała się poddać.

Był początek grudnia. Wiał lodowaty wiatr.

— Czuję się bosko. Nie próbuj się ze mną kłócić.

Zakręcił nią między stołem a drzwiami, uczepliła się jego pleców i pocałowali się.

No i kupił tę furgonetkę.

Kiedy usłyszałem klakson, narzuciłem kurtkę i wyszedłem z domu. Było późne popołudnie, zmierzchało. Ojciec siedział w samochodzie z dłońmi na kierownicy. Opuścił szybę i zawołał:

— Chodź zobaczyć!

Obszedłem furgonetkę i wsiałem do środka.

— No i co? Jak ci się widzi?

Wzruszyłem ramionami.

Nie podobała mi się: na lewym boku miała wgniecenie, w kilku miejscach rdza przeżarła biały lakier. Wnętrze śmierdziało. Ojciec nie ubił wielkiego interesu.

Bębnił palcami po kierownicy, wpatrując się w przednią szybę.

— Wiesz, co zrobili — powiedział.

— Kto?

— Oni.

Przez chwilę milczeliśmy.

— Matka mi nie wierzy. Nie mogę jej już ufać.

— W co ma wierzyć?

— Już ci powiedziałem — oświadczył, pochylając się ku mnie, a potem wyszeptał:
— Ale ja piszę te listy.

— Do kogo?

— Do wszystkich.

— I wysyłasz je?

— W przeciwnym razie jaki byłby z nich pożytek?

— Mogę któryś przeczytać?

— Lepiej nie.

— Dlaczego?

— To nie jest właściwa chwila. Może kiedyś. — Poczochrał mi włosy, otworzył drzwi i pozwolił wysiąść. — Nigdy nie daj się oszukiwać ludziom. Musisz się tego nauczyć.

Zaczął wyjeżdżać gdzieś co rano, kiedy jeszcze było ciemno. Zapuścił brodę i zgolił włosy. Był stale podniecony, niespokojny: usta mu się nie zamykały, bełkotał, gubiąc się w długich i zawitych wywodach, za którymi nie byliśmy w stanie nadążyć. Noce spędzał na kanapie, siedząc przy stole lub chodząc tam i z powrotem po pokoju.

Potem zaginęło to dziecko, Giorgio Longhi — chłopiec wracał do domu ze szkoły — i wszyscy zaczęli go szukać. Nic nie mówiąc rodzicom, poszliśmy z kolegami nad rzekę, z oczami wlepionymi w bystrza, w spienioną wodę, w gałęzie ocierające się o cementowe słupy. Przebiegliśmy po ścieżkach, przepatrując krzaki i rozgarniając kupki liści. — „Jeśli go znajdziemy, co nam za to dadzą?” „Ale z ciebie dupek, tylko o tym myślisz?” — „Zabierzemy go do domu i wtedy się zobaczy”.

Minęły dwa dni. Spadł śnieg.

Karabinierzy i policjanci przeczesali na nowo drogi, rudery na polach i puste hale fabryczne, potem zaczęli szukać w lasach. Widziałem samochód karabinierów przejeżdżający pędem przez most na zapalonych światłach.

W dzienniku „Echo Doliny” ukazał się artykuł ze zdjęciem zaginionego chłopca: szeroki uśmiech, przymknięte oczy, inteligentna twarz.

W garażu, obok skrzynki z narzędziami, znalazłem dwa egzemplarze gazety. Wziąłem jeden i spojrzałem, był otwarty i złożony na stronie z fotografią dziecka. Ojciec wrócił — nie usłyszałem go — wszedł do garażu, podszedł do mnie i wyrwał mi gazetę.

Był przemoczony, miał ubłocone robocze buty i spodnie. Szczękał zębami z zimna.

Pomyślałem, że przyłączył się do poszukiwań albo że prowadził je samotnie w śniegu, mając nadzieję, że znajdzie chłopca. Zapytałem go o to, ale potrząsnął głową.

— Stoję teraz na straży — powiedział.

— Gdzie?

Położył gazety na regale, wyciągnął z kieszeni złożoną kartkę, pomachał nią w świetle lampki jarzeniowej, po czym zgniótł w dłoni.

— Tu jest zapisane — powiedział.

Potał dłonią czoło.

— Chcesz wiedzieć, co mi się przypomniało?

— Tak.

— Posłuchaj — i opowiedział mi o człowieku, którego poznał, kiedy był małym chłopakiem. Ten facet miał psa, wyjaśnił ojciec, i w pewnej chwili zaczęło mu się wydawać, że ten pies z nim rozmawia i udziela mu rad. — Wszyscy myśleli, że mu odbiło.

— Wierzę. I jak to się skończyło?

— Nie pamiętam. — Włożył zgniecioną kartkę z powrotem do kieszeni i usiadł na kanapie. — Trzymam tu swoje rzeczy. Nie chcę, żebyś w nich szperał.

— Nie szperałem.

— Teraz idź sobie — powiedział. — I zgaś światło.

Zjedliśmy z matką kolację, pooglądaliśmy chwilę telewizję i poszliśmy spać. Ojciec nie wszedł na górę. W pewnej chwili zbudził mnie odgłos głuchego uderzenia. Potem następny. I jeszcze jeden.

Usłyszałem, jak matka wypada z pokoju i biegnie na dół, do garażu. — O Boże, ty krwawisz. Daj mi obejrzeć, chodź tutaj.

Zaczął wrzeszczeć: — Zgodziłaś się? To znaczy, że się zgodziłaś? Przyznaj się!

Idea spisku. I te wszystkie listy.

Wyszedłem z łóżka, otworzyłem po cichu drzwi i wyjrzałem na korytarz. Weszli po schodach i zapalili światło, zacisnąłem powieki, a kiedy je otworzyłem, zobaczyłem ojca z zakrwawioną ręką, trzymającego się za przegub, i matkę z rozczochranymi, naelektryzowanymi włosami.

— Tato? Co ci się stało?

Popatrzył na mnie, oblizując wargi. — Czego, kurwa, chcesz? — odpowiedział i kopnął stolik, na którym stał telefon.

— Wracaj do łóżka, Elia — powiedziała matka.

Zamknęli się w kuchni.

— Teraz jesteś zadowolona? — usłyszałem jego głos. — Widzisz, do czego mnie doprowadziliście?

— Proszę cię, nie ruszaj się.

Kiedy znowu zasnąłem, znalazłem się na brzegu rzeki, obok tego dziecka. *Szukali cię, powiedziałem mu, ja też cię szukałem. Wiedziałeś, że tu jestem, powiedział chłopiec, dlatego tu przyszedłeś.*

Następnego ranka — ojciec zasnął wyczerpany na kanapie, chrapał z otwartymi ustami, miał obandażowaną rękę — znalazłem w garażu pociętą gazetę, porzucone nożyczki i krew na drzwiach. Tylko zdjęcie dziecka pozostało całe: wziąłem je, przemknąłem do swojego pokoju i schowałem w szufladzie.

Matka nie wspominała o tej nocy, a ojciec wyglądał na spokojniejszego, jak gdyby zdołał zgasić ten wewnętrzny ogień, który niemal go strawił, jego dłoń była sina i spuchnięta.

Zrobił się milczący, zgolił brodę, zapuścił włosy, zaczął znowu spać we własnym łóżku.

Często rozmyślałem o tym, co się wydarzyło — o odgłosach uderzeń, o wrzaskach — i zachowywałem czujność. Byłem niespokojny. Przestałem wychodzić z kolegami, których ojcowie, co prawda, często pili, a nawet podnosili rękę na żony i dzieci, wyładowując w ten sposób swoją frustrację, ale przynajmniej nie wyobrażali sobie spisków i nie pisali do nikogo listów.

Siedziałem godzinami w pokoju, czytając komiksy.

Wykradałem papierosy z paczek, które ojciec zostawiał w różnych miejscach, i paliłem je za domem, kiedy matka była w pracy, siedząc w kucki, z plecami opartymi o mur, drząc z zimna. Potem szedłem do łazienki, żeby umyć zęby.

Pewnego popołudnia — rozdarcie błękitu na horyzoncie — zobaczyłem ich na podwórzu, gdy rozwieszali bombki na niskiej, cherlawej sośnie.

— Jak ci się podoba? — spytała mnie matka.

Ojciec pomacał zranioną rękę, zdjął karton z bombkami z dachu furgonetki i odniósł go do garażu.

Matka dołączyła do mnie na ganku.

— To z powodu ojca, prawda?

— Co?

— Siedzisz cały czas sam w domu. — Otrzepała ze śniegu kozaki, ściągnęła wełniane rękawiczki i poprawiła włosy. — To był zły sen, ale już się z niego wybudził.

Ujęła mnie palcami pod brodę, uśmiechnęła się, patrząc mi w oczy, i poszła do kuchni.

Potem znaleźli chłopca — koło kopalni pirytu, u podnóża skarpy, zagrzebanego w śniegu. Był zupełnie nagi, ręce i nogi miał związane sznurówkami.

Porwano go i uduszono.

Ponte przeżyło najazd reporterów i dziennikarzy, ukazało się wiele artykułów, o wydarzeniu wspomniano nawet w dzienniku telewizyjnym. Wiadomości obejrzelśmy z matką na kanapie, przy zgaszonym świetle. Biało-czerwona taśma rozpięta między drzewami. Zapłakani rodzice w towarzystwie dwóch karabinierów. Na ekranie ukazała się uśmiechnięta twarz z fotografii.

Matka zakryła usta dłonią. — Kto mógł coś takiego zrobić?

Ojciec wszedł do salonu i zatrzymał się za naszymi plecami.

— Ettore — powiedziała matka. — To niemożliwe.

Wyciągnęła do niego rękę i dotknęła go, pociągając nosem. Odwróciłem się i popatrzyłem: ściągnięta w grymasie twarz ojca, oblana szklanym światłem z ekranu. Matka powtórzyła: — To niemożliwe.

Ujrzałem, jak ojciec wydyma usta, patrząc w telewizor. — Dlaczego nie chcesz otworzyć oczu, Marto?

W dzień Bożego Narodzenia podarowali mi sweter, nowy magnetofon i dwie kasety.

— Tata je wybrał — powiedziała matka.

Ojciec uśmiechnął się lekko. Matka oparła głowę na jego ramieniu.

Ida i Simona zjadły z nami kolację. „Spróbujmy świętować, mimo naszego smutku”. Simona cały czas rysowała koła i spirale, kartki i kredki leżały obok jej talerza.

Później zastałem ojca na ganku, na bujanym fotelu, z filiżanką kawy. Miałem na sobie nowy sweter.

— Chodź tu na chwilę. Usiądź — powiedział.

Zrobił mi miejsce obok siebie.

— Do twarzy ci w tym swetrze.

— Dziękuję.

Siedział w milczeniu, patrząc na zaspę śniegu, na swoją furgonetkę i na puste niebo bez gwiazd. — Obawiam się, że narobiłem wielkiego bigosu.

Pomyślałem o listach, które pisał i wysyłał, tak przynajmniej twierdził. O bezsennych nocach. O zakrwawionej dłoni. O ścinkach gazety na posadzce w garażu. O zdjęciu dziecka.

Jego pierś drżała. Usłyszałem kroki matki, brzęk naczyń i szum wody wlewanej do zlewu.

— Gdzie się podziewałeś, kiedy wyjeżdżałeś z domu?

— Różne rzeczy chodziły mi po głowie. Nie umiem tego wyjaśnić. Ale nareszcie się od nich uwolniłem.

Wtedy zapytałem go: — Byłeś kiedyś w kopalni?

Popatrzył na mnie przelotnie.

— Wiele lat temu. Bo co?

— Nic, tak pytam.

Pomachał dłońmi, jak gdyby chciał je rozgrzać, zgiął i rozprostował palce, wypił łyk kawy.

— Nie musisz się niczego bać — powiedział. — Wszystko jest w porządku.

— Okej.

— Kocham cię.

— Ja ciebie też.

— Kocham was oboje. Naprawdę.

Tego dnia — w bożonarodzeniowy wieczór tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku, kiedy miasteczko było pogrążone w żałobie, kiedy jeszcze nie wiedzieliśmy tego, czego niedługo mieliśmy się dowiedzieć — usłyszałem skrzypienie sprężyn łóżka w sypialni rodziców, stłumiony oddech matki, stękanie ich obojga, a potem odgłos otwieranych drzwi i kroki ojca wchodzącego do łazienki.

Nie musisz się niczego bać.

Zapaliłem lampkę nocną, wstałem, wysunąłem szufladę biurka, wyjąłem zdjęcie i rolkę taśmy klejącej, przylepiłem fotografię nad swoim łóżkiem, zgasilem światło i zasnąłem.

I

Potrafię sobie wyobrazić tylko pierwszą chwilę.

Uciekł jej ostatni autobus i szła skrajem szosy w brudnej bluzce, torebka objęła się jej o biodro. Miała siniaka na przegubie, bolały ją stopy.

Było jeszcze ciepło.

Mogła poprosić Idę o podwiezienie, ale nie chciała tego robić, bo rozzłościła się na Simone, która przy obiedzie wysmarowała jedzeniem stół, oblała ją sokiem, zaczęła wrzeszczeć i rzuciła się na nią z pięściami. Nie chciała jej znowu widzieć.

Często zastanawiałem się, o czym wtedy myślała. Być może zadawała sobie pytanie, co taka dziewczyna jak ona robi w pracy wymagającej nieskończenie wielkiej cierpliwości, w przygnębiającym miejscu zagubionym w lesie. A może po prostu patrzyła przed siebie, na drzewa i kolczaste krzaki, na pusty parking restauracji, zamkniętej w tym dniu, na dach domu w dolinie poniżej. Widzę ją, jak potrząsa głową — ma długie kędzierzawe włosy — patrzy na poplamioną białą bluzkę i wzdycha.

Nagle zdaje sobie sprawę z ciszy: słyhać tylko ćwierkanie ptaków, echo jej kroków i półmrok za plecami. Szuka w torebce papierosów, ale potem przypomina sobie, że wypaliła ostatniego, kiedy czyściła stół.

Bierze do ręki suchy patyk i wymachuje nim w powietrzu. Bzyczą komary i muszki.

Za zakrętem widzi zbliżającą się białą furgonetkę. Zna kierowcę, chociaż początkowo musiał się jej wydać tylko cieniem, skrytym za przednią szybą.

Furgonetka zwalnia i zatrzymuje się.

Cześć, mówi dziewczyna.

Mężczyzna wychyla się przez okno i uśmiecha się. Ma zakurzone włosy, podwinięte rękawy koszuli. Lewą ręką bębni o drzwiczki, jak gdyby odmierzał upływający czas.

Wszystko w porządku?

Spóźniłam się na autobus.

A to pech.

No właśnie, przytakuje dziewczyna.

Mój ojciec patrzy na szosę przed sobą i w boczne lusterko.

Masz przed sobą długą drogę do domu.

Nic takiego, tylko trochę bolą mnie nogi, odpowiada ona.

Być może chce powiedzieć: „do widzenia”, i ruszyć dalej. To jej ostatnia szansa.

Podwiozę cię, mówi on. Wsiadaj.

Ależ nie ma potrzeby, proszę się nie trudzić.

Żaden problem.

Jego uśmiech jest szczery i zachęcający, właściwie szczęśliwie się złożyło.

Naprawdę? Wobec tego bardzo chętnie, dziękuję.

Podchodzi do furgonetki i wyrzuca patyk, podczas gdy mój ojciec, któremu zaschło w ustach, drżącymi rękami opróżnia siedzenie pasażera — latarka, puste pudełka po papierosach — zrzucając wszystko na podłogę.

Ona otwiera drzwi.

On mówi: Przepraszam, w środku jest brudno.

Nic nie szkodzi, nie ma sprawy, odpowiada ona. Jeszcze raz dziękuję.

Nie ma za co, to dla mnie przyjemność.

Nikt nie widzi, jak ojciec dojeżdża do parkingu przy restauracji, zawraca, wyjeżdża znowu na szosę i oddala się.

Anna

Pewnego wietrznego i suchego popołudnia, gdy już skończyła się szkoła, zobaczyłem chłopaka siedzącego na murku na placyku przy stacji benzynowej.

Ojciec zatankował do pełna, zapłacił, po czym wsiadł do furgonetki i przez chwilę siedział bez ruchu.

— Jedziemy? — spytałem.

— Nie mogę cię dalej zawieźć. Zapomniałem o czymś.

Jechaliśmy na plac budowy, w miejsce, w którym wznoszono osiedle domków. Pracowałem tam od trzech miesięcy jako robotnik. Byłem ciekaw, jak tam jest, poprosiłem, żeby mnie tam zabrał.

— To co mam zrobić?

— Wróć do domu autobusem.

— Nie mogę z tobą pojechać?

Ojciec tylko zamrugnął oczami. Nie było sensu się upierać. Westchnąłem ciężko i wysiadłem. Patrzyłem chwilę za furgonetką oddalającą się w kłębach kurzu, po czym obróciłem się w stronę chłopaka; wstał z murku i przyglądał mi się, szorując po asfalcie podeszwami tenisówek. Podeszedł do mnie.

— Zostawił cię tutaj? — spytał.

— Na to wygląda.

— No to jest nas dwóch.

Był wysoki i bardzo chudy, miał zbyt małe czarne oczy, długie włosy i trądzik na policzkach.

— Nigdy wcześniej cię tu nie widziałem — zauważyłem.

— Przyjechałem przedwczoraj.

Wskazał na dom za dystrybutorami benzyny i na Santa Trabuió, stojącego przed budką w niebieskim kombinezonie z brudną ścierką w ręce.

— To ojciec mojej matki — powiedział.

— To znaczy twój dziadek?

— Nawet go nie znam.

Potrzebowałem chwili, żeby zrozumieć, o czym mówi — znałem historię córki Trabuiów, która jako bardzo młoda dziewczyna uciekła z jakimś typem w siną dal,

i wiedziałem, że matka jej nie lubi. W czasie pogrzebu żony Santa, rok wcześniej, ktoś powiedział: „Powinna się wstydzić. Nie wróciła nawet na pogrzeb matki”, a moja matka dodała: „Czego się spodziewałaś? Wiesz, jaka była”.

— Przyjechałeś tu na wakacje?

— W takie miejsce? Co ty, zgłupiałeś?

— Okej — odpowiedziałem — bardzo przepraszam. — Odwróciłem się, żeby odejść.

— Nazywam się Stefano — powiedział wtedy.

— Elia.

Cmoknął, patrząc z przygnębieniem na zarośnięte pole po drugiej stronie szosy, morze chwastów targane wiatrem, po czym spytał: — Chcesz zapalić?

— Pewnie.

— No to chodź.

Ruszył z rękami w kieszeniach. Poszedłem za nim przez placyk — i tak zaczyna się druga część historii, ta moja.

Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy w ogródku za domem, rozwieszając pranie obok rdzewiejącego auta, Anna Trabuo nuciła z zamkniętymi ustami.

Przywitałem się; osłoniła czoło dłonią i popatrzyła na mnie.

Miała na sobie plażową sukienkę i skórzane sandały. Włosy ufarbowane na wyblakły jasny blond, cienkie usta, zapadnięte policzki i wystające kości policzkowe. Wyglądała, jak gdyby nie jadła od wielu dni. Stała wśród chwastów, za jej plecami za metalową siatką płynęła rzeka i rosło kilka rachitycznych drzewek.

Powiedziała do mnie: — Cześć.

Nie zapytała, kim jestem, schyliła się i wyciągnęła ręcznik ze stosu bielizny w balii.

— Chodźmy — powiedział Stefano.

Poszedłem za nim do kuchni — dochodził stamtąd smród spalenizny i brudnych naczyń — i wzdłuż korytarza.

— Zamknij drzwi — powiedział, wchodząc do sypialni, po czym wyciągnął z kieszeni paczkę MS-ów. Poczęstował mnie papierosem, wskoczył na parapet, zapalił swojego zapalniczką, zaciągnął się, a potem dał mi odpalić.

— Twoja matka wie, że palisz?

— Bo co? Co w tym dziwnego?

— Nic — odpowiedziałem.

Pokój był maleńki; wyblakła tapeta w kwiaty, różowa kapa na łóżku. Na blacie biurka leżała otwarta walizka, na krześle piętrzyły się ubrania.

— Tutaj śpisz?

— Na razie. To był pokój mojej matki. Śpimy tu oboje, pod spodem jest drugie łóżko.

Popatrzył na wzgórze i zaciągające się chmurami niebo.

— Dokąd jechaliście? — spytał.

Opowiedziałem mu o budowie i o pracy ojca.

— A twój co robi?

— Różne rzeczy, stale się gdzieś kręci.

— Gdzie mieszkasz?

Mieszkał na peryferiach Turynu, w kamienicy na pierwszym piętrze. Było tam wielu chłopaków w jego wieku, znał wszystkich w dzielnicy. Było też boisko do gry w piłkę, sklepy i magazyny. Szyby w jadalni trzęsły się za każdym razem, kiedy przejeżdżał pociąg. Jego rodzice zaczęli się kłócić, dodał, wrzeszczeli i trzaskali drzwiami, a potem matka w pośpiechu spakowała walizki i wyjechali.

— Nie powiedziała mu o tym.

— To znaczy, że twój ojciec nie wie, że tu jesteście?

— Nie *wiedział*, ale zadzwoniłem do niego.

Wyrzuciliśmy niedopałki na letni wiatr. Stefano wyciągnął nogi i popatrzył na czubki swoich tenisówek.

— I tak tu nie zostanę. Przyjedzie po mnie, gdy tylko będzie mógł...

Dobiegł nas odgłos kroków zbliżających się do drzwi. Matka Stefana zapukała i otworzyła.

— Robię kolację — powiedziała. Popatrzyła na mnie. — Możesz zostać, jeśli chcesz.

Zaskoczyła mnie, zbierałem się do wyjścia.

— Dla ciebie to okej? — spytałem. Stefano kiwnął głową. — Gdzie jest telefon? Muszę uprzedzić rodziców.

Zadzwoniłem z budki telefonicznej na skrzyżowaniu pod ciemniejącym niebem. Patrzyłem na Stefana, który deptał kępę trawy na krawężniku chodnika i przesuwał ręką po włosach. Wiał coraz silniejszy wiatr.

Długo nikt nie odbierał. Już miałem odwiesić słuchawkę, kiedy usłyszałem głos

matki.

— Co się dzieje?

Wydawała się wyczerpana. Trzymała słuchawkę z dala od ust.

— To ja.

— Wszystko w porządku? Ojciec jest z tobą?

— Pojechał. Zostawił mnie tutaj.

— To znaczy gdzie?

— Na stacji benzynowej. Powiedział, że o czymś zapomniał.

Wydawała z siebie długie westchnienie.

— Zaprosili mnie na kolację — powiedziałem.

Od zimy nikogo nie odwiedzałem, matka bardzo się tym martwiła, dlatego ożywiła się od razu i wydawało mi się, że jest zadowolona.

— Oczywiście, nie ma sprawy. Kto to?

— Wnuk Santa. Przyjechał dwa dni temu.

Nie odpowiedziała od razu, dopiero po chwili: — Słyszałam o tym — z gorzką nutą w głosie. — Jak masz zamiar wrócić? Jestem zmęczona.

Ostatni autobus odjeżdżał z Ponte za dziesięć siódma. Wiele razy prosiłem rodziców o skuter, ale mi go nie kupili.

— Może tata?

— Musi wcześniej wstać.

— Poczekaj chwilę.

Zasłoniłem dłonią słuchawkę. Rzuciłem okiem na Stefana: pochylił się i wrywał chwast, jak gdyby to było jakieś ważne zadanie. Popatrzyłem na Santa Trabuió, zamykającego w oddali swoją budkę.

— On mnie odwiezie — powiedziałem.

Jeśli o mnie chodzi, mogłem wrócić nawet na piechotę.

Matka się zawahała — chodziło o syna kobiety, która uciekła z Ponte i której nie lubiła; myślałem, że na tym polega problem, i częściowo rzeczywiście tak było.

— Elia, dlaczego...

— Muszę lecieć, cześć.

Wróciliśmy do domu.

Santo Trabuió siedział przy stole. Miał jeszcze na sobie kombinezon roboczy. Kiwnął mi głową na powitanie, po czym wziął serwetkę i wsadził ją sobie za kołnierz.

Anna wskazała mi krzesło.

— Nadchodzi burza — powiedziała.

Okna i drzwi były otwarte, kuchnia pogrążona w półcieniu. W zlewie piętrzyły się brudne garnki. Na blacie kuchennym dwie stokrotki w słoiku. Pusta balia obok lodówki.

Usiadła i nałożyła na talerze spaghetti z pomidorami. Patrzyła na mnie, kiedy jadłem, jak gdyby ciekawiło ją, w jaki sposób trzymam widelec i przeżuwam.

— Jedz, ile chcesz, zrobiłam dużo — powiedziała i na chwilę zapadła cisza, słychać było tylko stukanie sztućców o talerze. Wiatr chłostał drzewa i bieliznę rozwieszoną w wyschniętym ogrodzie.

— Jak się poznaliście? — spytała.

— Przyjechałem z ojcem...

Santo Trabuiu utkwiał w niej suche ciemne oczy: — To syn Ettore Furentiego.

Imię mojego ojca przetoczyło się niczym grom w półcieniu kuchni. Ona oparła łokcie na stole i oblizwała wargi. — No tak — odezwała się. — Jasne, jesteś do niego podobny. Jak masz na imię? Zapomniałam cię zapytać.

Powiedziałem jej.

— Jak ładnie. — Wzdrygnęła się i potarła ramiona.

— Ile masz lat?

— Szesnaście.

— Naprawdę? Tak jak Stefano. Myślałam, że jesteś starszy.

Moim zdaniem nie miała racji: wyglądałem jak chłopiec.

Zapytała mnie o szkołę — technikum w miasteczku, do którego kiedyś chodził także mój ojciec. Powiedziała, że Stefano nie zdał do następnej klasy, ale jest inteligentny, musi tylko przyłożyć się do nauki.

— Nie wrócę do szkoły, już ci to mówiłem — odezwał się Stefano. — Tata się ze mną zgadza.

Zawinęła sobie włosy na karku, zgarnęła je za uszy. — Zobaczymy.

Zaczęło padać, najpierw rzadkie ciężkie krople, potem niespodziewanie lunęło jak z cebra. Niebo przecięła błyskawica. Anna wzdrygnęła się i pobiegła zamknąć okna i drzwi.

— Kiedy byłam mała, w czasie burzy zamykałam się w szafce pod stołem — powiedziała. — Pamiętasz, tato?

Santo nie odpowiedział; wyciągnął z paczki papierosa, zapalił go, wydmuchnął

biały dym w stronę sufitu i poszedł sobie.

Patrzyła za nim, jak znika w korytarzu.

Skończyliśmy jeść, rozmawiając o chłopcu.

— Widzieliśmy to w telewizji — powiedziała. — Nie odkryli jeszcze, kto to zrobił, prawda?

Potrząsnąłem głową.

— Czy to miejsce jest daleko? — spytał Stefano.

— Jakie miejsce?

— To, w którym go znaleźli.

— Nie, nie bardzo.

— Chciałbym je zobaczyć.

Anna popatrzyła na niego surowo: — Trzymajcie się od niego z daleka.

Nie przyznałem się, że w zimne, przejrzyste lutowe popołudnie poszedłem do kopalni, przeskoczyłem taśmę i skuliłem się w śniegu na krawędzi skarpy, wyobrażając sobie nagie ciało dziecka i krążącego wokół niego mężczyznę bez twarzy.

Deszcz bębnił o szyby, zrobiło się ciemno.

— Powinienem się zbierać — oświadczyłem. — Muszę wrócić pieszo.

Odwróciła się do mnie, jej usta były wykrzywione w dezaprobachie.

— Nie ma mowy. Zwłaszcza w taką pogodę. — Wstała, poszła na korytarz. — Odwiozę cię. Tylko wezmę parasol.

Na chwilę zostaliśmy sami. Stefano wziął widelec, przejechał ząbkami po obrusie.

— Jeśli chcesz, jutro po ciebie przyjdę — powiedziałem.

— Okej.

Anna wróciła do kuchni, przyciskając do piersi torebkę i kluczyki do samochodu.

— Nie znalazłam go — powiedziała. — Nigdy nie znajduję tego, czego potrzebuję. To nic nowego.

Owiało nas świeże, wilgotne powietrze. Wokoło szum deszczu, sznury od bielizny i mokre prześcieradła. — Lepiej pobiegnijmy — powiedziała i zaczęła się śmiać. Jej śmiech zmieszał się z wiatrem i deszczem. Ruszyłem za nią, przeskakując kałuże, dookoła domu i wzdłuż placyku, za budkę i pod blaszane zadaszenie, pod którym był zaparkowany samochód Santa.

Śmiała się jeszcze, gdy wsiadaliśmy.

— Wyglądamy, jak gdybyśmy wyszli z kąpieli — stwierdziła.

— Nie szkodzi. Nie musiała pani.

— Dlaczego? To dla mnie żaden problem.

Wytarłem twarz wilgotną koszulką. Anna przejrzała się w lusterku, odgarnęła włosy z czoła i przesunęła dłonią po twarzy.

— Od dawna nie prowadziłam — przyznała i przyjrzała się dźwigni skrzyni biegów, wysuwając czubek języka. — Sprzedał nasz samochód — dodała i westchnęła.

— Kto?

— Ojciec Stefana.

Przesunęła siedzenie do przodu, uruchomiła silnik i włączyła światła. Ruszyła z charkotem silnika, potem włączyła wycieraczki. Za ścianą deszczu wszystko — dystrybutory benzyny, szyld, szosa, zarosłe pole i wzgórze — wydawało się niewyraźne i rozmazane.

— Dobrze — wyszeptała, kiedy powiedziałem jej, żeby skrzyła w prawo. Gdy wjechaliśmy na szosę w lesie, zwolniła. Jechała w ślimaczym tempie.

— Co robi twój ojciec? — spytała.

— Pracował w przędzalni. Teraz jest robotnikiem budowlanym.

Pomyślałem, że musiała słyszeć o zamknięciu zakładów, bo tylko kiwnęła głową.

— Jak się ma?

— Dobrze, dziękuję.

— Cieszę się — wyglądała, jakby jej ulżyło. — Łebski był z niego chłopak. Kiedy byliśmy mniej więcej w twoim wieku, pewnego lata pomagał w warsztacie.

— Wiem. — Wiedziałem też, że Santo zamknął warsztat po śmierci żony.

Deszcz zaczął ustawać i Anna przestawiła wycieraczki na wolniejsze tempo.

— Twojemu ojcu było bardzo ciężko, kiedy został sam.

— Nigdy mi o tym nie opowiadał.

— No cóż, wszyscy mamy swoje sekrety, prawda? Ty pewnie też.

Spomiędzy chmur wysunął się niewyraźny rąbek bladego księżyca. Przejechaliśmy prosty odcinek drogi, na którym dwa miesiące później mój ojciec miał się zatrzymać i zaproponować dziewczynie, że ją podwiezie.

— Niedługo moje urodziny — powiedziała cicho, jak gdyby chciała się komuś zwierzyć i wybrała właśnie mnie. — Trzydzieści sześć lat. Ale mogłabym być młodsza. Albo starsza. To zależy.

Minęliśmy oszklone ściany restauracji, cienie siedzące przy stolikach i auta na parkingu. Szosa była pusta. Za ostatnim zakrętem zobaczyłem między drzewami światło na ganku.

— Dojechaliśmy — powiedziałem.

Reflektory samochodu oświetliły podjazd przed domem i skrzynkę pocztową. Furgonetka stała na podwórzu obok samochodu. W domu było ciemno, rodzice pewnie spali. Z domu Idy słyhać było piosenkę Battistiego: Simona uspokajała się tylko przy muzyce.

Anna zatrzymała samochód i obróciła się w moją stronę: — Twoja matka ma na imię Marta, prawda?

Przytaknąłem. Ona też kiwnęła głową.

— Jesteś do niej podobny — dotknęła mojego czoła. — Te same oczy. Znałam ją. Wszystkich znałam. Wydaje mi się, że minęły wieki. Może to i prawda — westchnęła. — Pozdrów ich ode mnie, to dla mnie ważne.

Oparła głowę na oparciu fotela, jak gdyby musiała chwilę odpocząć.

— Jaka piękna piosenka — wyszeptęła.

Siedziałem przez chwilę, przysłuchując się muzyce.

— Wobec tego dobranoc, Elia Furenti.

Patrzyła na drzewa, na miejsce, w którym droga przechodziła w ścieżkę. Nic już nie powiedziała, kiedy się pożegnałem.

II

Smród potu czuć nawet przy otwartych oknach. Deskę rozdzielczą, siedzenia i podłogę pokrywa warstwa kurzu.

W tylnej części furgonetki ojciec położył materac — żeby odpoczywać w czasie przerwy obiadowej, tłumaczył. Wokół materaca cmentarzysko zgniecionych kartek, długopisów i ołówków, kilka siatek z pustymi puszkami po piwie. Dziewczyna tego nie zobaczyła, nie obróciła się, bo i po co?

Prawdopodobnie patrzy na drogę i na drzewa za szybą, podczas gdy włosy spadają jej na twarz, płaczą się między wargami, odrzuca je do tyłu z lekkim zniecierpliwieniem.

Na piechotę droga zajęłaby ci sporo czasu, mówi ojciec.

Ida wróciła dzisiaj późno. Musiała skończyć jakąś pracę.

Czas leci, mówi on.

Puste przestrzenie pojawiają się między jego słowami, jak gdyby bardzo się starał dobrać je właściwie i nie był pewien, czy umie to zrobić. Zaciska ręce na kierownicy; dziewczyna nie zauważa, jak bardzo drżą.

Chcesz zapalić?

Tak, dziękuję. Skończyły mi się papierosy, muszę je kupić.

Nie krępuj się, mówi on i ruchem głowy wskazuje paczkę leżącą pod deską rozdzielczą. Mnie też wyjmij jednego.

Wsufa między wargi papierosa, którego podała mu dziewczyna, czeka na zapalniczkę, pstryka nią dwa czy trzy razy, bo płomyk gaśnie, a potem przymyka oczy i odpręża się, wciągając dym.

Tego mi było trzeba, mówi.

Dziewczyna patrzy na podłogę, na latarkę, którą właśnie trąciła nogą; przesuwają ją trochę dalej.

Przykro mi, że przeze mnie wróci pan późno do domu.

Gorący wiatr wpada do wnętrza furgonetki i układa dym w fantazyjne wzory, które rozbijają się o przednią szybę.

Ojciec odwraca się i spogląda na dziewczynę. Uśmiecha się, nie wyjmując z ust nieodłącznego papierosa, jego oczy są szkliste i niemal przezrocyste.

Przecież nie mogłem cię tam zostawić. Samej w lesie. Co ci się stało w przegub?

Mały wypadek, odpowiada.

Simona?

Właśnie.

Światło słońca spokojnie ześlizguje się ku letniemu zachodowi.

Dziewczyny nie powinny chodzić samotnie, mówi ojciec. Różne rzeczy się teraz dzieją.

Tuż przed zakrętem zmienia bieg i zwalnia. Jego knykcie są białe i popękane. Dziewczyna ma wrażenie, że słyszy ćwierkanie ptaków — tajemną naradę pomiędzy listowiem.

Lepiej trzymać się bezpiecznych miejsc, dodaje ojciec.

To prawda, mówi ona i przypomina sobie Giorgia Longhiego, znalezionego u podnóża skarpy, i że nikogo nie aresztowano. To wspomnienie wytrąca ją z równowagi, nie chce do niego wracać, nie po takim dniu jak ten. Dziewczyna odgania tę myśl, zaciąga się papierosem i opiera łokieć na brzegu okna, odsuwając włosy z czoła. Wyrzuca niedopałek. Rozczapierza palce w ciężkim, wilgotnym, gorącym powietrzu. Wzdycha.

Dzisiaj można umrzeć, mówi.

Tak, przytakuje ojciec.

Dziewczyna

Dom był pograżony w ciemnościach. Drzwi otwarte na oścież.

Wszedłem, zamykając je za sobą, i przekręciłem klucz w zamku. Dobiegł mnie warkot oddalającego się auta Anny, a potem szept mojej matki.

— Proszę — mówiła, ale nie usłyszałem nic więcej.

Po chwili zjawiała się w korytarzu — mała, drobna postać. Weszła do kuchni i zapaliła światło.

— Cześć — powiedziałem.

Cofnęła się o krok, podniosła rękę do szyi i otworzyła szeroko oczy.

— Elia. Co ty tu robisz po ciemku?

— Właśnie wróciłem.

Stół był jeszcze nakryty. Obok brudnego talerza ojca stały przepełniona popielniczka i szklanka z odrobiną mętnej wody, w której pływał niedopałek. Całe pomieszczenie było zadymione.

Matka splotła ręce, roztarła ramiona, po czym otworzyła lodówkę i wyjęła butelkę z domową lemoniadą. Odsunęła krzesło i usiadła.

— Przestało padać — zauważyła.

Była w piżamie. Miała na nogach różowe pantofle, te ciepłe, które na ogół znikwały pod koniec zimy. Na lewym ojciec narysował kiedyś parę oczu, okrągły nos i kręcony ogonek. Zaczął biegać dookoła stołu, kwicząc, podczas gdy matka gonila go, usiłując odzyskać pantofel, a ja śmiałem się jak szalony.

Wypiła łyk lemoniady z butelki — nigdy tego nie robiła — i postawiła ją na stole.

— Wszystko w porządku?

— Chyba tak.

— Jesteś przemoczony. Jeszcze się zaziębisz.

Powinienem był jej przekazać pozdrowienia od Anny Trabui, ale chwila nie wydała mi się odpowiednia.

Coś poruszyło się w jej piersi, wstrzymywany szloch.

— Chcesz tam wrócić?

Domyśliłem się, o czym mówi. — Myślę, że tak. Jutro.

Zacisnęła palce na wilgotnej szyjce butelki.

— Trzeba było dać więcej cukru. Mówiłeś, że jak on się nazywa?

Nie powiedziałem jej tego.

— Stefano.

Powtórzyła jego imię.

— Jest w moim wieku — dodałem.

Jest taki jak ja, chciałem dodać, bo takie właśnie wrażenie odniosłem, gdy zobaczyłem go siedzącego samotnie na murku. Gdy do mnie podszedł. *Chcesz zapalić?*

— Powinieneś wychodzić ze swoimi przyjaciółmi — powiedziała. Zabębniła palcami po szybie i zmarszczyła czoło. — Pewnych osób lepiej unikać. Zostawić je tam, gdzie są. Chciałabym, żebyś o tym pamiętał. Teraz idź do łóżka. Ojciec nie czuje się dobrze.

Włożyła butelkę z powrotem do lodówki.

— Co mu jest? — spytałem.

— Musi się tylko przespać.

— Ale gdzie dzisiaj był? Powiedział ci?

Dostawiła krzesło i zaczęła sprzątać ze stołu.

Nie zdradziła mi, że ojciec do niej telefonował. Po tym, jak zostawił mnie na stacji benzynowej, zadzwonił do niej z baru-trafiki przy głównej szosie i powiedział, że z nim jestem, czekam na niego w furgonetce. Wyznał, że dziwnie się czuje. Dowiedziałem się tego wiele miesięcy później. Tego lata każde z nas trojga zachowało coś dla siebie, jakieś sekrety — tak jak mówiła Anna. Moja matka miała nadzieję, że to wystarczy, i milczała, dopóki to było możliwe. Nie mogę jej za to winić.

W łazience wytarłem włosy ręcznikiem, przeglądając się w lustrze. Czoło mojej matki — miała takie samo — i jej piwne oczy.

W pokoju się rozebrałem, otworzyłem okno i wyciągnąłem się w majtkach na łóżku. Zdjęcie dziecka. Chwilę później kroki matki w korytarzu i skrzypienie łóżka.

Przysunąłem się do ściany i położyłem na boku, myśląc o Stefanie, który podszedł do mnie za dystrybutorami benzyny w dusznym popołudniowym upale. Przed zaśnięciem ujrzałem furgonetkę ojca na zakurzonej drodze, zobaczyłem, jak zawraca i znika za horyzontem.

Tego ranka słońce wdzierало się przez okiennice.

Słyszałem wodę lejącą się do wanny, metaliczne chrobotanie w rurach, ćwierkanie ptaków.

Zastanawiałem się, czy ojciec został w domu, czy pojechał do pracy, i przypomniało mi się pytanie, które zadał mi wieczorem kilka dni wcześniej, siedząc na brzegu mojego łóżka i wpatrując się w swoje ręce.

„Tak sobie myślę... niektórzy ludzie idą w życiu stale do przodu, a inni tego nie potrafią. Twoim zdaniem, do której grupy należę?”

„Ty idziesz do przodu”, odpowiedziałem, a on uśmiechnął się lekko, po czym przycisnął palce do skroni.

„Miejmy nadzieję”.

Matka wyszła z łazienki i zeszła do kuchni. Wstałem, włożyłem dżinsy i dołączyłem do niej. Stała przy oknie w szlafroku, z filiżanką w ręku.

— Wypałeś się? — spytała.

Wziąłem paczkę herbatników i usiadłem.

— Tak. Tata?

— Jest w pracy.

— Lepiej się czuje?

— Co? Ach, to nie było nic takiego. — Wypiła łyk kawy. Światło padało ukośnie na jej ramiona i włosy.

— Wszystko się dzisiaj ślimaczy — powiedziała. — Podziękowałeś Santowi Trabuio za podwiezienie?

Nie czekała na moją odpowiedź. Znowu zapatrzyła się w okno.

— Nie wiesz, na jak długo przyjechali?

— Nie powiedział mi tego.

Oplukała filiżankę.

— Idę się ubrać — powiedziała. Potem zatrzymała się i odchrząknęła: — Zostaw go w spokoju. Mam na myśli tego chłopca. Pewnie jest taki, jak jego matka. Niektórych ludzi nie obchodzą inni. Nie obchodzi ich, jak się czujesz.

Nie miałem odwagi zapytać, co ona o tym wie i co jej zrobiła ta kobieta.

— Nie zapominaj o tym — dodała.

Poszła się ubrać, w szafie zastukały wieszaki. Zjadłem kilka herbatników. Wróciła do kuchni z golfem narzuconym na plecy i torebką pod pachą. Nie uczesała się ani nie umalowała, wyglądała na zagubioną.

— Muszę lecieć. Nie złość się na mnie, że ci mówię takie rzeczy, jestem twoją matką.

Posłała mi pocałunek bladymi ustami i wyszła.

Popatrzyłem na trawnik, jeszcze wilgotny po deszczu, skąpany w świetle, i na czyste niebo. Ćwierkanie ptaków wypełniło poranną ciszę.

Czekałem na autobus w cieniu drzewa.

Ruszyłem w jego stronę, kiedy nadjechał — pisk hamulców, szum otwieranych drzwi, nieliczni pasażerowie, którzy tutaj wysiadali — patrząc, jak na ziemię wyskakuje dziewczyna z płócienną torbą i ziewa. Na plecy opadała jej masa splątanych ciemnych włosów, koszulka obciskała piersi.

— Cześć — powiedziała, znowu ziewając.

Spotykaliśmy się czasem na drodze i gawędziliśmy chwilę; wypraszałem od niej papierosy. Przez rok pracowała ze swoją matką w sklepie, ale potem jej się znudziło — „cały czas były kłótnie” — i podjęła się opieki nad Simoną: „nie mogę narzekać, ale są dni, kiedy chciałabym wziąć nogi za pas”.

Tego lata miała dwadzieścia jeden lat i byłego narzeczonego, o którym chyba jeszcze myślała, choć mówiła o nim z pewnym politowaniem: „tym gorzej dla niego, nie wie, co stracił”.

— Mogę się z tobą zabrać? — spytała, gdy wsiadałem do autobusu. — Dzisiaj nie pracuję.

Złożyła ręce i udała, że zaczyna płakać, jak gdyby ogarnęła ją rozpacz.

Nie była piękną — miała zbyt grube nogi, świeciła jej się skóra na twarzy — ale przez pewien czas, rok wcześniej, zapłaciłbym każde pieniądze, żeby ją pocałować albo zobaczyć naga; zamykałem się w łazience, spuszczałem spodnie do kostek i dotykałem się, wyobrażając ją sobie. Któregoś dnia zobaczyłem, jak zapala papierosa za niskim żywopłotem, skręca za węgiel domu — gdzie była Simona? — zdejmuje bluzkę i wyciąga się w biustonoszu na leżaku. Potem miesiącami nawiedzał mnie sen, w którym wołała mnie i zdejmowała biustonosz. W końcu mi przeszło.

Oczywiście, nie powiedziałem jej tego. Nie przyznałem się też, że nigdy nie miałem dziewczyny.

Zachęciłem ją gestem, żeby wsiadła. Uśmiechnęła się.

— Może innym razem — powiedziała.

Usiadłem w głębi autobusu i odwróciłem się — za zakurzoną szybą ujrzałem, jak podnosi rękę i porusza nią wolno w geście pożegnania. Obraz nawiedzający mnie w snach stał się podobny do rozdarcia, którego nie umiałem zaszyć, kiedy mój ojciec zatrzymał ją, zapytał, dokąd idzie, i wywiózł do lasu.

III

Sierpniowa noc, ostatnia, którą spędził w domu.

Rozbudziłem się ze snu, w którym matka wysiadła z furgonetki i pytała: „Wiedziałeś o tym?”.

O czym? — chciałem zapytać.

Skopałem prześcieradło w nogi łóżka. Zaszło mi w gardle — byłem zlany potem i umierałem z gorąca — więc zszedłem do kuchni, żeby się czegoś napić.

Ojciec zapytał: — To ty?

Przeszedłem przez otwarte drzwi.

Ledwie odwrócił głowę. Siedział w szerokim rozkroku, z piwem w ręku.

— Która godzina? — spytałem.

— Zdaje mi się, że tam jest zegar.

Tydzień wcześniej zastałem ojca na schodach: jęczał i walił się pięściami po głowie: „Nie mogę już wytrzymać tego bólu”.

— Dobrze, wracam do łóżka.

Wymruczał coś pod nosem.

— Nie zrozumiałem.

— Powiedziałem, że nie mogę oddychać. Czuję się tak, jakby ktoś mnie dusił.

— Z powodu gorąca?

Miał na sobie krótkie spodenki, był boso. Podniósł do ust puszkę i upił duży łyk.

— Dobrze by było — odpowiedział, wycierając wargi. — Matka śpi?

— Tak.

— To i lepiej.

Postawił puszkę na podłodze.

— Widzisz coś tam w głębi? — spytał, wskazując na drogę.

— Nie. Dlaczego?

Potrząsnął głową.

— Nieważne.

Wróciłem do swojego pokoju i zacząłem się przyglądać cieniom na suficie.

Miałem wrażenie, że kiedyś już przeżyłem tę chwilę.

Styczeń. Na zewnątrz było ciemno i padał śnieg. Leżałem na łóżku i czytałem komiks z serii *Tex*. Ojciec przeszedł obok mojego pokoju z dłońmi splecionymi na karku i zszedł do kuchni.

— Prawie gotowe — powiedziała matka. — Dokąd idziesz?

Usłyszałem trzaśnięcie drzwi. Matka mnie zawołała. Wpatrywała się w drzwiczki szafki kuchennej, ramiona miała bezwładnie opuszczone wzdłuż boków.

— Zanieś mu kurtkę — powiedziała.

— Sam mógł sobie wziąć.

— Elia — odwróciła się, żeby na mnie popatrzeć — proszę.

Włożyłem wiatrówkę, zerwałem jego kurtkę z wieszaka i wyszedłem. Powietrze było lodowate, płatki śniegu spadały gęsto i powoli. Ujrzałem ojca stojącego nieruchomo na skraju drogi.

— Tato — zawołałem.

Nie odwrócił się ani nie poruszył.

— Tato?

Przeklinając, podszedłem do niego; śnieg padał mi za kołnierz i na twarz. Kiedy znalazłem się za jego plecami, ojciec podniósł rękę.

— Popatrz — powiedział.

Wpatrywał się w dom Idy, w oświetlony salon. Muzyka falowała jak płatki śniegu. Za szybą widać było jakąś postać: niezdarnie poruszała biodrami, rozłożyła ramiona i zakręciła nimi w powietrzu.

— To Ida — powiedziałem.

Dołączyła do niej Simona, kołysząc chwiejną głową i zasłaniając uszy rękoma.

Czułem się nieswojo, podglądając je w ten sposób. Nie podobało mi się spojrzenie ojca, mimo iż powiedział mi, że nie muszę się bać. Podałem mu kurtkę, ale jej nie włożył.

— Jesteś ślepy?

— Tato, wracam do domu.

Kiedy odchodziłem, wymamrotał jeszcze: — Naprawdę jej nie widzisz?

Czcij ojca

Dotarłem na stację benzynową.

Santo Trabuo siedział przed swoją budką. Przywitałem się z nim; ledwie podniósł głowę, ale potem popatrzył na mnie i cmoknął językiem, jak gdybym zrobił coś złego.

— Wzięliście mój samochód? — zapytał. — Wczoraj wieczorem.

— Tak — odpowiedziałem. Córka mu nie powiedziała?

Wrócił do kontemplowania zachwaszczonego trawnika.

Znałem go od zawsze, od najwcześniejszego dzieciństwa. Postać na marginesie moich wspomnień. Rodzice mówili o nim zawsze z sympatią, ale mnie wydawał się zagadką, zwłaszcza po śmierci żony. Nigdy nie próbowałem się z nim zaprzyjaźnić.

— Do widzenia — powiedziałem, ale chyba mnie nie usłyszał.

Obszedłem dom i zatrzymałem się przed otwartymi drzwiami kuchni. Zajrzałem do zacienionego wnętrza: Anna stała pochylona nad stołem, plecami do mnie, i szorowała blat z laminatu. Odłożyła gąbkę i zaczęła go drapać paznokciami.

Chrząknąłem; odwróciła głowę. Patrzyła na mnie przez chwilę, po czym powiedziała: — Co tak stoisz? Wejdz, usiądź. Chcesz szklankę wody?

— Tak, poproszę.

Przeplukała ręce, napełniła szklankę i podała mi. Woda była letnia, miała żelazisty smak.

— Przekazałeś rodzicom pozdrowienia ode mnie?

Powiedziałem, że tak.

— To dobrze.

Popatrzyła w poranne światło za drzwiami: — Pokłóciliśmy się ze Stefanem. Nie ma go w domu. Możesz na niego poczekać, jeśli chcesz. — Odsunęła krzesło i usiadła. — Elia — powiedziała, jak gdyby niespodziewanie przypomniała sobie moje imię. — Wiesz, to mi się wydaje dziwne.

— Co takiego?

— Wszystko. — Położyła rękę na stole i przechyliła głowę. — Próbowалаm go wyczyścić. Cały się lepi.

Zamilkła, znieruchomiła. Zastanawiałem się, o czym myśli. Nagle na progu zjawił się Stefano. Odwróciła się, uśmiechnęła i ciepłym, pełnym entuzjazmu głosem

zawołała: — Zobacz, kto nas odwiedził! Wzięła ode mnie szklanę i poszła ją wstawić do zlewu.

Przywitałem się ze Stefanem. Spojrzał na mnie, dotykając kieszeni wypełnionych żetonami, potem zwrócił się do matki i powiedział: — A właśnie, że to zrobiłem.

Anna westchnęła: — Dobrze już, jak chcesz. — Wyjęła ze słoika zwiędłe stokrotki i wyrzuciła do kosza na śmieci.

Oddaliliśmy się, śledzeni niemyym spojrzeniem starego Trabuio.

Przeszliśmy przez główny plac miasteczka i weszliśmy na most. Stefano zatrzymał się na chwilę, wychylił przez poręcz i splunął do wody. Na przeciwległym brzegu, za fabryką mebli, ciągnął się mur otaczający zakłady.

— Mój ojciec tam pracował — powiedziałem. — Teraz jest zamknięty.

Przeniósł spojrzenie na kominy fabryczne, osłaniając czoło, wyciągnął z kieszeni paczkę MS-ów i dał mi jednego.

— Mogę cię o coś spytać? — odezwałem się.

Szliśmy w górę drogą biegnącą do kopalni. Drzewa przesłaniały światło. Podniosłem z ziemi kamień i cisnąłem go przed siebie.

— Jasne.

— Co takiego zrobiłeś?

— Nie twój interes — odparł i wydmuchnął kółko z dymu, ale potem dodał: — Zadzwoń do ojca.

Nie zwierzył się, o czym rozmawiali ani o co go spytał. „Kiedy po mnie przyjedziesz?” — pomyślałem. — „Nie mogę tu już wytrzymać”. W taki właśnie sposób zostaliśmy przyjaciółmi: uwikłani w przemilczenia, w to, czego nie umieliśmy wyrazić ani zrozumieć.

— Dlatego nosisz te żetony?

— Stary trzyma je w pudełku w sypialni — powiedział. — Wziąłem trochę, na pewno nie zauważy. Zresztą do diabła z tym.

Dyszeliśmy, wędrując przez plamy cienia i słońca. Wyrzucił niedopałek, rozciągnął ramiona i odgarnął włosy z czoła.

— Znałeś go? — spytał nagle.

— Kogo?

— Tego chłopca.

Pożegnał się z kolegami i ruszył — w wełnianym berecie wciśniętym na głowę, w szaliku owiniętym wokół szyi, z tornistrem na plecach. Widziano go na skrzyżowaniu, gdy czekał na zielone światło, wpatrując się w migające lampki bożonarodzeniowych dekoracji. Przeszedł przez ulicę i skręcił w lewo, oddalając się od centrum, na drogę biegnącą wzdłuż łąki i koło opuszczonego domu o otworach okiennych zabitych deskami, a nieco dalej obok parkanu i zakładu wulkanizacji. Zaledwie trzysta metrów. Samochód, który zwalnia — kierowca, na pewno mężczyzna — otwierające się drzwi, wysunięte ramię, ręka chwytająca dziecko. A może chłopiec zna tego mężczyznę, który się wita i z uśmiechem zaprasza go, żeby wsiadł, coś mu obiecuje — czekoladkę, mały podarunek. Nikt nic nie zauważył.

Matka powiedziała mi o tym wieczorem po powrocie z pracy, zdejmując w korytarzu płaszcz: „Zaginęło dziecko, szukają go od popołudnia”.

Poszedłem za nią do kuchni. Patrzyła na swoje odbicie w szybie.

„Kto to?”, spytałem.

„Syn właściciela sklepu żelaznego”.

Widziałem go kilka razy za ladą sklepu i na placu zabaw, na huśtawce.

— Zaraz przygotuję coś do jedzenia — powiedziała. — Robi się późno.

Ojciec wrócił pół godziny po niej — kto wie, gdzie był. Zamknął się na klucz w łazience. Matka poszła go zawołać, zapukała, powiedziała, że kolacja gotowa, ale się nie odezwał.

Kiedy wreszcie przyszedł do kuchni, zjadł tylko łyżkę zupy, założył nogę na nogę i zapalił papierosa.

„Wiesz, co się stało?”, spytała.

Przytaknął niemal niedostrzegalnym ruchem głowy, wpatrując się w ścianę, podczas gdy głos matki rozsnuwał się w ciszy — kto jej o tym powiedział i kiedy, i co się mogło zdarzyć: na pewno nic strasznego i nieodwracalnego.

„Pewnie się gdzieś ukrył, a teraz jest przestraszony i nie wie, co robić”.

„Sprawdzę na dole”, powiedział ojciec i zszedł do garażu.

Stefanowi opowiedziałem tylko część historii: nie wspomniałem o ojcu, o sposobie, w jaki wpatrywał się w ścianę. Ani o fotografii, którą przyklepiłem nad łóżkiem.

Wyszliśmy z lasu, droga była płaska i słońce paliło nas w głowy.

— Kto to zrobił, twoim zdaniem?

— Skąd mam wiedzieć — wzruszyłem ramionami.

— Musi się tu kręcić sporo stukniętych typów — powiedział, dotykając palcem skroni.

— Wszędzie takich znajdziesz.

Na górze wszystko było wyschnięte i zapuszczone. Kilka niskich budynków popadających w ruinę. Baraki z zapadniętym dachem i wyrwanymi drzwiami, zarastające na ścianach gęstą roślinnością. Nieco dalej zajezdnia kolejki, z której wystawał zardzewiały wagonik, przechylony na bok. Otwarte, ciemne wejścia do tuneli, tory zarośnięte wybujałymi chwastami. Patrzyliśmy na to wszystko, kurząc papierosy, a potem wskazałem Stefanowi ścieżkę biegnącą do zagajnika.

— Jesteśmy prawie na miejscu — powiedziałem.

Brakowało nam tchu, koszulki lepiły nam się do pleców, kiedy w końcu zobaczyliśmy wyblakłą taśmę rozciągniętą między drzewami. Przypomniałem sobie tamto letnie popołudnie — ślady moich kroków na śniegu, błękitne, odległe niebo.

— To tam — powiedziałem, siadając na zwałonym pniu.

— Ty nie idziesz?

— Nie mam ochoty.

— Dlaczego? — spytał.

— Już to widziałem.

Stefano wzruszył ramionami. Oddalił się, przeskoczył taśmę i nachylił się, żeby popatrzeć.

Ktokolwiek to był, to on zaniósł ciało Giorgia Longhiego do podnóża skarpy — zostało złożone na ziemi, nie miało złamań ani innych obrażeń. Kilka metrów dalej znaleziono buty chłopca bez sznurówek, złożone ubranie, podkoszulek i majtki, skarpetki i pusty tornister.

— Wiesz, co myślę?

Powietrze było wilgotne, przepełnione bzyczeniem owadów.

— Nie — odpowiedziałem.

Znowu splunął. — Jeśli złapią tego, kto to zrobił, powinni go zabić.

Odprowadziłem Stefana do domu — poprosił mnie o to.

Siedliśmy w cieniu na cementowym schodku przed kuchnią. Patrzyłem na jego matkę, zbierającą rozwieszoną bieliznę. Nuciała.

— Idę się odlać — powiedział Stefano.

Podeszła do mnie z pełną balią, roztrącając po drodze chmurę dmuchawców.

— Zostaniesz na obiad?

Czoło miała sperlone potem, do kostki przylgnęło jej źdźbło trawy.

— Może innym razem.

Wessała policzek do środka. — Szkoda.

Weszła do domu, kiedy usłyszeliśmy wracającego Stefana. Stanął przede mną ze zmoczonymi włosami i gołym torsem, potrząsnął głową, spryskując mnie wodą.

— Odwał się — powiedziałem, ale on się zaśmiał i ja też wybuchnąłem śmiechem.

— W ten sposób się ochłodziłeś.

Kiedy mu powiedziałem, że wracam do domu, od razu się naburmuszył.

— Ale możesz do mnie zadzwonić, jeśli będziesz chciał, żebyśmy coś razem zrobili. Dam ci numer telefonu.

Wrócił do kuchni, poszperał w szufladach szafek i podał mi notes z ogryzkiem ołówka. Zapisałem swój numer, wydarłem kartkę z notatnika i mu podałem; popatrzył na nią z roztargnieniem i wsadził do kieszeni.

— Jutro? — spytałem.

— Jeśli jeszcze tu będę — odpowiedział.

Później zobaczyłem furgonetkę zaparkowaną na podwórku.

Ojciec zalepił tylne szyby gazetami. Na masce pozostawił rolkę przylepca. Próbowałem otworzyć drzwi, ale były zamknięte na klucz. Popatrzyłem do środka przez przednią szybę: w półcieniu dostrzegłem materac.

— Czego tu szukasz?

Ojciec wyszedł z ganku. Miał na sobie robocze ubranie.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie.

— Muszę z tobą porozmawiać — powiedział. — Chodź do środka.

Wszedłem za nim do domu i do sypialni. Okiennice były jeszcze zamknięte. W popielniczce obok lampki nocnej tlił się zapalony papieros. Ojciec wyciągnął się na łóżku, oparł głowę na zagłówek i zapalił następnego papierosa.

— Już wróciłeś? — spytałem. Zatrzymałem się w progu.

— Na to wygląda.

— Dlaczego?

— Musiałem coś załatwić. Matka zaraz wróci?

— Już prawie pierwsza.

— No to nie mamy dużo czasu.

Przesunął dłonią po włosach, odgarnął je w tył.

— Wiesz, co mówi jedno z przykazań?

Pomyślałem, że stroi sobie żarty. Nie wierzył w Boga, powtarzał zawsze: „To wymysł dla słabeuszy”; matka była bardziej otwarta, a może tylko bardziej niepewna. Nie chodziliśmy do kościoła, chyba że na śluby i pogrzeby.

— Które?

— Czuj ojca — wybełkotał i potarł twarz. — Masz jakieś zastrzeżenia?

Pomyślałem o oknach furgonetki. — Nie.

— Dobrze. Bo tak właśnie ma być.

Podkurczył nogi i znowu je opuścił, jak gdyby zabrakło mu sił.

— Ale trzeba przebaczać. Tak jest gdzieś napisane, prawda? Dlatego wybaczam ci.

Chciałem zapytać, o czym mówi, ale nie otworzyłem ust.

Popatrzył na mnie zza chmury dymu. — Nie zapominaj o tym — powiedział. — To samo dotyczy twojej matki.

Czekałem na nią na ganku, w powietrzu dźwięki muzyki. Kiedy mnie zobaczyła, naciśnęła klakson. Wsiadła z samochodu, popatrzyła na furgonetkę i poprosiła, żebym pomógł jej wypakować zakupy.

Poszedłem po siatki i zaniósłem rzeczy do kuchni.

— Tata już jest?

— W pokoju — powiedziałem.

Zdjęła zegarek, odkręciła wodę, przepłukała dłonie i przeguby.

— Mówił dziwne rzeczy.

Osuszyła ręce i zaczęła przetrząsać siatkę.

— Na pewno nie kupiłam wszystkiego, ale nie wiem, czego brakuje. — O tym myślała, kiedy jej rodzina ulegała rozpadowi? Potem popatrzyła na mnie: — Byłeś tam dziś rano?

— Już powiedziałem — uciałem. — Tata zapytał mnie, czy...

Ale matka potrząsnęła głową: — Może nie zrozumiałeś, co myślę o pewnych ludziach. Nie zmieniałam zdania. — Napelniła garnek wodą i postawiła na gazie. — Rozpakuj zakupy. Zaraz wracam.

Poszła do niego, drzwi sypialni się otworzyły i usłyszałem jej głos: — Jak się czujesz, kochanie?

Opróżniłem siatki, wróciłem na podwórze, wziąłem rolkę przylepca i zaniósłem ją

do garażu.

Ojciec nie zszedł na obiad.

— Zasnął — powiedziała matka, odcedzając makaron. — Bardzo bolała go głowa. Dlatego wrócił do domu.

Słaby wiatr zaledwie poruszał zasłony.

Podzieliłem spaghetti na dwie poskręcane kupki. — No więc chcesz wiedzieć, co mi powiedział, czy nie?

Matka żuła powoli. Przycisnęła serwetkę do ust, splotła palce i położyła łokcie na stole. — Niech będzie.

Wysłuchiwała wszystkiego — czcij ojca swego i tak dalej — z przymkniętymi oczyma, jak gdyby słońce świeciło jej prosto w twarz, po czym uśmiechnęła się blade.

— Tak tylko sobie gada. Nie zwracaj na to uwagi.

Nie byłem pewien, czy naprawdę tak myśli, czy tylko usiłuje wierzyć, że najgorsze już za nami.

— A jeśli znowu stanie się taki, jak tej zimy?

Nie rozmawialiśmy już o listach, o dniach spędzanych nie wiadomo gdzie ani o bezsennych nocach. Ani o zakrwawionej ręce.

Wyprostowała plecy i odchrząknęła: — Co ci przychodzi do głowy?

— Widziałaś okna furgonetki? Widziałaś, co do niej włożył? Materac.

— Nie musisz się martwić. Zawsze jest jakiś powód. Życie jest skomplikowane, to wszystko. Zawsze możesz wybrać.

— Co?

— Czy patrzeć wstecz, czy przed siebie.

Wzięła widelec i zaczęła jeść.

— Dlaczego nie lubisz Anny Trabuo? — spytałem.

— Poznałeś ją?

— No tak, ona też tam była.

Matka popatrzyła na mnie, jak gdyby oczekiwała, że wspomnę o czymś nieprzyjemnym, co Anna powiedziała lub zrobiła, ale milczałem.

— Uważała, że jest *wyjatkowa* — odezwała się wreszcie matka. — Uważała, że jest inna. Na pewno inna ode mnie. Mówiła to także ojcu. — Wrzuciła do garnka resztę niedojedzonego makaronu. — Jej rodzice byli zrozpaczeni, kiedy uciekła z tym typem. Obeszło ją to? Nic a nic.

— Na mnie nie sprawia wrażenia takiej osoby.

— Dostyc już o tym — ucięła matka. Zdjęła fartuch, podgrzała kawę i naląa do filiżanki. — Idę go zbudzić.

Pocałowała mnie w policzek i przesunęła mi ręką po włosach.

— Myślmy o czymś przyjemnym — powiedziała.

Kochała nas obu, to było jej życie i nie miała innego.

IV

Dziewczyna wystawia ramię przez okno, wdychając ciepłe powietrze.

W dole drogi jeszcze świeci słońce i Ponte wygląda tak, jakby ogarnęły je płomienie, choć drugi brzeg rzeki pogrążył się już w cieniu. Rzeka ma kolor ropy, jej powierzchnia lśni zmiennymi odcieniami.

Zaraz będzie w domu, myśli. Podnosi stopy i wysuwa pięty z butów, a latarka znowu turla się po podłodze.

Przeszkadza ci? pyta ojciec. Możesz ją odłożyć, jeśli chcesz.

Nie, nic nie szkodzi.

Mówiłaś, że skończyły ci się papierosy?

Tak.

Jeśli chcesz, możemy po nie pojechać, ja też muszę kupić paczkę. Przy szosie przelotowej jest sklep otwarty o tej porze, mówi, jak gdyby tego nie wiedziała, jak gdyby nie mieszkała w Ponte.

Czemu nie, dziękuję, odpowiada dziewczyna, a wtedy on się uśmiecha.

Tak więc furgonetka skręca w szosę przelotową. Krótki zjazd z trasy, tylko kilka minut. W okolicy nie ma prawie nikogo.

Będą się zastanawiać, gdzieśmy się podziali, mówi ojciec. Nie masz czasem ochoty gdzieś uciec?

Od czasu do czasu, odpowiada dziewczyna.

Prześwit między krzakami, od którego stroma ścieżka prowadzi na plażę — tak nazywają w tych stronach skrawek skalistego brzegu wydarty strumieniowi. Pomiędzy polami niewielkie skupiska domów. Zakład złomowania pojazdów. Magazyn budowlany. Na koniec bar-trafika, niski budynek z murami z chropawego betonu.

Ojciec nie zwalnia — zaczął bębnić palcami o kierownicę — potem nagle skręca. Dziewczyna przyciska do siebie torebkę, jak gdyby chroniła niemowlę.

Przepraszam. Przestraszyłem cię?

Ależ skąd, odpowiada drżącym głosem.

To dlatego, że głowa pracuje na zbyt dużych obrotach. Zbyt wiele w niej myśli. Teraz już będę uważał.

Zatrzymuje furgonetkę z boku budynku, z dala od wejścia. Za murkiem rozciąga się pole kukurydzy, żółte i zakurzone w ostatnich promieniach słońca. Puste kartony, kosze na śmieci, skuter.

Poczekaj tutaj, mówi ojciec, wyjmując kluczyki ze stacyjki i ściskając je w garści. Jakie papierosy mam kupić?

Pójdę z panem.

Powiedziałem, żebyś poczekała.

Mogą być takie jak pańskie.

Doskonale, niech będzie.

Wysiada z furgonetki i obraca się w jej stronę.

Nie możesz uciec, mówi, pokazując kluczyki — to tylko żart, dlaczego miałyby to robić? — a dziewczyna śledzi go wzrokiem, dopóki on nie zniknie za węglem.

Właściciel płukał filiżanki; podniósł głowę, kiedy ojciec wchodził, i zauważył, że zanim zamknął drzwi, spojrzął za siebie.

„Nie ma kawy — powiedział. — Wszystko już wyłączyłem”.

„Daj mi dwa kartony MS-ów”.

Podał ojcu papierosy, wziął pieniądze i wydał resztę.

Jako ostatni słyszał jego głos tego wieczoru, jeśli nie liczyć dziewczyny, i następnego dnia opowiadał o tym klientom, a wiele miesięcy później także mnie.

„Pamiętam, że trzęsły mu się ręce. Przed wyjściem jeszcze raz się obrócił, ale nikogo nie było. Nie widziałem dziewczyny. Skąd mogłem wiedzieć, co mu chodzi po głowie?”

Chwilę później dawny kolega z pracy ojca zobaczył furgonetkę jadącą w stronę Ponte na zgaszonych światłach, przez sekundę mignęła mu za szybą twarz mojego ojca — ale nie zauważył nic więcej.

— Odniosłem wrażenie, że jest sam — powiedział.

Wyobrażam sobie ojca na parkingu, wyobrażam sobie, jak wsiada do furgonetki, odwozi dziewczynę — chciałbym, żeby tak zrobił — a potem wraca do domu: jest jeszcze człowiekiem, którego znam, czy też sądziłem, że znam.

Mur

Następnego ranka zadzwonił Stefano: — Ej, Tex, jak leci?

To wtedy nadał mi przezwisko — opowiedziałem mu o swoim ulubionym komiksie, a on zawyrokował: „To są rzeczy dla dzieci”.

— Wszystko okej, a u ciebie?

Usłyszałem pisk hamulców — samochód zatrzymujący się obok budki telefonicznej.

Matka czytała, do biblioteki szła po południu. Ojciec był w pracy. Zbudził się wcześniej niż zwykle i wyszedł z domu, zostawiwszy bilecik: *Nie chcę przeszkadzać*.

— Masz ochotę coś zrobić?

— Na przykład? — spytałem.

— Czy ja wiem? Nudzę się tutaj.

— Okej, przyjdę do ciebie.

Pożegnaliśmy się i odwiesiłem słuchawkę. Matka zapytała, kto dzwonił.

— Kolega — odpowiedziałem. — Wychodzę.

Wróciłem do pokoju, żeby się przebrać. Przed wyjściem z domu zaszedłem do matki, żeby się pożegnać: wyciągnęła się na kanapie, stopy w różowych pantoflach położyła na oparciu.

— Wiesz, co czytam? — podniosła książkę i pokazała mi okładkę; zobaczyłem tytuł *Wichrowe wzgórza*. — Mówi o tym, jak to jest, kiedy nie możesz mieć tego, czego chcesz, a nie chcesz tego, co masz. Przynajmniej tak mi się wydaje. Z tego nie wynika nigdy nic dobrego. — Z książki wypadła kartka od ojca, której używała jako zakładki; schyliła się, żeby ją podnieść.

— Baw się dobrze — powiedziała. Dodała, że mnie kocha i ma nadzieję, że ja też ją Kocham.

Anna Trabuo opalała się, wyciągnięta na leżaku z zamkniętymi oczami. Miała na sobie kostium kąpielowy. Na płatkach uszu dwa długie niebieskie piórka. Na trawie stała butelka oranżady, do której była wsunięta słomka. Wydawało się, że śpi, ale po chwili pomacała ziemię przy leżaku, chwyciła butelkę i upiła łyk.

Kiedy mnie zobaczyła, powiedziała: — Elia — moje imię wypłynęło

z rozchylnych ust i nagle wydało mi się, że powietrze wokół niej zgęstniało i stało się jeszcze gorętsze. — Wszystko w porządku?

— Tak, oczywiście.

Słyszałem szum rzeki płynącej za ogrodzeniem.

— Jest w pokoju, czeka na ciebie — powiedziała.

Bawiła się słomką.

— Przypominasz ojca sprzed wielu lat — dodała.

W następnych miesiącach wyobrażałem ją sobie na słońcu, w letnim wietrze, i śniło mi się, że wyciągam się obok niej, a potem nagle budziłem się z jej głosem uwięzionym w moich uszach.

Stefano siedział na podłodze w nogach łóżka i obgryzał paznokcie.

— To co chcesz robić? — spytałem.

— Chodźmy gdzieś.

Wyjął z kieszeni kurtki trochę pieniędzy, papierosy i zapalniczkę, podwinął rękawy koszuli. Nie pożegnał się z matką, nawet na nią nie spojrzął.

Zagraliśmy na flipperach w salce w głębi baru, wbijając oczy w skaczącą piłkę. Stefano kupił dwa piwa i poszliśmy je wypić na placu zabaw, na którym poprzedniego lata widziałem uśmiechniętego Giorgia Longhiego z rękami zaciśniętymi na łańcuchach huśtawki. Nikogo tam nie było.

Stefano postawił butelkę na ziemi, wdrapał się na huśtawkę, podkurczył kolana i zawiesił się na rękach. — A teraz gdzie pójdziemy? — spytał.

Przeszliśmy koło mostu i fabryki mebli, zatrzymując się, żeby popatrzeć na okna wystawowe. Potem doszliśmy do zakładów, pod bramę zamkniętą na kłódkę — tamtej zimy ojciec, w okresie, kiedy pisał listy, doszedł do przekonania, że kłódka jest częścią spisku.

Stefano szarpnął za łańcuch.

Słońce zasnęła przygnębiająca mgiełka.

— Możemy tam wejść — powiedziałem.

— Naprawdę? Jak?

— Chodź.

Poszedł za mną wzdłuż muru. Zagłębiłem się między drzewa i dotarłem do zardzewiałego kosza. Powiedziałem, żeby się na niego wdrapał. Przeskoczył mur z butelką w rękę; zrobiłem to samo.

Z drugiej strony znajdował się stos palet. Rzędy ceglanych budynków, napisy na murach, wybite szyby.

— Z zewnątrz wyglądały na mniejsze — skomentował Stefano, ściskając butelkę, opróżnioną do połowy. — Co robił twój ojciec?

— Był pracownikiem serwisowym.

Zapytałem go, czym się zajmuje jego ojciec.

— Teraz niczym. Ale zawsze coś sobie znajduje.

— To dlatego kłócił się z twoją matką?

— Nie twój interes.

Łaziliśmy jakiś czas po działach fabrycznych, sekcji wybielania, przedzalni i wykańczalni. Śmierdziało moczem i substancjami chemicznymi. W odłamkach szkła odbijało się wpadające z zewnątrz światło.

Stefano skończył piwo i zaczął uderzać się butelką po nodze. — Czasami mam ochotę wszystko rozwalić — powiedział. — W szkole nieźle narozrabiałem. Dlatego mnie oblali. Ty wyglądasz na spokojnego typu.

Potrząsnąłem głową i upiłem łyk piwa.

— A właśnie, że tak — upierał się. Oblizwał wargi. — Na takiego, który nigdy nie reaguje.

— Wcale mnie nie znasz.

Uniósł brwi, włączył zapalniczkę i zapatrzył się w płomyk. Odszedłem na bok. Kawałek papieru zaczął wirować, jak ptak, który próbuje wznieść się do lotu. Stefano podszedł do mnie, powłócząc nogami, i podał mi papierosy oraz zapalniczkę.

— Obraziłeś się?

— Powiedziałem tylko, że mnie nie znasz.

— Ty mnie też. I co z tego?

Pozbył się butelki, rzucając ją daleko od siebie. Weszliśmy do dawnego biura: dwa biurka, przewrócone krzesła na brudnej posadzce i segregatory rozrzucone na półce. Wziąłem jeden i przekartkowałem szybko. Stefano uderzał knykami w popękana płachtę osłaniającą okno.

— Tu jest kot — powiedział, cmokając. — Chodź tu, śliczny.

Zamknąłem segregator i odłożyłem na miejsce, jak gdyby mógł się jeszcze komuś przydać.

— Myślisz, że twoi starzy się rozwiodą? — spytałem.

Poza Idą nie znałem żadnej rozwiedzionej osoby.

Stefano dotknął żetonów w kieszeni, lekko pokręcił głową, obciągnął koszulkę i otarł pot z czoła.

— Nie mają ślubu. Matka mówi, że już go nie chce. Ale on sprawi, że zmieni zdanie, zobaczysz. Gdy tylko przyjedzie. Jeśli nie, zostanie tu sama. Bo ja tu nie zostanę, to pewne.

Znowu zaczął się rozglądać. Kot miauczał.

— Szkoda — powiedziałem.

— Że co?

— Że chcesz wyjechać.

— Dlaczego? Nie masz przyjaciół, Tex?

— Lubię własne towarzystwo.

— I słusznie.

Nie rozmawialiśmy wiele, gdy odprowadzał mnie na przystanek, jednak poczekał ze mną na autobus i pomachał mi na pożegnanie, kiedy wsiadłem. Przygnieciony niebem i coraz mniejszy, z uśmiechem pokazał mi środkowy palec.

Trochę później na podjazd wjechał samochód mojej matki.

Siedziała długą chwilę w środku, nie gasząc silnika. Nie zauważyła, że przyglądam jej się z progu domu. W końcu wysiadła, w przyćmionym, ciepłym świetle zmierzchu doszła do trawnika i rozłożyła szeroko ramiona.

O czym wtedy myślała?

Jej sekrety, wszystkie nadzieje i obawy, miejsce, w którym je zamknęła jej miłość: moja matka była skomplikowaną kobietą, chociaż wtedy wydawała mi się powierzchowna i łatwa do rozszyfrowania.

To, co wiem o nas, o tym, co się zdarzyło, jest zamknięte w tej scenie: rozpostarte ramiona, a obok nie ma nikogo, kogo matka mogłaby objąć lub pochwycić, jedyny gest, do którego jest zdolna, i ja, który się oddalam.

V

Tak więc zostaje sama w furgonetce.

Kiedy wysiadł, rozejrzała się po wnętrzu: zobaczyła tylne szyby zaklejone gazetami i brudny materac, jak gdyby spał w środku, jak gdyby nie miał już własnego domu. Może pokłócił się z żoną. To zresztą nie jej problem. zaproponował, że ją podwiezie, i na tym koniec. Gdyby nie on, jeszcze by wędrowała na piechotę, śmiertelnie zmęczona.

Nuci jakąś piosenkę. Opuszcza daszek przeciwsłoneczny, przeciera zakurzone lustro i przegląda się w nim. Wydyma usta, przesuując palcami wokół nosa. Serce zatrzymuje jej się na moment, kiedy on pojawia się niespodziewanie, zagląda przez okno i omiata spojrzeniem wnętrze samochodu.

Dziewczyna uśmiecha się i podnosi daszek.

Poprawiasz sobie urodę? pyta ojciec, oblizując wargi. Czy zachciało ci się pomyszkować?

Odwraca się w stronę szosy za parkingiem i rogiem budynku, w końcu wsiada do środka.

Trzymaj, mówi, podając jej karton MS-ów.

Dziękuję, nie trzeba było.

Teraz mamy zapas.

Rozpakowuje swój karton, kładzie na desce rozdzielczej, otwiera jedną paczkę i zapala papierosa. Opuszcza głowę na oparcie siedzenia. Dziewczyna odnosi wrażenie, że jest zmartwiony i wyczerpany.

To co robiłaś?

Nic, czekałam na pana.

Ojciec patrzy na pole kukurydzy.

Nie chciałem, żebyś traciła czas. Zauważyłem typa, którego znam.

Załatwił pan to w dwie minuty.

Rodzice na ciebie czekają.

Dziewczyna wzrusza ramionami. Wracają jutro, mówi.

Dokąd pojechali?

Do rodzinnego miasteczka matki.

Powietrze śmierdzi rdzą i spalinami. Światło dnia szarzeje. Ojciec zamyka oczy, pociera palcami o nogi, drżą mu dłonie.

Wszystko w porządku? pyta dziewczyna.

To głowa, mówiłem ci. Pęka mi głowa.

Wyciąga z kieszeni kluczyki, zapala silnik i zawraca samochód. Przejeżdżają obok przeszklonego frontu baru, w jego szybach odbijają się ostatnie promienie słońca, i skręcają na ciemną wstążkę szosy w kierunku Ponte.

Wiesz, nikt ci tego nie wyjaśnia, mówi ojciec.

Czego?

Jak działa ludzka głowa. To, co tam jest w środku.

Rzuca okiem w boczne lusterko.

Wiesz, co mi się przydarzyło wczoraj? pyta.

Nie.

Kiedy wracałem z pracy, nagle ogarnęła mnie ciemność. Przyszedłem do siebie w furgonetce stojącej w poprzek pobocza. To nie jest to samo co sen. To jak zgaszenie i zapalenie światła.

Latarka turla się po podłodze, dziewczyna odsuwa ją stopą.

Nie martw się. Mógłbym prowadzić z zamkniętymi oczami.

Lepiej nie, mówi ona i wtedy ojciec się uśmiecha.

Tak tylko żartuję.

Ziewa. Opiera łokieć na oknie.

Mogę cię o coś spytać? Ile masz lat?

Dwadzieścia jeden.

Nie ma to jak młodość.

Nadjeżdżające z naprzeciwka auto miga światłami — może to ktoś, kogo zna, pozdrawia go w ten sposób. Zaraz potem ojciec mamrocze jakieś przekleństwo, wyrzuca papierosa i przygryza wargi.

Niedobrze, mówi.

Co się stało?

Jedzie za nami.

Dziewczyna nie pojmuje, co ojciec ma na myśli: w pierwszej chwili przychodzi jej do głowy auto, które jechało z drugiej strony i mignęło światłami.

Widzisz go, prawda? pyta. Czego znowu chce?

Zanim dziewczyna zdąży się odwrócić i zanim zda sobie z sprawę z tego, co się

dzieje, ojciec wrzuca niższy bieg. Skręca w boczną drogę, zaciemioną i pustą. Nikt nie może zatrzymać furgonetki, która znika w ciszy lasu.

Nie możesz odejść

Po wygłoszeniu kazania o przebaczeniu ojciec odzyskał dobry humor. Siadywał wieczorami na ganku, wołał mnie i robił mi miejsce obok siebie.

— Jak się masz? Co robisz całymi dniami?

— Spotykam się z przyjaciółmi.

Nie powiedziałem mu o Stefanie, a on nie rozmawiał ze mną o Annie, chociaż musiał wiedzieć, że wróciła do miasteczka.

— Dobrze się bawisz?

— Tak.

Huśtał się na bujaku, przytakiwał.

„Dobrze — komentował każdą moją odpowiedź. — Dobrze, dobrze, dobrze”.

Powiedział, że niedługo zawiezie mnie na plac budowy, jeśli jeszcze mi na tym zależy. Dodał, że to tymczasowa praca, taką ma przynajmniej nadzieję, bo stać go na coś lepszego. I jeszcze, że kiedy patrzy na innych robotników, czasem czuje się „trochę odsunięty na bok”.

— Ale to moja wina. To wszystko porządni ludzie.

Wyciągał nogi, wprawiał w ruch bujak i odpędzaliśmy komary albo próbowaliśmy je zabijać, klepiąc się po ramionach i szyi. W domu Idy był włączony gramofon, dźwięki muzyki spływały na nasz ganek. Matka przychodziła, żeby powiedzieć nam dobranoc, schylała się i sprawdzała, jak się trzymają kwiaty w donicach, wyrwała uschnięte — „Jest zbyt gorąco tego lata” — i całowała ojca w usta.

Wciąż nosiła te różowe pantofle, jak gdyby jakaś jej część pozostała uwięziona w ostatniej zimie — udrećzone dni mojego ojca — albo czekała na następną.

Żartował z niej: — Chyba zaraz zaczniesz padać śnieg. Dlaczego nie włożysz też płaszcza?

Pewnego wieczoru złapał ją za przegub i zmusił, żeby usiadła mu na kolanach.

Nie możesz odejść, dopóki ci nie pozwolę.

Matka wybuchnęła śmiechem.

A jednak coś było nie w porządku.

Zaczął parkować furgonetkę na szosie.

Kiedy matka zapytała, dlaczego to robi, zmarszczył brwi, jak gdyby nie zrozumiał pytania, wzruszył ramionami i odpowiedział: — Żeby się trochę przejść.

Pewnego dnia zerknąłem do środka przez szybę: na podłodze zobaczyłem latarkę, rolkę przylepca i torbę, z której wystawały rękawy koszuli.

Zaczął dużo pić — w koszu na śmieci obok skrzynki pocztowej znalazłem mnóstwo puszek.

Pewnej niedzieli zastałem go w sypialni, opartego czołem o szafę.

— Co robisz? — spytałem.

Pokręcił lekko głową i nie odpowiedział.

Pewnego wyjątkowo gorącego wieczoru — ledwo można było oddychać — spytał, czy to, że siedzę z ojcem, nie wydaje mi się dziwne. Palił papierosa, między nogami trzymał puszkę piwa.

— Nie — odparłem.

Odrobina popiołu spadła mu na podkoszulek, ale tego nie zauważył. Wpatrywał się w pochylane wiatrem sylwetki drzew w głębi trawnika. Matka wyszła z domu z konewką i zaczęła podlewać kwiaty.

Ojciec powiedział: — Umarły.

Odwrociła się, na widok puszek zmrużyła oczy.

— Martwe rzeczy są martwe — dodał.

Matka potrząsnęła konewką, wlała do donicy resztkę wody, odpowiedziała: — Kto to wie. Ja idę spać — i wróciła do domu.

Ja też chciałem wstać, jak gdyby zawołała, żebym za nią poszedł, ale ojciec chwycił mnie za łokieć.

— Siedź — powiedział. Skończył piwo i spytał: — Co myślisz o swoim ojcu?

Zadał mi już kiedyś to pytanie.

Zawsze gdy z nim siedziałem, mówił o sobie jak o kimś obcym, kogo znaliśmy, ale nie było go już z nami nie wiadomo od jak dawna.

— Co masz na myśli?

— Myślisz, że twój ojciec to nieudacznik?

— Nie.

— Myślisz, że nic nie jest wart? Powiedz prawdę.

Odkładając puszkę na ziemię, odrzucił głowę do tyłu i zamknął oczy.

— Nigdy o tym nie myślałeś, prawda? Ojciec ci to powiedział i nie myślałeś o tym. Tylko on może decydować, zapamiętaj to sobie. — Wyciągnął przed siebie ramiona

i popatrzył na swoje szorstkie, drżące ręce.

— Mogę już iść? — spytałem.

— Myślę, że tak. — Wstałem i poszedłem w kierunku światła.

Nieco później, gdy byłem już w łóżku, usłyszałem jego kroki w garażu, odgłosy kaszlu i czegoś spadającego na podłogę.

Wyobraziłem go sobie jako coś ciężkiego i bezkresnego, co rozlewa się po każdym centymetrze naszego domu, a potem po podwórku, trawniku i lesie, pełząc pod trawą, wyschniętą ziemią, kamieniami i korzeniami.

Tego ranka Ida i Simona zeszły w dół ścieżki.

Przykucnąłem w cieniu z papierosem, nie zauważyły mnie, dopóki go nie wyrzuciłem i nie dołączyłem do nich.

Ida niosła formę do pieczenia przykrytą serwetką. Powiedziała, że dziewczyna się spóźnia, a ona musi pędzić do pracy, ale chciała do nas wpaść.

— Mama już wyszła.

— Wiem — powiedziała, podając mi foremkę. — Ciasto czekoladowe. Zrobiłam je wczoraj dla ciebie.

— Dziękuję.

Za jej plecami Simona wybełkotała moje imię.

— Mam nadzieję, że będzie ci smakować — dodała Ida. Podniosła wzrok ku niebu i westchnęła. — Dzisiaj w nocy było tak gorąco, że miałam ochotę spać na zewnątrz.

Powachlowała się dłońmi.

— A ty jak się masz? — spytała niespodziewanie.

— Dobrze.

— Na pewno?

— Tak.

Postała chwilę, potem walnęła mnie po przyjacielsku w ramię: — To na razie, Elia.

VI

Co się stało?

Karton wypadł jej z rąk; schyla się, aby go podnieść, maca po omacku podłogę, znajduje go i wsuwa do torby.

Nie ruszaj się, proszę, mówi ojciec.

Czemu pan tu skręcił?

Wyciąga ramię, muska palcami deskę rozdzielczą.

Nie słyszałaś, co powiedziałem? Nie ruszaj się.

Co się stało? pyta.

Droga jest wyboista i biegnie między drzewami. Mały prześwit, potem drugi. Spojrzenie dziewczyny błądzi po desce rozdzielczej, potem zatrzymuje się na moim ojcu.

Wszystko w porządku, mówi on. Widocznie wsiadł do samochodu, kiedy ruszaliśmy z parkingu.

Kto?

Nie wspomniałem ci o tym wcześniej, ale miałem go na oku. Był pijany w sztok. Powiedział, że nie podoba mu się sposób, w jaki na niego patrzę. Kupiłem papierosy i wyszedłem. Myślałem, że da sobie spokój.

Furgonetka jedzie środkiem drogi na zgaszonych światłach, klekocząc głośno.

Kto to taki, może go znam? pyta, chociaż nie przypomina sobie, żeby widziała jakiś samochód.

Ta informacja wydaje jej się ważna, ale ojciec nie odpowiada. Wtedy dziewczyna wychyla się przez otwarte okienko, odsuwając włosy z czoła.

Nie ma nikogo, mówi.

Nie zdążył skręcić, odpowiada ojciec. Ale może jeszcze zawrócić, lepiej być ostrożnym. Nie widziałaś go. Miał chętkę na bijatykę, a ja nie będę się z nikim bił.

Ręce mojego ojca zaciśnięte na kierownicy, siedząca nieruchomo dziewczyna.

Na początku była pewnie przekonana, że to prawda: ktoś za dużo wypił i szukał zaczepki. Ale wydaje jej się dziwne, że zamiast przycisnąć pedał gazu, ojciec skręcił w boczną drogę, a przede wszystkim, że nie przestał z nią rozmawiać, z łokciem

wspartym na otwartym oknie, jak gdyby nic się nie stało.

Mała łączka, porzucona lodówka, leżąca na boku. Stara opona. Worki śmieci.

Nie brak tu różnych czubków, mówi ojciec.

Możemy teraz zawrócić?

Zastanawiam się. Daj mi chwilę.

Dziewczyna widzi światło za zamkniętą bramą między drzewami. Śledzi je wzrokiem, dopóki nie zniknie. Na podwórzu szczeka pies.

Znam tę drogę, mówi ojciec. Przejeżdżałem już tędy. Trochę dalej jest rozjazd. Nie chcę znowu natknąć się na tego typu. Chce ci się jeść? Pić?

Dziewczyna potrząsa głową, przyciskając do piersi torebkę.

Z tyłu mam coś do jedzenia. I piwo. Moglibyśmy się wyżywić przez wiele dni.

Jego głos brzmi teraz pewnie, jak gdyby miał jakiś plan. Wsuwa do ust następnego papierosa.

Wiesz, kiedy byłem mały, też miałem psa. Wspaniałe zwierzę. Chodził za mną wszędzie, spał ze mną w łóżku. Kiedy się budziłem, już na mnie czekał, machając ogonem, jak gdyby czytał w moich myślach. Pewnego dnia pobiegł gdzieś i nie wrócił. Szukałem go wszędzie, ale kiedy go znalazłem, już nie żył. To było w lesie pod domem. Przywiązano go do drzewa i udusił się, próbując zerwać sznur.

Ale kto to zrobił? I dlaczego? pyta dziewczyna, chociaż w tej chwili wcale jej to nie obchodzi.

Ktoś chciał się zabawić. Jakieś dupki.

Jest już prawie ciemno; dziewczyna rozgląda się wokół: same drzewa i krzewy. Jadą w milczeniu, a ona wraca myślami do parkingu.

Nic nie widziałam. Bo nic tam nie było.

Jest późno, mówi, powinnam wracać do domu.

Wtedy ojciec zwalnia i staje na poboczu.

Wiesz, to nie jest dla mnie przyjemne. I to nie moja wina.

Nie to miałam na myśli.

Ten typ jeszcze się tam kręci.

Może już sobie poszedł.

Ojciec potrząsa głową. Poza tym u ciebie w domu nikogo nie ma, dodaje. Mamy tyle czasu, ile chcemy.

Ruszają dalej. Wiatr wieje przez otwarte okna, zapach trawy i gnijących liści. Latarka turla się po podłodze. Od ziemi podnosi się mrok, rozsnuwa się po przedniej

szybie i atakuje boki samochodu.

Jesteśmy prawie na miejscu, mówi ojciec.

Na rozjeździe?

Jesteśmy prawie, powtarza. Oddycha głęboko i uśmiecha się.

Śmiech

Któregoś popołudnia Stefano pokazał mi broszkę.

Siedzieliśmy na masce zardzewiałego samochodu, obok sznurów na pranie. Nie mieliśmy pomysłu, co robić.

— Twoim zdaniem, jest złota?

— Tak wygląda — odpowiedziałem.

Odsunął włosy z czoła, broszka błyszczała na jego otwartej dłoni.

— Gdzie ją znalazłeś?

— Miałem trochę szczęścia.

Kiedy zostawał sam w domu, szperał po szafach i szufladach — potem zwędził łańcuszek, następnie wisiorek i pierścione. Kradł banknoty z portfela dziadka i z torebki mamy.

Wsadził broszkę do kieszeni, zeskoczył z maski i wyciągnął się na trawie, tuż przy siatce, z kostką jednej nogi opartą na kolanie drugiej, z zamkniętymi oczami.

— A jeśli cię przyłapią?

— Nudziarz z ciebie — odpowiedział. — Ale będzie mi ciebie brakowało.

Jego ojciec jeszcze się nie zjawił. Stefano często do niego dzwonił, ale kiedy pytałem, o czym rozmawiają, odpowiadał zawsze: „Nie twój interes”. W niektóre dni stawał się oschły, kłótlivy i nieprzyjemny — czepiał się matki, mnie, tego „cholerneho zadupia”, na którym wylądował — kiedy indziej był smutny i zniechęcony, zwykły pryszczaty chłopiec. Były też dni, kiedy wszystko grało, dobrze się bawiliśmy i miałem wrażenie, że mnie lubi.

Zastanawiałem się, o czym myśli, czy może zasnął, kiedy zaskrzypiało okno. Odwróciłem się i zobaczyłem Annę — w łazience, z włosami zawiniętymi w ręcznik, otuloną drugim ręcznikiem. Pochyliła się w stronę lustra i ściągnęła turban z głowy: wilgotne włosy opadły na nagie ramiona. Podniosła dłoń do twarzy, dotykała policzków i oczu. Ramiona jej drżały, odniosłem wrażenie, że zaczęła płakać.

— Na co patrzysz? — spytał Stefano.

— Na nic.

Usiadł. Przez chwilę nic nie mówił; zmarszczył czoło, wpatrując się w okno, po czym zaproponował, żebyśmy poszli do mnie do domu.

— Nigdy mnie nie zaprosiłeś — powiedział.

— Lepiej nie.

— Dlaczego?

Odpowiedziałem jego ulubioną śpiewką: — Nie twój interes.

Nie chciałem mówić o matce, o tym, co myślała o jego matce, o jej radzie, żebym nie tracił czasu na tę znajomość. Ani o kłamstwach, które opowiadałem, kiedy wychodziłem z domu.

Stefano skrzyżował nogi, podnosząc oczy do góry.

— Jeśli chcesz, jutro możemy się wykąpać — zaproponowałem. — Jest takie miejsce, w którym można skakać na główkę.

— Nie mam kąpielówek.

— Mam zapasowe, mogę ci pożyczyć.

— Nie umiem pływać — wycedził przez zaciśnięte zęby, rozwiązując i zawiązując sznurówkę, jak gdyby wstydział się do tego przyznać.

— Uratuję cię.

— To już po mnie.

Poprosił, żebym opisał to miejsce.

— Musisz je zobaczyć. Tylko że to daleko. Ludzie zwykle chodzą na plażę nad rzeką.

— Czy to nie jest niebezpieczne? — spytał.

— A co, robisz pod siebie ze strachu?

— Pierdol się!

Często tak się odzywał, rzucając mi twarde, zaczepne spojrzenie.

— Sam się pierdol.

— Już mam przejebane.

Burze, które przechodziły po krótkiej chwili.

Nie pamiętam dokładnie, co robiliśmy później tego popołudnia. Zabijaliśmy czas, który pędził ku nam, ale zdawał się zwalniać, gdy byliśmy razem. To nam wystarczało.

Pamiętam, że śmiałyśmy się z czegoś, co mi powiedział — jego przerywany śmiech, sposób, w jaki mrużył oczy — jego matka wyszła z domu i zaczęła się nam przyglądać. W końcu ona też się roześmiała i ten obraz zapadł mi w serce — nas troje śmiejących się do rozpuku w ogródku Santa Trabuiu. Pomyślałem, że nie ma na świecie nic, czego trzeba by się bać.

Ojciec nie wrócił na kolację.

Kiedy czekałem na przystanku, zobaczyłem, jak jego furgonetka skręca na most, w kierunku zakładów i drogi prowadzącej do kopalni.

Matka rozłożyła serwetkę na kolanach, rzuciła okiem na zegar i odwróciła się w stronę zmierzchu.

Spytałem, czy się martwi.

Uśmiechnęła się. — To przecież nie pierwszy raz, prawda?

— No to zrób coś — warknąłem. — Kupił tę furgonetkę i nic mu nie powiedziałaś. Wraca do domu, kiedy chce. Nie wkurza cię to?

— Mam zaufanie do ojca.

Siedziałem chwilę w milczeniu — miała jeszcze uśmiech przyklejony do twarzy — a potem opowiedziałem jej o tym, co zobaczyłem późnym popołudniem.

— Co on tam robił? — spytałem.

Przymknęła lekko oczy: — Co masz na myśli?

— Wszyscy szukali tego dziecka, tylko nie on.

— A co to ma do rzeczy? Zresztą, skąd wiesz?

— Spytałem go.

— I co ci powiedział?

— Że stoi na straży.

— No widzisz.

— Mówił o zakładach, mamo. O listach. Podsunął mi jedną z kartek pod nos. Nie poszedł go szukać.

Matka nagle zbladła, jakbym ją uderzył, więc zamilkłem — *wyglądasz na spokojnego typa*, powiedział Stefano — i schyliłem się nad talerzem.

Usłyszałem, jak wzdycha. Złożyła dłonie, przycisnęła czubki palców do ust. — Chcę tylko, żeby wiedział, że zawsze może na mnie liczyć — powiedziała. — Że będę z nim, cokolwiek zrobi. Masz dopiero szesnaście lat, pewnego dnia zrozumiesz. Koniec dyskusji.

Skończyliśmy jeść. Pozbierała naczynia, usiadła znowu przy stole i popatrzyła mi w oczy: — A nie ma przypadkiem czegoś, co ty powinienes mi powiedzieć?

Poczułem, że się rumienię. — Nie.

— Na pewno? Spotkałam dzisiaj kogoś.

— Kogo?

— Wiesz doskonale — odparła. — Matkę twojego *przyjaciela*. Udawała, że chce pożyczyć książkę, wyrobiła sobie nawet kartę biblioteczną. Widujemy codziennie twojego chłopca, powiedziała. Pytała także o ojca. Mam nadzieję, że zrozumiała, gdzie jej miejsce.

Pomyślałem o Annie: wydawało mi się, że płacze, przeglądając się w lustrze.

— Dlaczego mi nie powiedziałeś? — spytała.

— Żeby ci nie sprawiać przykrości. Nie złość się na mnie.

— Na nikogo się nie złościę. Nigdy się nie złościę. W każdym razie to bez znaczenia. I tak zrobisz, co zechcesz. Muszę się przyzwyczać.

Wbiła wzrok w jakiś punkt za moimi plecami i wstała.

— Idę się na chwilę położyć. Jeśli cię to interesuje, oczywiście.

Ojciec wrócił godzinę później — ona już spała.

Czytałem *Texa* w bladym świetle lampki nocnej, przy otwartym oknie. Usłyszałem hałas furgonetki nadjeżdżającej w świszczącym wietrze, trzaśnięcie drzwi od samochodu w oddali, kroki na ganku, gdzie ojciec otrzepał buty, otwierające się drzwi, brzęk kluczyków rzuconych na stół.

Zszedłem do kuchni i zastałem go siedzącego przy stole.

Odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć.

— Gdzie byłeś? — spytałem.

Miał rozpiętą koszulę i był cały spocony. Podniósł ręce, jak gdybym mu groził, a on chciał się poddać, odchylił się na oparcie krzesła i wybuchnął śmiechem.

— No więc? Powiedz mi. Widziałem cię dzisiaj.

Przestał się śmiać. — Nie pozwalaj sobie. — Uderzył otwartą dłonią w stół, klucze zabrzęczały. — Nic nie widziałeś. Nigdy. A teraz idź sobie.

Wróciłem do swojego pokoju. Zgasilem światło i skuliłem się w łóżku.

Kilka minut później usłyszałem jakiś hałas na podwórku. Podeszedłem do okna: ojciec stał na środku trawnika w koszuli, która to nadymała się, to przylegała do jego pleców, zwrócony w stronę lasu. Czubek papierosa się żarzył; wyglądało to tak, jak gdyby schwytał i trzymał w garści gwiazdę — wszystkich nas trzymał w garści. Zaczął gestykulować.

„Znowu zaczynasz? — chciałem spytać. — Nie masz nic wspólnego z tym, co się stało, prawda?”

Przeciął na skos trawnik i zniknął w ciemnościach.

VII

Jadą dalej na zgaszonych światłach.

To gdzie jest ten rozjazd? pyta dziewczyna.

Kto wie? Może go przejechaliśmy.

Nic nie widziałam.

Dlatego powiedziałem: może.

Zawrócimy?

Chwilę wcześniej powiedział, że zna drogę, tymczasem zdaje się, że nie wie, gdzie są, a przynajmniej nie jest tego pewien.

Pojedźmy jeszcze kawałek, odpowiada ojciec.

Ale tu nic nie ma.

Tego właśnie chciałem.

Ojciec pociera kciukami kierownicę, ma napięte ramiona i sztywną szczękę. Dziewczyna patrzy w boczne lustro: tylko mur drzew i ciemność.

Nie mogę włączyć świateł, mówi ojciec.

Dlaczego?

Co za durne pytanie.

Zapach ziemi i wiatru, pierwsze gwiazdy migające na niebie.

Przepraszam, mówi, nie chciałem być niegrzeczny. Zobaczysz, że da sobie spokój, to miałem na myśli.

Przeżuwa słowa, zbyt długo trzyma je w ustach, a potem wypluwa na zewnątrz, krztusząc się.

Wystarczy, że zawrócimy, mówi dziewczyna.

To prawda. Ale w sumie nie jest źle.

Co?

Tutaj, odpowiada ojciec.

Dziewczyna myśli o materacu z tyłu furgonetki. Potem o jego żonie. O synu, który ją zaczepia: „Masz papierosa?”. Ich obrazy pojawiają się w ciemnościach i znikają.

Może pan się pomylił, mówi.

W czym?

Może to nie ta droga.

Kto wie, odpowiada ojciec.

Dziewczyna łapie za klamkę. Teraz jest już pewna: nikt za nimi nie jechał. Mogłaby go poprosić, żeby się zatrzymał, powiedzieć, że chce wysiąść, ale nie wie nawet, gdzie się znajdują.

Nigdy się nie biłem, mówi ojciec, wyciągając następnego papierosa z paczki. Nie jestem zabijaką.

Ręka drży mu tak bardzo, że ma trudności z podniesieniem papierosa do ust. Zwalnia, zaciągając się dymem.

Wyrzucili mnie z pracy i musiałem o tym donieść. Opowiedziałem wszystko. Wiesz, co podejrzewam? Myślę, że zrobili to specjalnie. Że to oni. Oni go wysłali.

Sylwetki drzew na tle czystego nieba. Jakaś gałąź ociera się o bok auta i dziewczyna zamyka się w sobie. — *Nie odpowiadaj mu, postanawia, nie pytaj go już o nic.*

Stałem na straży, wiesz? Widziałem, jak każdego dnia wchodzą i wychodzą, zamykają bramę na łańcuch i na kłódkę. To także opisałem.

Przymyka powieki i odwraca się.

Słuchasz mnie?

Patrzy na drogę, odrywa ręce od kierownicy i furgonetka skręca gwałtownie w lewo, w stronę drzew. Dziewczyna krzyczy: uwaga!

Ojciec wraca na środek drogi. Śmieje się.

Myślałem, że spałaś.

Nie.

Bo ja nie śpię.

Dziewczyna nie może oddychać. Nie może przełykać — ma usta pełne śliny. *Spróbuj się uspokoić.*

Niedługo się zatrzymamy, mówi ojciec. Ukryjemy się na chwilę. W ten sposób nas nie znajdzie. Potem odwiozę cię do domu. To chyba dobry plan?

Ona się nie odzywa.

Zadałem ci pytanie. Słyszałaś?

Ale gdzie się zatrzymamy?

Nigdy nie odpowiadaj mi pytaniem na pytanie. To mnie wkurza.

Dobrze.

Nie chcę się teraz wkurzać. Ty też nie powinnaś.

Krótki odcinek prostej drogi, z przodu coraz gęstszy las. Nie widać, co znajduje się

dalej.

Pomyśl, mówi ojciec. Jeśli on też skręcił w tę drogę, zaraz nas dogoni. A poza mną nie ma tu nikogo.

Oddycha głęboko i wypina pierś, potem wyrzuca niedopałek i wypuszcza dym nozdrzami. Zwalnia, przerzuca bieg i skręcają w wąską ścieżkę: kamienie pod kołami, gałęzie omiatające przednią szybę, ciemność i wiatr. To, co wiedziała lub sądziła, że wie, znika w tym momencie za jej plecami.

Wodospady

Zbudziłem się tuż przed obiadem: pokój był skąpany w słońcu, w domu panowała cisza.

Zrobiłem sobie kanapkę, potem się umyłem, pod dzinsy włożyłem kąpielówki, a drugą parę wsadziłem do kieszeni.

Wybierałem koszulkę, kiedy wróciła matka. Zszedłem do kuchni i zastałem ją przed lodówką.

— Zaraz coś zrobię — powiedziała.

— Już zjadłem. Byłem głodny.

Wzięła coś z półki, popatrzyła i odstawiła z powrotem. — Dzisiaj rano nie chciałeś wstać.

— Nie słyszałem cię — odparłem, zgodnie z prawdą.

— Jesteś na mnie zły?

— Za co?

— Za to, co powiedziałam wczoraj wieczorem. Anna Trabui i tak dalej.

Odpowiedziałem, że nie, bo tak było prościej.

— Jadę do miasteczka.

Zamknęła drzwi lodówki i popatrzyła na mnie.

— Tak myślałam — rzuciła.

Nie powiedziałem jej, jakie mamy plany.

Nazywaliśmy je wodospadami. Wszyscy znaliśmy ten strumień, ale nikt poza mną tam nie chodził. Plaża była bliżej i inni woleli rozkładać się z ręcznikami na kamieniach, woda była tam cieplejsza. Matka nie lubiła wodospadów: „Nie chodź w to miejsce. Twój ojciec miał tam wypadek”, powiedziała pewnego dnia. „Nie pamiętam”, zbył mnie ojciec, kiedy spytałem, co się wydarzyło.

— To znaczy, że zjem sama. Zobaczymy się później. — Odwróciła się plecami.

Czasami myślę, że powinienem był powiedzieć jej o ojcu — stojącym na trawniku tej nocy, kiedy gestykulował, a potem oddalił się w ciemność, o swoich lękach związanych z zaginionym dzieckiem i o myślach, które od siebie odpędzałem — ale jak by zareagowała moja matka, kobieta, która nas kochała? Co by zrobiła?

Raz już próbowałem i na nic się to nie zdało.

Wtedy nic jeszcze nie wiedziałem o kształtach, jakie może przybrać miłość, ani o sile, z jaką potrafi nas zapędzić w ciemny kąt i pozbawić tchu.

Pożegnałem się, przeszedłem wzdłuż podjazdu i zatrzymałem się na skraju szosy, patrząc na dziewczynę za żywoplotem: trzepała obrus i rozmawiała z Simoną.

Pomachała mi ręką i uśmiechnęła się.

Stefano czekał na mnie na murku, obgryzając paznokcie.

— Nie mam ręczników — oznajmiłem. — Zajdziemy po nie do ciebie do domu?

— Obejdziemy się bez nich. Nie chcę się na nią znowu natknąć.

— Co się stało?

Pokłócił się z matką. — Nic nowego — odparł.

Santo Trabuo mył przednią szybę jakiegoś samochodu, ale wbił wzrok w Stefana, który wstał i otrzepał dżinsy z kurzu.

— Patrzy na ciebie — ostrzegłem.

— To co?

Byłem ciekaw, czy się zorientował — ubywające pieniądze, znikająca biżuteria — i co mu chodzi po głowie, co myśli o tym obcym chłopcu, który jest jego wnukiem.

— Chodźmy — powiedział Stefano. — Zmywajmy się stąd.

Trzeba było iść prawie godzinę, najpierw stromą asfaltową drogą, a potem ścieżką wzdłuż strumienia. Ostatni odcinek był bardzo trudny, usłany suchymi liśćmi i gałęzmi. Szum płynącej wody. Później między drzewami ujrzałem skały, w miejscu, w którym ścieżka oddalała się od strumienia i prowadziła nie wiadomo dokąd. Powstał tam naturalny zalew, piana unosiła się nad nim jak mgła nad polami.

— Jesteśmy na miejscu — powiedziałem. — Musimy zejść na sam dół. Uczepiliśmy się jakiegoś pnia, wspierając o niego stopy, ale Stefano i tak się poślizgnął. Na krawędzi zalewu — ziemia i kamienie — wytarł ręce o tył spodni i przymrużył oczy, wpatrując się w skały, w lśnienie wody.

— O kurwa — skomentował.

Był poważny i skoncentrowany, pot spływał mu z czoła.

— To chcesz spróbować czy nie? — spytałem.

Skinął głową.

— Trzymaj — rzuciłem mu kąpielówki, które chwycił w locie.

Brzeg zalewu był zacieniony: zadrzałem z zimna, ściągając buty, skarpetki, dżinsy

i koszulkę. Złożyłem ubranie na pniu zwalonego drzewa i odwróciłem się w drugą stronę, gdy Stefano ściągał majtki.

— Nie chcesz zobaczyć mojego fiuta?

— A masz go w ogóle? – spytałem, na co Stefano zaczął się śmiać.

Kiedy znowu na niego spojrzałem, stał z ramionami skrzyżowanymi na piersi i wpatrywał się w dno rzeki, jak gdyby chciał zmierzyć jej głębokość. Pomyślałem o wypadku, który przydarzył się ojcu.

— Jeśli się nie czujesz na siłach, lepiej tego nie rób.

— Pierdol się — powiedział — zresztą mam gdzieś, czy się utopię, czy nie.

Uderzył się otwartymi dłońmi o uda, przeszedł obok mnie i zaczął się wspinać.

— Uważaj, bo tu ślisko.

— Przestań chrzanić — wrzasnął.

Kiedy dotarł na szczyt skalnej ściany i włożył stopy do wody, wrzasnął znowu: — Ale zimna! — i nie ruszał się przez chwilę, stojąc w chwiejnej równowadze z ramionami rozpostartymi jak skrzydła i patrząc na miejsce, w którym strumień opadał do zalewu. — Skacz, jestem tutaj — zawołałem i wtedy rzucił się do wody, machając rękami w rozświetlonym powietrzu. Poszedł na dno, po czym wynurzył się na powierzchnię, z trudem rozgarniając wodę ramionami i szukając mnie spojrzeniem.

Zanurzyłem się do kolan, przytrzymując się pnia. Woda była lodowata. Wyciągnąłem rękę i pomogłem mu wyjść. Zakaszłał i splunął, a potem opadł obok mnie na pień. Spytałem: — Mocne wrażenie, co? — na co Stefano przytaknął, odzyskując oddech.

— Teraz twoja kolej.

Wdrapałem się, zawołałem: — Patrz i podziwiał! — po czym skoczyłem z kolanami przyciągniętymi do piersi.

Powtórzyliśmy tę zabawę jeszcze kilka razy, ogrzewając się na słońcu, gdy byliśmy w górze, na skałach. Wreszcie zabrakło nam sił.

— Starczy tego — powiedział.

— Skoczę jeszcze raz — odparłem.

Przed skokiem przyszła mi na myśl Anna: wyłoniła się z jakiegoś zakamarka w moim mózgu, który uważałem za niedostępny. Ujrzałem ją, jak siedzi obok syna owinięta ręcznikiem, z mokrymi włosami, z których kapie woda. Zamknąłem oczy i rzuciłem się do wody.

Zmoczeni i zsiniali z zimna, rozcieraliśmy sobie nogi i ramiona, szcękając zębami.

— Papierosa?

— Dawaj.

Wyciągnął paczkę z kieszeni i podał mi papierosa. Nie wiedzieliśmy, która może być godzina, ale światło się zmieniło. Dobrze nam było w tym miejscu, tylko we dwóch.

— Mogę cię o coś zapytać? — odezwałem się. — Robiłeś pod siebie ze strachu, prawda?

Stefano skrzywił usta i zmarszczył czoło.

— No przyznaj się, przecież było widać.

— Odwał się — powiedział i popatrzył na mnie. Zrobił obrażoną minę.

— Ja się niczego nie boję.

— Ja też nie — odpowiedziałem.

Patrzył na mnie jeszcze chwilę, w końcu potrząsnął głową.

Oparłem się plecami o pień i zapatrzyłem na pierzasty podniebny ślad po samolocie. Stefano coś powiedział, ale nie zrozumiałem.

— Co mówiłeś?

— Że chcę już stąd iść.

— Zaraz się zmywamy. Poczekaj chwilę.

Wyrzucił niedopałek, znalazł kamień i cisnął go do wody, siedział z brodą opartą na kościstych kolanach.

— Co jest? — spytałem.

— Wszyscy myślicie, że wiecie, jaki jestem. — Rzucił następnym kamieniem, i jeszcze jednym. — Ona ciągle to powtarza.

— Kto?

— Moja matka. „Wiem, o czym myślisz. Wiem, jak się czujesz”. Twierdzi, że wcale mu na nas nie zależy.

Widocznie przypomniał mu się ojciec, a może stale o nim myślał. Wyobrażałem sobie wysokiego i chudego mężczyznę, cień pojawiający się za dystrybutorami benzyny, potem w ogródku i na stopniu prowadzącym do kuchni, „Przyjechałem po ciebie”, dłoń na ramieniu syna. Anna dołączała do nich i miałem ich już nigdy nie zobaczyć.

— Nie chce, żebym do niego dzwonił. Mówi, że tak będzie dla mnie lepiej. To wszystko pierdoły, Tex.

— Jednak nie przyjechał — powiedziałem. — A minął już ponad miesiąc.

— Bo nie ma samochodu.

— Wy też go nie mieliście.

Zrozumiałem od razu, że nie powinienem tego mówić, bo spojrzał na mnie, jak gdyby chciał mnie uderzyć, i podniósł się gwałtownie.

— Ty mieszkasz we własnym domu, więc zostaw mnie w spokoju.

Podszedł do brzegu zalewu, ściągnął kąpielówki i rozkraczył nogi, żeby się wysikać.

Ubraliśmy się i wróciliśmy na ścieżkę.

Przez dłuższy czas Stefano trzymał się z tyłu, ale potem usłyszałem, że przyspieszył kroku, i odwróciłem się, żeby na niego popatrzeć.

Zatrzymał się i odsunął włosy z czoła. — No mam przesrane — powiedział. — Przepraszam.

— Okej.

— Wrócimy tu jeszcze któregoś dnia?

— Jeśli nie będziesz zachowywał się jak dupek.

— No to mnie nie wkurzaj — odburknął.

Stał z pochyloną głową, rysując rowek w ziemi czubkiem tenisówki, jak gdyby chciał coś dodać, ale nagle skoczył do przodu, odepchnął mnie i wyrwał do przodu: — Co się tak wleciesz, ruszaj girami. — Patrzyłem, jak się oddala: — Poczekaj na mnie — i także ruszyłem biegiem.

VIII

Dojeżdża furgonetką do końca drogi i gasi silnik. Przymruża oczy w tej nowej ciemności, wyciąga ramię przez otwarte okno, rozprostowuje palce i zaciska je w pięść.

Nazywa się Ettore Furenti i jest moim ojcem.

Dziewczyna — jej imię wciąż wybrzmiewa w moich snach i zmusza mnie, abym ogarnięty nagłą paniką przerwał, cokolwiek robię, kiedy słyszę je na ulicy, w supermarkecie czy na parkingu, bo myślę, że to ona, że zdołała mnie rozpoznać trzydzieści lat później, że powróciła z przeszłości i patrzy na mnie; jej imię, którego nie jestem w stanie wymówić ani tym bardziej zapisać, które ujrzałem wydrukowane w „Echu Doliny” obok imienia mojego ojca i które było na niemych ustach ludzi — dziewczyna nie porusza się, nie otwiera drzwi, nie próbuje uciekać: patrzy na zatraskujący się wokół niej półksiężyc drzew.

Jesteśmy na miejscu, mówi mój ojciec, a wtedy ona się odwraca, jak gdyby miała nadzieję, że zniknął, że zobaczy tylko puste siedzenie samochodu.

Co tutaj robimy?

Już ci powiedziałem.

Chcę wrócić do domu.

Nie teraz.

Dlaczego?

Zapala papierosa i podaje jej paczkę.

No dalej, zapal sobie.

Ona potrząsa głową.

Nie każ mi tego powtarzać, to nie jest miłe.

Podsuwa jej paczkę pod nos i dziewczyna bierze papierosa. Ojciec podaje jej zapalniczkę.

O właśnie, zuch dziewczyna.

W wątlym świetle płomyka zapalniczki jej twarz jest tylko bladą plataniną cieni. Dziewczyna czuje się słaba i zagubiona. Upuszcza zapalniczkę — nie jest w stanie utrzymać jej w dłoni — podnosi wzrok i przeprosza.

Ja ją podniosę, mówi ojciec, ale nie gap się na mnie.

Schyla się, podnosi zapalniczkę, wsadza ją do kieszeni i przeciera oczy. Ręce już mu nie drżą.

To dlatego, że nie jestem w stanie spać, mówi.

Przypomina mu się lasek za domem. Obraz siebie samego kopiącego dół w ziemi, rozdziawiony pysk jego psa z wywalonym językiem, nie pamięta jednak, kiedy to się zdarzyło. Kiedy go pochował?

To dlatego nie pamiętam, mówi.

Niektóre rzeczy znikają z pamięci, choćby nie wiem jak bardzo próbowało się je zatrzymać. Inne pozostają, ale nie potrafiłby określić, kiedy dokładnie mu się przydarzyły. Czas przypomina zmięte prześcieradło: czasami ojcu się wydaje, że dopiero co zwolniono go z pracy albo że jest jeszcze zima, i dziwią go długie gorące dni. Są też rzeczy, których nie jest pewien, i boi się, że je zrobił.

To nie byłem ja, mówi.

Opiera czoło na kierownicy, żeby chwilę odpocząć, i w tej samej chwili wyczuwa ruch obok, słyszy kliknięcie klamki i odgłos otwierających się drzwi.

Co robisz? pyta przez zaciśnięte zęby.

Nic.

Zamknij drzwi.

Dziewczyna zamyka je posłusznie.

Potem jest znowu zima, pada śnieg i panują ciemności.

Ojciec stoi na skraju szosy, na początku podjazdu. Dom Idy jest rzęsiście oświetlony, za jednym z okien pojawia się dziewczyna: porusza ramionami i wiruje, włosy owijają jej się wokół ramion. Tańczy dla niego, bo zobaczyła go bez kurtki, zziębniętego — lubi, kiedy na nią patrzy. Woła go, jej ciepły głos zachęca, żeby do niej dołączył.

Czekam na ciebie.

Chciałem wejść, mówi ojciec, ale w domu był mój syn, nie mogłem. Zresztą to nie ma znaczenia. Liczy się tylko to, żeby nie znalazł nas ten typ. I żebyśmy trzymali się razem.

Zaciąga się ostatni raz. Wiatr jest niczym wezwaniem.

Teraz popatrz na mnie, mówi do dziewczyny, ale ona siedzi z pochyloną głową, jej ręka spoczywa bezwładnie na torebce, między palcami dopala się papieros. Otwiera usta, szepcze: proszę.

Wysiadamy.

Dlaczego?

Bo musimy iść.

Proszę.

Musimy to zrobić. Wiedzieliśmy o tym oboje.

Dziewczyna się nie porusza; ojciec wzdycha i wysiada z furgonetki, obchodzi maskę, otwiera drzwi z jej strony, wyciąga papierosa spomiędzy jej palców i robi krok w tył.

Chodź.

Ona potrząsa głową.

No ruszaj. To niedaleko.

Bierze ją za łokieć, pociąga łagodnie — co się stało z osobą, którą pamięta z tego wieczoru, kiedy tańczyła? — Dziewczyna wstaje i wysiada, ale nie jest w stanie utrzymać się na nogach, przypomina bezwładną szmacianą lalkę.

Podtrzymam cię, mówi ojciec. Daj mi torebkę.

Nie.

Powiedziałem: daj mi ją. Grzeczna dziewczynka.

Wsuwa torebkę pod siedzenie, bierze latarkę, zapala ją i kieruje strumień światła na twarz dziewczyny. Jej głowa odskakuje w bok, dziewczyna wydaje jęk i zamyka oczy.

Przepraszam, mówi ojciec.

Oświecła chwasty, zwalone pnie i prześwit między drzewami; mówi, żeby popatrzyła.

Zostawił furgonetkę w miejscu, w którym nie można jej było zobaczyć z szosy.

Nie zamknął drzwi, klucze zostawił w stacyjce.

Prawdopodobnie sądził, że miną całe dni, zanim ją znajdą.

Był tam już wcześniej, w te dni, kiedy wracał późno w ubłoconych butach i spodniach albo kiedy wychodził po kolacji, a my czekaliśmy na niego.

W zakładach i na tej ścieżce.

Wiedział, dokąd iść.

Urodziny

Pewnej lipcowej niedzieli jakiś mężczyzna, który wybrał się z psem na spacer wzdłuż rzeki, znalazł zeszyty chłopca owinięte w szmatę. Oddał je karabinierom. Zatrzymali go i przesłuchali; powiedział im, że w dniu zniknięcia dziecka był w pracy — w fabryce mebli. Po pracy wrócił prosto do domu, zjedli z żoną kolację i poszli spać.

Koledzy potwierdzili jego wersję. Potwierdziła także żona.

— A ja i tak myślę, że on to zrobił — powiedział Stefano.

— A niby jak, twoim zdaniem?

— Nie wiem. Policja musi to rozgryźć.

— Przecież nie poszedłby do karabinierów.

— Nie wiadomo, co takim czubkom chodzi po głowie — odparł.

— Moim zdaniem, to nie był ktoś stąd.

— I co, wrócił? Tylko po to, żeby podłożyć rzeczy?

— Możliwe.

— Akurat.

Tydzień później Anna kończyła trzydzieści sześć lat i zaprosiła mnie na kolację, bo — jak powiedziała — chciała to jakoś uczcić.

— Potem cię odwiozę, pamiętam trasę.

Ubijała białka. Stała boso na trawie. Zatrzymała się na chwilę, uniosła widelec.

— Jeśli to dla ciebie nie problem.

— Nie, nie ma żadnego problemu.

— Na pewno? — zdawało się, że chce coś dodać, ale nic już nie powiedziała.

— Jasne.

— Ale musisz uprzedzić rodziców.

Odpowiedziałem, że ich nie ma — matka na pewno by protestowała, a ja nie miałem ochoty wysłuchiwać jej gadaniny.

— No to w porządku — powiedziała Anna i uśmiechnęła się do mnie.

— Co tu świętować? — wtrącił się Stefano. Siedział na brzegu leżaka; zerwał dmuchawiec, poruszył nim na wietrze i wyrzucił za siebie.

— Zawsze coś można, skarbie.

Wyobraziłem sobie, jak matka na mnie czeka i się niepokoi — być może czeka także na ojca — ale potem wygnałem ten obraz z myśli, przyglądając się Annie, jak przechodzi przez trawnik, nucąc pod nosem, jej włosom zebranych w kok na karku, strużce potu spływającej po szyi.

Kolacja była katastrofą.

Santo Trabuo nie wyrzekł ani słowa: przełknął dwa kęsy, zapalił papierosa i wstał.
— Idę spać.

— Zrobiłam tort — odezwała się Anna, ale nie odpowiedział.

W karafce było wino. Kiedy jej ojciec wyszedł — usłyszeliśmy trzaśnięcie drzwi w głębi korytarza — Anna naląła je sobie do kieliszka.

— Jeszcze nie zrozumiałaś? — powiedział Stefano. — Nie chce nas tutaj.

— Nie zdobędziesz nagrody za niesympatyczne zachowanie. Zresztą to nieprawda.

Owinęła kosmyk włosów wokół palca. Wiał ciepły wiatr, ściemniało się.

— Mogę wiedzieć, co cię gryzie? — spytała. Wychyliła kieliszek i napełniła go znowu aż po brzeg. — W końcu jestem twoją matką.

— Chcę wrócić do domu — w kółko to powtarzał.

— W tej chwili *to* jest nasz dom — powiedziała z bladym uśmiechem. — Wiesz doskonale, co się stało.

— Co?

— Przestań.

— Bo wszyscy cię nie znoszą, *mamusiu*.

Anna otworzyła usta i zaczęła szybko mrugać. Schyliłem głowę, mając nadzieję, że na tym się skończy, że Stefano da spokój. Dotknęła jego ręki. Wtedy wrzasnęła: — Nie dotykaj mnie! — zamachnął się i uderzył ją.

Anna opadła do tyłu, oniemiała, roztarła ramię, a potem zaczęła się śmiać i upiła trochę wina. — To prawda, wszyscy mnie nie znoszą.

Stefano zniknął w swoim pokoju, nawet się ze mną nie pożegnał.

Wyszeptwała: — Wszyscy — i potarła twarz.

— Wcale tak nie jest, zapewniam panią — powiedziałem.

Popatrzyła na mnie. Oczy jej błyszczały. — Skąd to możesz wiedzieć?

Wzięła kieliszek i podniosła do ust.

— Odwiozę cię — oświadczyła. — Nic nie straciłeś.

Wyjechaliśmy ze stacji benzynowej w świetle latarni, potem zanurzyliśmy się w ciemność. Na niebie pulsowały skupiska gwiazd.

Anna pozwalała, żeby silnik pracował na zbyt wysokich obrotach, jak gdyby skupiła się na czymś, o czym sobie właśnie przypominała. — Chyba jestem trochę wstawiona — powiedziała. — Zwykle nie piję, wiesz?

Wiedziałem jednak tylko to, że mam szesnaście lat i siedzę obok kobiety, o której stale ostatnio myślałem.

— Nie masz pojęcia, jak to jest.

— Co? — spytałem.

— Być samotnym. Jestem pewna, że ciebie to nigdy nie spotka.

Wysunęła rękę przez okno, po pieszczotę ciepłego powietrza.

— Stefano się przyznał, że poszliście do wodospadów — powiedziała.

— Tak, raz.

— Przecież on nie umie pływać.

— Tam nie jest niebezpiecznie. Pilnowałem go.

— Ojciec nigdy ci o tym nie mówił?

— O czym?

— O tym, co mu się tam przydarzyło.

— On nie. Matka wspominała, że miał tam jakiś wypadek. Przypuszczam, że spadł.

— Spadł — powtórzyła, przesuwając językiem po wnętrzu ust. — Tego dnia jej tam nie było. Byłam tylko ja.

Mój ojciec i Anna przy wodospadach; co tam robili tylko we dwoje?

— W takim razie co się stało?

— Zostawmy to — odpowiedziała. — To było tak dawno.

Nad drzewami pojawił się księżyc, przypominający wyszczerbiony talerz. Przed zakrętem Anna przyspieszyła i musiała gwałtownie zahamować.

— Naprawdę przesadziłam — zaśmiała się. Odgarnęła włosy do tyłu i popatrzyła na mnie. — Podejrzewam, że ty i Stefano mówicie sobie o wszystkim, skoro zawsze jesteście razem.

— Mniej więcej.

— Wspomniał ci o swoim ojcu?

— Tak jakby.

Skinęła głową. — Niech zgadnę: powiedział ci, że mnie nienawidzi, bo go tutaj

przywiozłam. I że to wszystko moja wina.

Zawahałem się, po czym odrzekłem: — Nie.

— Jestem tego pewna.

— Nie powiedział nic takiego, przysięgam.

Pomasowała skroń i znowu przyspieszyła. Przejechaliśmy obok oświetlonych okien restauracji.

— Wobec tego jesteś kłamczuchem, tak jak wszyscy — oświadczyła.

W tej samej chwili z lasu wyskoczył jakiś cień, zatrzymał się na moment w świetle reflektorów — chyba to był kot — po czym zniknął szybko po drugiej stronie szosy. Anna nacisnęła gwałtownie pedał hamulca i zatrzymała samochód. Silnik zgasł. Wyrzuciło mnie do przodu, przytrzymałem się rękami deski rozdzielczej i opadłem z powrotem na siedzenie.

— O mało go nie przejechałam — powiedziała. Oddychała ciężko. Pogładziła mnie po ramieniu. — Wszystko w porządku?

— Tak.

Zapaliła silnik i ruszyła dalej, ale po kilku metrach zjechała na pobocze i zaczęła szlochać, przyciskając dłoń do ust.

— Źle się pani czuje? — spytałem.

Potrząsnęła głową i wyprostowała plecy. Potem obróciła się, żeby na mnie popatrzeć, po policzkach spływały jej strugi tuszu; osuszyła je i próbowała się uśmiechnąć, szloch powoli się uciszał.

— Przestraszyłam się — powiedziała, pociągając nosem.

— Nic się nie stało.

— To nie był udany dzień. Przepraszam, nie chciałam ci robić przesłuchania. Jesteś takim ładnym chłopcem.

Wzruszyłem ramionami.

— To prawda. Masz dziewczynę? — spytała.

— Nie.

— Ale na pewno jakaś ci się podoba.

Opuściłem oczy na rąbek jej sukienki, tuż ponad kolanami. Nagle wydało mi się, że cały płonę.

— A ja jestem ładna?

— Tak.

— Jak bardzo?

Wzięłam głęboki oddech: — Bardzo.

Powtórzyła: — Kłamczuch — ale położyła mi rękę na udzie i ścisnęła je. Odwróciłem się w stronę światła, reflektory były włączone.

— Popatrz na mnie. — Przynęła się, ujęła mnie palcami za brodę. — Elia Furenti — powiedziała i musnęła ustami mój policzek.

Czułem jej zapach, zapach jej włosów, pachwina mi nabrzmiwała, ręce miałem zimne i wilgotne.

Odsunęła się i zaśmiała śmiechem, który przypominał płacz. — O Boże, jaka jestem głupia. Chciałam...

— Ja też tego chcę — wyszeptalem, a Anna przymknęła oczy, jakby umknął jej sens moich słów.

— Jedziemy.

I właśnie wtedy, gdy zacisnęła ręce na kierownicy, ale jeszcze nie zapaliła silnika, dotknąłem jej ramienia, jej spoconej skóry, i przesunąłem po niej pieszczotliwie palcami. Na początku się nie poruszyła, tylko przeszedł ją dreszcz. — Odzwyczaiałam się od pewnych rzeczy — powiedziała. Pochyliłem się i zacząłem ją całować zamkniętymi ustami, pozwoliła mi na to.

W końcu odsunęła się i popatrzyła na mnie uważnie w ciemnościach. — Muszę cię odwieźć do domu.

— Nie chcę tam wracać.

— A gdzie chcesz jechać? Chcesz zostać tutaj?

— Chętnie.

Wykrzywiła usta w bladym uśmiechu: — To całkiem dobry pomysł. — Odchyliła głowę do tyłu, jej chuda szyja wygięła się w łuk; wciągnęła głęboko powietrze i zamknęła oczy. — Cały czas uciekam... Nie rób tak jak ja — powiedziała.

Potem popatrzyliśmy na siebie, przygryzła wargi i znowu się pocałowaliśmy — jej oddech czuć było winem — muskaliśmy się czubkami języków, ocieraliśmy o siebie ramionami, pieściliśmy palcami włosy, jak gdybyśmy chcieli wczepić się w siebie, tonąc w jakiejś głębinie, nie mogąc oddychać.

W pewnej chwili znieruchomiała z dłońmi zaciśniętymi na moich ramionach i spojrzała w tylną szybę.

— Słyszałam coś — powiedziała cicho.

— Nikogo tam nie ma.

— Posłuchaj.

Rozejrzeliśmy się, droga była pusta. Anna obciągnęła sukienkę i wytarła usta.

Jedyną rzeczą, jakiej pragnąłem, było podjąć na nowo to, co przed chwilą robiliśmy, całować ją i dotykać, ale ona przekręciła kluczyk i włączyła silnik.

— Już późno — powiedziała i ruszyła w dalszą drogę.

Później przyszło mi do głowy, że pomyślała o swoim synu, mimo że nagadał jej tego wieczoru tyle przykrych rzeczy.

Że zapyta ją, dlaczego tak długo jej nie było.

Gdzie się podziewałaś?

Dla mnie to nie miało znaczenia: istniały tylko jej ślina, zapach, moje obolałe nogi i pulsująca pachwina.

Zatrzymała samochód w pewnej odległości od podjazdu, oparła się o siedzenie i spojrzała na mnie.

— Wyglądasz, jakbyś się z kimś pobił.

Przygładziłem włosy i odlepiłem koszulkę od pleców.

— Tak już lepiej.

Zamknęła oczy i wypowiedziała zdanie, którego wtedy nie rozumiałem.

— W pewnej chwili więcej jest rzeczy, których nie wiesz, niż tych, które znasz. W końcu pojmujesz, że nie wiesz nic.

Siedziała z zamkniętymi oczami, dopiero po chwili znowu na mnie spojrzała.

— Twój rodzice wrócili — powiedziała, wskazując na samochód zaparkowany na podwórzu. — Musisz już iść.

W jej głosie pojawiła się nuta niecierpliwości, jakiś ostry i szorstki ton, którego nigdy wcześniej nie słyszałem.

— Wobec tego najlepsze życzenia.

Zmarszczyła czoło.

— Urodziny.

— Ano tak. Prawda. Dziękuję.

Chciałem wysiąść, ale zatrzymała mnie: — Poczekaj. — Przysunęła się i znowu zaczęliśmy się całować.

Kiedy zniknęła za zakrętem, długo wpatrywałem się w ciemność, która ją pochłonęła, przesuwając palcami po ustach i próbując uspokoić bicie serca.

Wiatr szumiał w listowiu. Wszystko wydawało się małe i odległe.

Przemierzyłem podjazd niepewnym krokiem — ani śladu furgonetki — na ganku kilka razy odetchnąłem głęboko, żeby ochłonać, i na koniec wszedłem do domu. W korytarzu świeciło się światło.

— Elia, to ty? — zawołała matka.

Siedziała na kanapie w salonie, skryta w półcieniu.

— Gdzie się podziewałeś?

Zatrzymałem się na progu z rękami w kieszeniach, drżały mi nogi.

— Spóźniłem się na autobus — powiedziałem.

Matka przechyliła głowę na bok. Nie zapytała o nic więcej — zastanawiałem się, czy patrząc na mnie, czegoś się nie domyśliła.

— Gdzie tata?

— Nie wiem — odparła. — Miałam co innego na głowie.

Na podłodze jej pantofle i otwarta książka. Na nogach skarpetki ojca.

— Zgasić światło? — spytałem.

— Tak, zgaś.

Poszedłem do łazienki, potem do swojego pokoju, zamknąłem drzwi i rzuciłem się na łóżko. Zasnąłem w ubraniu, nie słyszałem, kiedy wrócił ojciec — i tej nocy śniła mi się Anna: wyciągnięta na tylnym siedzeniu samochodu, w jakimś nieznanym mi miejscu, w rzeński, świetlisty dzień.

IX

Światło latarki przywraca drzewom życie.

No dalej, mówi mój ojciec.

Otworzył tylne drzwi furgonetki, wszedł na chwilę do środka. Teraz znajduje się za plecami dziewczyny.

Jej oddech jest szybki i ciężki, jak gdyby biegła gdzieś w ten duszny letni wieczór.

Mówił pan, że odwiezie mnie do domu.

To prawda. Tam właśnie idziemy.

Przed kolacją, wyciągnięty z głową w nogach łóżka, wpatrywałem się w ciemniejące niebo, rozpamiętując, jak tego ranka Anna rozejrzała się dookoła, pociągnęła mnie nagle do ściany obok lodówki, wzięła moją rękę i przycisnęła ją do ust, a potem do szyi — jej syn w tym czasie kończył się myć. Nie zamieniliśmy ani słowa.

Matka przeszła do salonu. Włączyła telewizor, zgasiła go i wróciła do kuchni. Czekala na ojca. Chociaż nie rozmawialiśmy o tym, oboje wiedzieliśmy, że znowu coś jest nie w porządku: mało spał, zawsze na kanapie, schudł, za dużo pił i cały czas palił.

Rozpiąłem dzinsy i zacząłem się dotykać. Wyobrażałem sobie, co moglibyśmy robić z Anną w różnych miejscach: w samochodzie, przy wodospadach, na kamienistej plaży albo w sali kina Futura.

Mój ojciec był w tej chwili tylko cieniem, myślą, którą zdusiłem. Zdarzały się w tym okresie dni, kiedy wręcz miałem nadzieję, że już nigdy nie wróci, postanowi zniknąć i w domu nareszcie będzie spokojnie i cicho, echo kroków ojca i jego ochrypłego śmiechu stanie się wspomnieniem, powoli zgaśnie.

Usłyszałem głos matki: — Elia?

Zapiąłem dzinsy i poszedłem do łazienki, żeby przemyć twarz i ręce.

Kiedy zszedłem do kuchni, matka się uśmiechnęła. — Nic nowego — powiedziała.

Wskazała puste miejsce czekające na ojca, jak gdyby jego nieobecność była tylko nieważnym szczegółem, plamą, którą można wymazać, czymś, do czego się przyzwyczaiła, choć wiedziałem, że tak nie jest.

Dokąd cię prowadzi?

Wziął coś z tylnej części furgonetki i wsadził do kieszeni. Oświetla prześwit między drzewami. Nie trafili tu przypadkiem, wie doskonale, dokąd iść, kiedy powtarza jej: no, dalej.

Znowu uginają się pod nią kolana i ojciec musi ją podtrzymać.

Nie musisz się bać, mówi, kierując latarkę na jej nogi. Odwagi.

Ona szepcze: nie jestem w stanie.

Nie słyszę, mówisz za cicho.

Powiedziałam, że nie jestem w stanie.

Nie mogę cię nieść.

Odsuwa jej włosy z twarzy, mówi do ucha: to nie jest trudne. Popycha ją delikatnie, dziewczyna robi krok przed siebie i wtedy on komentuje: Widzisz?

Zanim zanurzą się w las, dziewczyna się odwraca i patrzy na zaparkowaną furgonetkę, jak gdyby najbardziej bolesne było oddalić się, stracić samochód z pola widzenia, choć zaledwie kilka minut wcześniej była gotowa wysiąść i uciekać.

Uważaj, gdzie stawiasz nogi. To nie jest daleko, bądź spokojna.

Co, co nie jest daleko?

Niespodzianka.

Matka nie otwierała ust, więc mówiłem ja. Opowiedziałem jakiś żart — zaśmiała się z przymusem — wyznałem, że przykro mi, bo wakacje już się kończą, i powtórzyłem, że chciałbym mieć skuter i że tak byłoby wygodniej dla wszystkich.

— To nie jest odpowiednia chwila — stwierdziła. — Zresztą niedługo będziesz mógł zrobić prawo jazdy.

— Dopiero za dwa lata.

— Dwa lata zlecą jak z bicza trzasnął. Tak szybko rośniesz. Wydaje mi się, że jeszcze wczoraj byłeś taki malutki — wyciągnęła rękę i uniosła dłoń na wysokość stołu.

W pewnej chwili spytała o Stefana, nie wspominając o Annie.

— Widujesz się z nim jeszcze?

— Od czasu do czasu.

Westchnęła, potem odwróciła się i zapatrzyła w okno.

Stromy odcinek ścieżki, gałęzie uderzają ją po twarzy i ramionach: dziewczyna ogania się rękami, jak gdyby była uwięziona w pajęczynie.

Nic nie widzę.

Ojciec podnosi latarkę. Wszystko w porządku, jestem z tyłu.

Ścieżka prowadzi przez coraz większą gęstwinę. Nikt nie może jej pomóc, nikt nie wie, gdzie się znajduje.

Co się dzieje? pyta ojciec, kiedy dziewczyna się zatrzymuje.

Nie dam rady dalej iść.

Słyszysz jego warknięcie: Pospiesz się.

Nie mogę, tu jest za wąsko.

Mija ją i odsuwa gałęzie. Odłamuje jedną z nich i pokazuje dziewczynie, ona kuli plecy, chowa głowę w ramionach i zamyka oczy.

Nie chcę ci zrobić krzywdy, mówi ojciec po chwili milczenia. Jego głos jest zdumiony, niedowierzający. Musimy iść. Tu nie jest bezpiecznie.

Mogłaby krzyknąć, ale kto ją usłyszy? Mogłaby mu powiedzieć, że nie postąpi dalej ani kroku, ale nie chce, żeby się rozgniewał. *Nie drażnij go, to jakiś koszmar, zbudzisz się z niego.*

Proszę, mówi mój ojciec falsetem, panienka może przejść.

W jego głos wkrada się jakaś zimna nuta, coś groźnego.

Kiedy kończyłem jeść, matka zaparzyła kawę. Była blada, miała włosy w nieładzie, palmy na jej sukience chyliły się ku ziemi.

Podeszła do drzwi. Myślałem, że chce wyjść na zewnątrz, ale zatrzymała się na progu: — Dzisiaj wieczorem powietrze jest jakieś inne.

— W jakim sensie?

— Jak gdyby miało padać.

Niebo było czyste i rozgwieżdżone. Wiał ciepły wiatr.

— Nie wydaje mi się.

— Nie miałabym nic przeciwko temu — powiedziała matka. — Przynajmniej orzeźwiłoby się powietrze.

Nalała sobie kawy i popatrzyła na mnie zagubiona, z filiżanką w ręku. Poszedłem do salonu i włączyłem telewizję.

Kilka minut później wykręciła numer Idy.

Dziewczyna potyka się na wyboistej ścieżce — kamienie i korzenie, gałęzie i kupki liści — z ramionami wyciągniętymi do przodu.

Nie dam już rady, muszę się zatrzymać.

Nie, odpowiada ojciec.

Dyszy jej w szyję i zaczyna ją popychać.

Proszę, mówi dziewczyna.

Powiedziałem: nie.

Ida przyszła chwilę później z Simoną. Przyniosła opakowanie lodów. Matka rozdzieliła je do miseczek i zjedliśmy je na ganku, siedząc na bujaku. Simona przycupnęła na stopniu.

Rozmawiały o gorącym lecie, o kwiatkach więdnących w doniczkach. Ani słowem nie wspomniały o ojcu.

Simona rozbełtała lody, poczekała, aż się rozpuszczą, potem wypila je, wylewając sobie przy tym część na bluzkę. Matka pobiegła po gąbkę i próbowała ją wyczyścić, ale Simona potrząsnęła głową, mrucząc coś pod nosem, i Ida powiedziała: — Daj spokój, Marto. — Potem walnęła mnie dłonią w kolano. — To co mi opowiesz?

— Nic nowego.

— Widziałam cię dzisiaj rano — powiedziała.

— Gdzie?

— Na stacji benzynowej.

Moja matka, jeszcze pochylona nad Simoną, obróciła się i popatrzyła na mnie badawczo.

Ciemność jest duszna.

Dziewczyna rozpina koszulę. Schodzą teraz w dół, pokonawszy zbocze, na którym musieli zwolnić, wdrapując się na nie z trudem.

Chcę wrócić do domu, mówi dziewczyna.

Nie jest w stanie powiedzieć nic innego, powtarza to zdanie w nieskończoność.

Możesz się uciszyć?

Dziewczyna wreszcie cichnie, słycać tylko jej oddech i chrzęst kroków. Natęży słuch i w szumie wiatru wychwytyje plusk strumienia poniżej. Zapach wody i błota.

Jesteśmy prawie na miejscu.

W tym momencie ona potyka się na kamieniu czy korzeniu, upada głową w przód

i wybucha płaczem.

Nie możesz uważać?

Obejmuje ją w pasie i stawia na nogi, ale jest zupełnie bezwładna.

Nie zrobiłaś sobie krzywdy, prawda?

Usta dziewczyny są otwarte, ręce spocone, dzinsy rozdarły się na kolanie, ma obtartą nogę. Maca prawe ramię, jęcząc, a jemu przypomina się rozpaczliwy skowyt psa przywiązanego do drzewa.

Pytałem, czy zrobiłaś sobie krzywdę — ale odpowiedzią jest znowu jęk, wtedy on psyka, kierując światło latarki prosto w jej twarz, dziewczyna wydyma policzki, jej piersią wstrząsa szloch, i wymiotuje.

Chryste Panie, mówi ojciec, robiąc krok w tył. Co się z tobą dzieje? Co za obrzydliwość.

Zwymiotowała na siebie, na bluzkę, buty i końcówki włosów. Podnosi wolno głowę, obcierając usta — wciąż jeszcze szloch — i nagle rzuca się na ojca, usiłuje go uderzyć, atakuje pięściami. Ojciec chwytą ją za przeguby i potrząsa nią gwałtownie.

Co robisz, do cholery?

Udaje mu się ją unieruchomić, obejmuje ją, powtarza: Uspokój się, to niczemu nie służy.

Twą twarz dziewczyny jest przyciśnięta do jego piersi.

Grzeczna, bądź grzeczna.

Mijają całe wieki, zanim przestaje się szarpać. Śmierdzi wymiocinami, jest wymazana mokrą ziemią.

Nie próbuj tego znowu. Jestem tutaj, żeby ci pomóc.

Dziewczyna coś mówi — jej usta i zęby ocierają się o jego pierś, jak gdyby chciała go ugryźć — on rozluźnia trochę uścisk, prosi, żeby powtórzyła. Latarka upada na ziemię i oświetla jakiś krzew. Wydaje mu się, że woda spływa tuż pod jego stopami.

Zostaw mnie w spokoju, bydlaku, mówi dziewczyna, a ojciec wzdycha teatralnie.

Od tej pory będziesz robić, co ci powiem. Nie nazywaj mnie w ten sposób. W każdym razie wybaczam ci.

Przyciska ją znowu do siebie, żeby zrozumiała. Nie zostało już nic poza miejscem, do którego się kierują, i jego głowę, w której myśli wirują coraz szybciej. Nic, do czego warto byłoby wracać.

Patrzyliśmy, jak Ida i Simona idą alejką do domu: przeszły i zniknęły, po chwili

rozległa się muzyka.

Zebrałem na palec kroplę lodów z miseczki i oblizałem go.

Matka usiadła obok mnie; wpatrywała się w miejsce na szosie, w którym ojciec zwykł parkować furgonetkę.

Pomyślałem o Annie, o kącie w kuchni, o świetle na ścianie za jej plecami.

Poczułem jej wargi we wnętrzu dłoni.

Ludzie

— Powiesz mi, co się wczoraj wydarzyło? — spytała matka przed wyjściem do pracy.

Byłem jeszcze zaspany, stopy miałem zaplątane w prześcieradło, oczy mi się zamykały. — Mówiłem ci, spóźniłem się na autobus.

— Byłeś z tym chłopcem?

— Tak.

— Dlaczego nie zadzwoniłeś?

— Nie przyszło mi do głowy, przepraszam.

Podniosła z podłogi dzinsy, strzepnęła je, położyła na oparciu krzesła i wygładziła dłonią. Patrzyłem na jej plecy, na delikatne, roztargnione ruchy w rozproszonym świetle.

— Wiesz, o czym myślałam, kiedy wróciłeś?

— Nie.

Nie odwróciła się. — Myślałam o tym, jak by się nam układało, gdybyśmy nie mieszkali tu, na wzgórzu.

— A gdzie chciałabyś mieszkać? — spytałem, wspierając się na łokciach.

Nigdy nie rozmawialiśmy o ewentualnej przeprowadzce.

— Gdzieś, gdzie nie ma takiej ciszy — odpowiedziała.

Gdy tylko wyszła, naciągnąłem prześcieradło na głowę i to, co się zdarzyło między mną a Anną w samochodzie jej ojca, wyłoniło się w moim mózgu niczym złudny i plastyczny urywek snu. Zajęło mi kilka minut, zanim to zrozumiałem. Wydało mi się, że czuję jej zapach na koszulce i we włosach.

Przewróciłem się na drugi bok i znowu zasnąłem, dryfując w płytkiej drzemce. Potem zadzwonił telefon.

Powiedziała, że znalazła numer na szafce, kiedy robiła porządki — na kartce z notesu, którą dałem Stefanowi.

— Odwiesiłabym, gdyby odebrał ktoś inny.

— Nie ma nikogo — uspokoiłem ją.

Usiadłem na podłodze i oparłem się o ścianę. Nigdy nie słyszałem jej głosu przez telefon, wydał mi się niski i wątpy.

— Co robiłeś?

— Nic. Gdzie jest Stefano?

— Wyszedł. Chyba po papierosy. Chciałabym, żeby prosił otwarcie o pieniądze. Dałabym mu, chociaż nie mam dużo. — Westchnęła. — Nie mogłam spać, wiesz?

— A ja spałem.

— Szczęściarz z ciebie — odchrząknęła, oddalając słuchawkę od ust. — Chciałabym cię prosić o przysługę.

Wyciągnąłem nogi na chłodnej podłodze i popatrzyłem na swoje długie, chude stopy. Byłem gotów zrobić wszystko, o co by mnie poprosiła. Popędziłbym natychmiast do Ponte, jeśliby tego chciała, zabrałbym ją na plażę albo do wodospadów, przy których nigdy nie było żywej duszy. Ale co by powiedział Stefano i co ja bym mu powiedział?

— To, co się stało wczoraj... — mówiła dalej.

— Tak?

— Chcę, żebyś o tym zapomniał.

Przyciągnąłem kolana do piersi i objąłem je ramieniem.

— Elia? Jesteś tam?

— Nie podobało ci się?

Wyrwał jej się zmęczony śmiech, a w końcu powiedziała:

— Nie powinieneś o to pytać.

— Ale o to chodzi?

— Nie.

— Więc o co?

— Że nie powinniśmy tego robić — powiedziała. Wrzuciła kolejny żeton. — Musisz mi przyrzec, że nie będziesz o tym myślał. Przyrzekasz?

W uszach miałem szum szybko bijącego serca. Oparłem głowę o stół i wyszeptałem: — Dlaczego?

— Co mówiłeś?

— Nic. Powiedziałem: w porządku.

— Czyli wszystko jest tak jak wcześniej?

— Nie wiem.

— Oczywiście. Teraz muszę iść.

— Mogę potem przyjść?

— Możesz robić, co chcesz — powiedziała i się rozłączyła.

Siedziałem długo w korytarzu ze słuchawką w ręku, myśląc o jej słowach, dziwnym śmiechu i swojej obietnicy, i czułem się jak idiota.

Na dworze ćwierkały ptaki.

Wstałem i wyszedłem na podwórze. Nagle zacząłem biec, dotarłem do brzegu lasu i tam się zatrzymałem.

Kręciło mi się w głowie, więc się położyłem; dotykałem ciepłej ziemi i trawy opuszkami palców.

Wróciłem myślami do poprzedniego wieczoru, w samochodzie powiedziała: „Poczekaj”, a ja zamknąłem drzwi.

W tamtej chwili myślałem, że moje życie obrało inny kierunek, że się zmieniłem i nigdy nie będę taki, jak przedtem, i tak się rzeczywiście stało: życie ulegało zmianie, znajome rzeczy znikają za plecami.

Ale nie tylko moje życie.

Nasze życie, którym nikt poza nami jeszcze się nie interesował.

Nie zastałem jej tego popołudnia.

Stefano drzemał na leżaku. Z domu nie dochodził żaden dźwięk. Okiennice były zamknięte.

Patrzyłem na niego, zastanawiając się, jak mam się zachować, kiedy otworzył oczy, ziewnął i się przeciągnął.

— Nie słyszałem cię — powiedział.

— Dopiero co przyszedłem. Jesteś sam?

Przytaknął.

— A twoja matka?

— Skąd mam wiedzieć? Co cię to obchodzi?

Chciałbym móc mu powiedzieć, że teraz mnie to obchodzi i jest dla mnie ważne, ale zamiast tego spytałem: — Wybierzemy się gdzieś?

— Chętnie. Daj mi chwilę.

Usiadłem obok niego na trawie i wystawiłem twarz do słońca.

— Chyba mi się śniłeś — oznajmił, drapiąc ślad po ugryzieniu komara. Rozdrapał go do krwi i wytarł dłoń o dzinsy.

— Co robiłem?

— Jechałeś furgonetką swojego ojca.

— I tyle?

— Nie pamiętam. Poczekaj.

Wpatrywałem się w biały mur, wydawało mi się, że parzy.

— Ach tak, to ty prowadziłeś.

Dwa dni później spotkałem ją, gdy wracała do domu z zakupami, a ja właśnie od nich wychodziłem.

— Cieszę się, że cię widzę — powiedziała. Wyglądała na zmieszaną.

— Ja też.

— Wszystko w porządku?

— Mniej więcej.

— Jestem pewna, że tak jest. — Ścisnęła siatkę w ramionach. — No, to cześć, idę odstawić zakupy. — Patrzyłem, jak wchodzi do domu, nie oglądając się za siebie.

Zanim doszedłem na plac, usłyszałem, że mnie woła, i odwróciłem się. Stała przede mną, przygryzając kciuk.

— Nie jestem kretynem, zrozumiałem — stwierdziłem.

Wykrzywiła usta w tym swoim smutnym uśmiechu, podniosła dłoń i popatrzyła na jej wnętrze. — Linia życia jest krótka — powiedziała.

— To znaczy?

Pokazała mi. — Widzisz? To ta tutaj. Pokazuje, ile mamy czasu. Nauczyła mnie tego sąsiadka. Przypomniałam sobie o tym dzisiaj. Powiedziała, że życie jest w naszych rękach. Daj mi dłoń. Nie tę, lewą.

Wzięła ją i obejrzała uważnie, przyciskając do jej wnętrza wilgotny kciuk.

— Popatrz, jak daleko sięga — ale ja patrzyłem na nią, na jej oczy przymknięte na wietrze.

Podniosła głowę i zauważyła, że się w nią wpatruję.

— Trzeba w to wierzyć — powiedziała.

— Nigdy o tym nie słyszałem.

Pochyliła się znowu nad moją dłoń.

— To, co ci powiedziałam przez telefon... Czasami wiesz, co powinieneś zrobić, ale tego nie robisz. Może nie jesteś w stanie. I może to nie jest takie złe. W końcu jesteśmy przecież tylko ludźmi, prawda?

Odpowiedziałem twierdząco, ale nie zrozumiałem, o co jej chodzi.

— Najpiękniejsze rzeczy są zarazem najtrudniejsze — dodała — chociaż ja

niewiele ich w życiu doświadczyłam. — Obejrzała się, rzuciła okiem na plac, podniosła palec wskazujący do ust, pocałowała go i przesunęła nim po moich wargach.

Myślałem o niej w autobusie, idąc do domu, mijając ganek, przechodząc przez korytarz i rzucając się na łóżko.

Słońce zachodziło.

Zmieniła zdanie? Chciałem spotkać się z nią i o to zapytać.

Ojciec wyszedł z łazienki, nagi, ociekający wodą. Zatrzymał się na progu mojego pokoju; spalone słońcem ramiona opuszczone bezwładnie wzdłuż boków, spuchnięty, biały brzuch, sflaczały penis. — Ktoś wziął moje ubrania. — Jego spojrzenie powędrowało ku fotografii dziecka nad moim łóżkiem i powtórzył: — Ktoś.

W czasie kolacji nie tknął jedzenia. Palił tylko papierosa za papierosem, ubrany w podkoszulek i krótkie spodenki. Na jednej stopie miał but, druga była bosa.

— Zgubiłeś go? — spytała matka.

— Przybywam z innego świata.

— W twoim świecie nie je się kolacji?

Potrząsnął głową.

Dopiero wtedy zauważyłem zadrapania na jego ramionach, matka patrzyła na nie ze zdziwieniem. O nic nie zapytała. Zaczęła opowiadać o tym, co się zdarzyło późnym popołudniem, o spotkaniu na placu z matką zamordowanego dziecka.

— Chyba mnie nie rozpoznała.

Źle wygląda, powiedziała matka, jest chuda jak szkielet, ma posiwiałe rzadkie włosy i pustkę w oczach. A ma zaledwie trzydzieści jeden lat.

— Gdyby chociaż złapali tego zwyrodnialca. Ale prędzej czy później na pewno go znajdą.

Jej ufność i ślepy optymizm, zapętlone ciaśniej i w bardziej skomplikowany sposób, niż mogłem to sobie wtedy wyobrazić.

Zjadłem wszystko z talerza i wstałem od stołu. Wtedy ojciec odsunął krzesło i wyciągnął ramię, aby mnie zatrzymać.

— Nie dałem ci pozwolenia.

Matka popatrzyła na nas, próbowała się uśmiechnąć.

— Ależ, Ettore, przecież skończył — powiedziała.

— Jeśli mnie nie poprosi, nie ruszy się stąd.

Przez chwilę panowało milczenie. Staliśmy bez ruchu w naelektryzowanym powietrzu, które iskrzyło w pokoju. Patrzyłem na napięte mięśnie twarzy ojca, na jego profil, szyję i szczękę, podczas gdy on wpatrywał się w ścianę.

— Mogę? — musiałem w końcu spytać.

Kiedy zostali sami, ojciec powiedział: — Nie wolno ci podważać tego, co mówię. — Jego głos spłynął korytarzem pod moje drzwi. Nie krzyczał, nie wydawał się rozszoszczony. Nawet zaczął się śmiać.

— Wiem, co ci chodzi po głowie — dodał.

— Kochanie, proszę cię.

— Widzę rzeczy, których nawet nie potrafisz sobie wyobrazić.

— No to mi o nich opowiedz.

— To by się na nic nie zdało.

Włączyłem magnetofon, zaniósłem go do łóżka i podkręciłem głośnik.

Wyjechał furgonetką.

Matka weszła do mojego pokoju i dała mi znak, żebym ściszył muzykę.

— Pójdę do Idy. Muszę z nią chwilę porozmawiać.

Wbiła wzrok w podłogę, w jakieś miejsce na środku pokoju.

— Nie obrażaj się — powiedziała, podnosząc wzrok. — Ale masz zbyt długie włosy. Powinieneś je obciąć.

— Mnie się takie podobają.

Takie nosił Stefano.

— Kiedy byłeś mały, ja ci je obcinałam. Pamiętasz?

— Urosłem.

— Tak to już jest — odpowiedziała.

Leżałem jeszcze chwilę na łóżku, a potem poszedłem do sypialni rodziców.

Na szafce ojca znalazłem opróżnioną do połowy paczkę papierosów; wziąłem jednego i wyszedłem zapalić na ganku. Świeciły gwiazdy, po niebie przesuwiała się brudna ścierka chmury. Myślałem o Annie, o tym, o co chciałem ją zapytać następnego dnia — chociaż stało się inaczej.

Wyrzuciłem niedopałek, wróciłem do pokoju i wyłączyłem magnetofon.

Kilka minut później usłyszałem stłumiony hałas.

— Mamo?

Wyszedłem na korytarz oświetlony blaskiem księżyca: był pusty. To nie ona,

pomyślałem, coś mi się przywidziało, ale potem znowu usłyszałem hałas; dochodził z garażu.

— Tato?

Nie zauważyłem, kiedy wrócił do domu.

Otworzyłem drzwi prowadzące na schody, zszedłem kilka stopni i schyliłem się. Światło było zgaszone, jednak brama musiała być otwarta: zobaczyłem nogi ojca, jego głowę i ręce. Siedział pochylony na kanapie, między nogami trzymając worek; coś do niego wpychał.

— Kto to?

Znieruchomiał.

— To ja — odpowiedziałem.

— Czego chcesz?

— Usłyszałem hałas.

Wyprostował się i czubkiem buta popchnął worek po brudnej posadzce.

— Idź spać — rzucił.

X

To jest to miejsce, wodospady — ale dotarli tam inną, dłuższą ścieżką, której nie znałem.

Jesteśmy na miejscu.

Dziewczyna skarży się, że boli ją ramię; podnosi je, podtrzymując dłonią łokieć.

Możesz nim poruszać. Nic sobie nie zrobiłaś.

Może jest złamane.

Powiedziałem, że możesz nim poruszać.

Prowadzi ją do strumienia — przed nimi krótki, stromy odcinek w dół — po miękkiej ziemi i wilgotnej trawie. Snopem światła latarki omiata skały, zwalony pień, drzewa na drugim brzegu.

Byłaś tu kiedyś? pyta, ale ona dalej jęczy.

Pytałem, czy tu byłaś?

Dziewczyna potrząsa głową; opadające kąciki ust, twarz umazana łzami i ziemią.

Siądź tutaj, mówi ojciec i wskazuje jej zwalony pień. Odpocznij chwilę. Czekaj tu na mnie.

Ojciec znika za jej plecami.

Dziewczyna słyszy, jak mruczy do siebie, zagłuszany szumem strumienia, i coś przesuwa — kamienie. Nie odwraca się — jest sparaliżowana strachem. Zaciska zęby i zamyka oczy — ból promieniuje od przedramienia w stronę barków i szyi — modli się, żeby po otwarciu oczu znaleźć się gdzie indziej, u siebie w domu, na drodze prowadzącej do Ponte lub z Simoną, rysującą na kartce papieru na podłodze w salonie.

Smród własnych wymiocin przenika do jej nozdrzy.

Znowu słyszy kroki mojego ojca, który siada obok niej i błyska światłem latarki w zamknięte obronnie oczy.

Panienko? Wygodnie ci tutaj?

W te wieczory, kiedy wracał późno albo wychodził po kolacji, jeździł do zakładów, a potem do miejsca przy wodospadach.

Był przekonany, że jest śledzony, że go szukają, i czuł się pewnie blisko wody, pod osłoną skał.

Zawiózł tam wszystko, co mu się mogło przydać: baterie, brezentową płachtę, nóż, przyklepiec, puszki piwa, konserwy, widelec i ubrania na zmianę. Wepchnął te rzeczy do dwóch worków, które ukrył pod stosem kamieni, za krzewem koło zwałonego pnia.

Pozostawało czekać.

Przyjdźcie po mnie, jeśli zdołacie.

Ćwierkanie ptaka. Jakiś szmer pomiędzy drzewami. Rozgląda się, ale wie, że go nie znajdują, więc się uspokaja i pociąga łyk piwa.

Nad brzegiem zalewu — opowiedział o tym matce — czasami wrzeszczał w ciszy, żeby udowodnić, że niczego się nie boi, a jego niespodziewane krzyki poruszały gwiazdy i wiatr, liście, wodę, zwierzęta i zasmuconą, białą twarz księżycy. W takich chwilach czuł się bogiem.

Pewnego wieczoru wziął nóż i wbił jego czubek we wnętrze dłoni. Przeciął skórę, nie odczuwając bólu, a potem wyssał krew z rany. Jego myśli pędziły z obłądną szybkością, rozbłyskiwały w ciemnościach, znikwały i pojawiały się znowu — grób psa, kominy zakładów, spisek, listy, które napisał. Moja matka. Ja.

I dziewczyna, która tańczyła i zapraszała go do domu: ona go rozumiała i chciała mu powiedzieć, żeby nie czuł się samotny, a teraz siedziała ze skrzywioną buzią, z zamkniętymi oczami, z ramieniem przytulonym do piersi. Zapytał: „Panienko? Wygodnie ci?”.

Dziewczyna nie odpowiada: wstrząsa nią urywany szloch.

Jeśli jesteś spragniona, mamy picie, mówi ojciec. Bierze dwie puszki piwa i podaje jej jedną, ale ona potrząsa głową.

Dobrze, postawię ją tutaj, na ziemi. Jesteśmy bezpieczni, przestań się mazać.

Opiera latarkę o pień.

Nie przyprowadziłem tu nikogo innego, jeśli o tym myślisz. Nigdy tego nie zrobiłem, przysięgam.

Otwiera puszkę i pociąga łyk. Znowu trzęsą mu się ręce, piwo wylewa się na brodę. Wyciera usta i podnosi wzrok.

Gwiazdy przesuwają się po niebie, księżyc huśta się w ciemnościach. To ojciec jest twórcą tego wspaniałego przedstawienia. Wybuch śmiechem — dziewczyna podskakuje, odsuwając się na bok, jak gdyby chciał ją uderzyć, na co on śmieje się

jeszcze głośniej.

Co za histerie, mówi. Wracaj tutaj.

Przechyla głowę do tyłu i pije. Kiedy kończy, zgniata puszkę w pięści i odrzuca ją daleko.

Dziewczyna obmacuje sobie ramię i porusza lekko przegubem.

Widzisz? Mówiłem, że nic sobie nie zrobiłaś, zauważa ojciec.

Zapala papierosa, bierze latarkę, kieruje ją w stronę zalewu i odwraca się, aby popatrzeć na wodę.

Pali w milczeniu.

Wiem, mówi w końcu. To prawda.

Wygląda na smutnego, kiedy powtarza: wiem; potem gasi latarkę i zapada ciemność.

Dziewczyna wydaje cichy jęk i pochyla się do przodu.

Tak będzie lepiej, mówi ojciec. Nigdy nic nie wiadomo.

Bierze drugą puszkę, otwiera ją i podaje dziewczynie.

Napij się.

Nie mogę, szlocha.

Jasne, że możesz. Pomogę ci. Podnieś głowę.

Podsuwa jej puszkę i przechyla do ust.

No dalej, mówi, ona przełyka odrobinę i zaczyna kaszleć.

Powoli, nie tak gwałtownie.

Udaje jej się wypić łyk.

Bądź spokojna, mam wszystko, co nam jest potrzebne. Jeśli się zjawi, będę gotowy.

Opowiada jej o swoim nożu i wtedy dziewczyna zaczyna krzyczeć, plując kwaśną śliną, która zebrała jej się w ustach.

Ojciec przyciska dłoń do jej ust, drugą do potylicy i trzyma ją tak unieruchomioną, dopóki się nie uspokoi.

Chcesz, żeby nas usłyszał? Chcesz, żeby nas tu znalazł?

Dziewczyna jest w stanie tylko wyszeptać: Dość.

No, to nie krzycz, mówi ojciec.

Wyciąga z kieszeni coś, co wziął z furgonetki, i kładzie to na pniu.

Wiesz, nie rozumiem cię.

Wyciąga nogi i rozpina spodnie.

Właściwa chwila

Na początku sierpnia słońce było niezmiennie blade, a wiatr parzył skórę.

W opuszczonej kopalni wybuchł pożar: w jednym z baraków znaleziono dwa kanistry benzyny. Płomienie pochłonęły lasek i czerwono-białą taśmę koło skarpy.

Nurt rzeki był mętny i powolny. Przy plaży, niczym fatamorgana, wyłoniła się mała wysepka.

Biblioteka została zamknięta na przerwę wakacyjną.

Matka stała się ospała i powolna. Wchodziła do pokoju ze ścierką w ręce, rozglądała się wokół, jak gdyby szukała czegoś do wyczyszczenia, po czym odwracała się i wychodziła. Siadała przy stole, nie zwracając uwagi na brudne talerze w zlewie, dotykała włosów, przesuwając dłoń po czole.

— Mamo, co ci jest?

— To ten upał. Nie mogę go już wytrzymać — mówiła.

— Ja też.

Patrzyła na mnie i wzdychała. — Wszędzie bałagan. Wszystko jest brudne.

— Nie szkodzi.

— A właśnie, że tak.

Przestała czytać: „Nie jestem w stanie się skupić”. Po kolacji opadała na kanapę przed telewizorem; otwierała oczy i wlokła się do kuchni, gdy ojciec wracał ze swoich wycieczek, a potem szła do sypialni i od razu zapadała w sen.

Pewnego razu, wczesnym rankiem, usłyszałem, jak Ida ją pociesza: — Zobaczysz, to przejdzie.

Matka odpowiedziała: — Nie wiem, co robić.

Ta jej apatia trwała wiele dni — zamglone spojrzenie i sen, któremu się poddawała. Ale może to jej pomagało przetrwać: ciemna, milcząca przestrzeń, w którą się zapadała z nastaniem ciemności, podczas gdy ojciec się oddalał i nie mogła do niego dotrzeć.

Ja za to spałem źle. Często się budziłem, słysząc głos ojca, jego kroki w korytarzu.

W takich chwilach myślałem o Annie — od dnia, w którym poprosiła, żebym

pokazał jej wnętrze dłoni, starała się mnie unikać. Trzeba w to wierzyć, powiedziała.

W ciemnościach wyobrażałem sobie, jak zabieram ją nad rzekę, ale potem słyszałem kroki ojca i odwracałem się twarzą do ściany, zatykając dłońmi uszy.

Któregoś popołudnia poszliśmy ze Stefanem do wodospadów.

Nie skakaliśmy do zalewu — ze skał spływał tylko wąty strumyk. Długo siedzieliśmy w wodzie, żeby się ochłodzić. Uczyłem go pływać: musisz poruszać ramionami w taki sposób, a nogami w taki.

— Wiesz co? — powiedział. — Prawie cię lubię.

— Pewnie. Gdzie znajdziesz drugiego takiego kumpla jak ja?

— Powiedziałem: prawie.

Gdy się wycieraliśmy, Stefano wypatrzył trzy puste puszki po piwie, ustawione w rzędzie za drzewem.

— Ej, popatrz tutaj — podszedł do nich, wziął jedną i potrząsnął. — Przychodzi tu ktoś jeszcze — powiedział.

— Na to wygląda.

— Niech to szlag. Wolę, jak jesteśmy tu sami, tylko ty i ja.

Wydał usta i udał, że przesyła mi pocałunek.

Walnąłem go koszulką.

Zaczęliśmy się śmiać.

— Kretyn — rzuciłem.

Przemknęła mi myśl o ojcu, ale to mógł być każdy.

Pewnego wieczoru ojciec wrócił do domu w mokrych spodniach. W tym czasie jeszcze pracował. Wszedł do salonu wpatrzony w swoje dłonie. Matka powiedziała tylko: — Idź się przebrać.

Odwrócił się i zniknął za drzwiami.

Spytałem: — Gdzie on był?

— Nie mam pojęcia.

— Widziałaś jego spodnie?

Położyła głowę na poręczy kanapy, skuliła się i wskazała na ekran: — O czym jest ten film? Jeszcze się nie połąpałam.

— Spałaś.

— Naprawdę?

— Tak.

— To chyba pójdę do łóżka.

Wsunęła nogi w pantofle i poszła umyć zęby.

Tej nocy ojciec otworzył drzwi mojego pokoju, pochylił się nade mną i dotknął mojego ramienia.

— Wstawaj — powiedział półgłosem.

Leżałem bez ruchu z zamkniętymi oczami.

— Powiedziałem: wstawaj.

— Co się dzieje, tato?

Wyszeptał: — Musisz ze mną pójść.

Zerwał prześcieradło, chwycił mnie za przegub, pociągnął do kuchni, a potem na dwór. Próbowałem protestować, ale potrząsnął mną mocno.

— Bądź cicho i ruszaj się.

Przeszliśmy przez trawnik w stronę lasu. Niebo rozświetlała słaba poświata. Ojciec oddychał przez usta. Coś do siebie mruczał. W pewnej chwili zatrzymał się, klasnął dwa czy trzy razy językiem, jak gdyby dawał komuś sygnał, po czym wybelkotał: — A teraz rozejrzyj się dookoła. Kto zrobił to wszystko?

Wyobraziłem sobie dom za swoimi plecami, pograżony w ciemnościach, matkę śpiącą w sypialni. Pustą szosę. Dom Idy.

— Kto zrobił co?

Próbowałem się wyrwać, ale potrząsnął mną jeszcze mocniej.

— Odpowiedz. Kto to zrobił?

— Robisz mi krzywdę.

Próbowałem się nie rozplakać. *Ani się waż, nie jesteś dzieckiem.*

— Odpowiedz na pytanie.

— Tato, nie rozumiem, o co ci chodzi.

Przysunął się jeszcze bliżej, jego oddech był gorący i kwaśny, popatrzył mi prosto w oczy: — Twój ojciec zna prawdę. — Potem musnął wargami moje czoło. — Idziemy. Mamy przed sobą długą drogę.

Wtedy usłyszałem trzaśnięcie drzwi i się odwróciłem — w domu paliło się światło, obok samochodu ujrzałem matkę w białej piżamie.

— Ettore? — zawołała.

Ojciec mnie puścił, a ona zaczęła biec.

— O, mój Boże — wydyszała, kiedy się do nas zbliżyła. — Co wy tu robicie?

Przebiegła wzrokiem po ścianie lasu — ojciec patrzył w tamtym kierunku — i uwierzyła, albo chciała w to wierzyć, że coś zobaczył czy usłyszał i wyszedł z domu, żeby sprawdzić, biorąc mnie ze sobą.

— Co się stało?

Wtedy zacząłem płakać. Spuściłem głowę, moimi ramionami wstrząsnął szloch, zacisnąłem pięści. Chciałem powiedzieć: „To był on”, ale *on* był moim ojcem.

Popatrzyła na mnie, po czym zwróciła się do ojca: — Mogę wiedzieć, dlaczego jesteście na zewnątrz?

Jej głos był już spokojniejszy.

— Chciałem go nauczyć kilku rzeczy.

— O tej porze?

— To właściwa chwila.

Matka nie odpowiedziała. Jej włosy falowały na wietrze.

Wzięła mnie za rękę.

— My dwoje wracamy do łóżka.

Dopiero później przyznała się, że zbudziła się tej nocy przerażona, oddychając ciężko, i pomyślała: „Zostałam sama”, a potem: „Gdzie jest Elia?”. Weszła do mojego pokoju i zobaczyła, że jest pusty.

— Mamy jeszcze trochę czasu do rana — odgarnęła mi włosy z czoła. — Spróbuj się przespać.

Przestałem płakać, ale cały się trząsnęm.

— Mamo?

— Tak?

Otworzyłem usta, ale nie wyszło z nich żadne słowo, tak jakby ojciec zaciągnął mnie w głąb lasu i zostawił tam samego, zagubionego w gąszczu.

— Musisz starać się go zrozumieć — nalegała matka. — Musisz spróbować. Niektóre osoby przeżywają świat inaczej niż wszyscy. Taki jest twój ojciec.

Otuliła mnie prześcieradłem.

— Strata pracy była dla niego wielkim ciosem.

— Znalazł nową.

— Może mu to nie wystarczy. Może nawet nie o to chodzi.

— Przestraszył mnie.

— Nigdy by cię nie skrzywdził. Nigdy, w żadnych okolicznościach.

Powiedziała mi: dobranoc, a potem zatrzymała się na chwilę na progu. Sądziłem, że chce coś dodać, ale ostatecznie zamknęła drzwi i odeszła. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że o nic mnie nie zapytała, nie chciała się dowiedzieć, co się stało: *Co ci mówił? Dokąd chciał pójść?*

Zaraz potem usłyszałem ich głosy na podwórzu.

Ojciec wybuchnął śmiechem.

Matka powiedziała: — To nie jest śmieszne.

A jednak ona też zaczęła się śmiać, jak gdyby to była ostatnia okazja — oboje jeszcze nie śpią i są razem — a ja pomyślałem, że reszta się dla niej nie liczy; nie zdawałem sobie sprawy z tego, co zrobiła, nie wydało mi się to wystarczające.

Pamiętam, że spałem niespokojnie — hałasy, ćwierkanie ptaków, dzwoniący telefon.

Kiedy się zbudziłem, było już późno. Matka krzątała się po kuchni w piżamie.

— Gdzie on jest? — spytałem.

Zmarszczyła czoło, jak gdyby nie zrozumiała pytania.

— Tata.

— Aha. Pojechał do pracy. Jak się czujesz?

— Boli mnie głowa.

— Zjedz coś. Zobaczysz, że poczujesz się lepiej.

Miała zapuchnięte oczy, pod oczami wielkie szare wory.

— Wcześniej ktoś dzwonił — powiedziała — ale się nie odezwał.

Pomyślałem o Annie.

Matka podeszła do okna i wychyliła się na zewnątrz. Potem się odwróciła i skrzyżowała ramiona: — Posłuchaj, może dzisiaj wieczorem poszedłbyś się przespać do jakiegoś kolegi? To chyba dobry pomysł?

Uśmiechnęła się. Swoje uczucia zachowała dla siebie.

— Okej — odpowiedziałem.

Wiedziałem, dokąd chcę pójść.

To właśnie wtedy zrobiła: zabrała mnie w bezpieczne miejsce i czuwała nade mną do rana, kiedy mój ojciec — mężczyzna, którego nigdy nie przestała kochać — wyszedł z domu. Potem odesłała mnie, gdy podnosiły się niewidzialne płomienie, gdy nasz dom obracał się w ruinę.

Zostali sami.

Nie wiem, co wydarzyło się między nimi tej nocy. Nie wiem, co sobie powiedzieli.
Zawsze odmawiała rozmowy na ten temat.

XI

Patrzy na niego, gdy rozpina spodnie — nie chce w to uwierzyć — zdejmuje buty, skarpetki, wstaje i się rozbiera; zostaje tylko w majtkach.

Widzi, jak jego cień idzie w stronę wody, pochyła się i zanurza w niej dłonie, obmywa twarz i klatkę piersiową.

Co ci się stało? pyta ojciec. Już mi nie ufasz? Co jest, rozmawiali z tobą? Coś ci nagadali?

Ból promieniuje do nadgarstka. Dziewczyna ma wyschnięte usta, nogi lodowate i sztywne. Przymyka oczy i ojciec znika w ciemności.

Wsiadłaś do samochodu specjalnie? Byłaś w zmowie z tym typem?

Ona naciska językiem zęby, porusza nim między policzkami, mówi: — To ty mi zaproponowałeś, że mnie podwieziesz, bydlaku.

On potrząsa głową.

Powiedziałem, że nie wolno ci używać tego słowa. Gdybym był tobą, słuchałbym, co do mnie mówią.

Polewa wodą włosy, zaczesuje do tyłu.

Tamtego razu, kiedy tańczyłaś i dałaś mi znak, żebym przyszedł, czy oni także byli w domu?

O czym ty mówisz?

W ustach czuje słodkawy smak, smak krwi: ugryzła się w wargę.

On podchodzi powoli i zatrzymuje się przed nią, półnagi, masywny, przerażający.

Dlaczego to zrobiłaś? pyta.

Bełkocze i miesza słowa. Wali się pięścią po nodze.

Jak mam się teraz czuć, powiedz mi?

Wypuść mnie, mówi dziewczyna. Przysięgam, że nikomu nie powiem.

Nie.

Przysięgam.

Przestań, nic nie rozumiesz. Nic o mnie nie wiesz. Wydawało mi się, że tak, ale to nieprawda. Nikt nie może zrozumieć, jak się czuję.

Ja rozumiem.

Ojciec zaczyna się śmiać.

Pieprzona kłamczucha. Wobec tego mogę tylko czekać.

Proszę cię.

To bezcelowe.

Pochyla się nad pniem, podnosi przedmiot, który wyjął z kieszeni.

Odwróć się, mówi do dziewczyny.

Żelazny drut: wziął go z garażu, zwinął w kłębek i schował w furgonetce.

Mogą mnie znaleźć.

Może będę musiał go użyć.

Dziewczyna podrywa się i biegnie w stronę ścieżki, krzycząc i potykając się jak ślepa. Ojciec dogania ją od razu — z żelaznym drutem w ręce — i wlecze z powrotem, choć ona kopie i szarpie się rozpaczliwie.

Siadaj.

Popycha ją na pień, a potem rozplątuje kłębek, wykręca jej ramiona za plecami i okręca przeguby drutem. Nie jest mu łatwo, bo dziewczyna się wyrywa.

Nie chcę mocno ścisnąć, mówi. Tylko trochę.

Ona krzyczy: jesteś szalony! O, Boże, proszę cię. Co ty chcesz mi zrobić?

Ojciec nieruchomieje na chwilę.

Właśnie to ci powiedzieli. A ty im pewnie wierzysz.

Ty skurwysynu! krzyczy dziewczyna, później jej głos tłumy niepowstrzymany płacz.

Ojciec odchodzi do miejsca, w którym ukrył swoje rzeczy, wyciąga z worka nóż, przygląda się szerokiemu, błyszczącemu ostrzu, kładzie go na pniu, bierze rolkę przylepca i odrywa kawałek. Po cichu zachodzi dziewczynę od tyłu, chwytając ją za włosy i zalepia jej usta.

Kochałem cię, mówi, słysząc stłumiony bełkot dziewczyny; potem idzie w kierunku zalewu, a ona zostaje na pniu, niema, przerażona. Smak krwi. Smród wymiocin. Łzy.

Wali się pięściami po twarzy — szybkie, mocne uderzenia — warczy jak pies, co zostało z mojego ojca? Czy to jeszcze jest on?

Co mam teraz, kurwa, zrobić?

Kiedy się uspokaja, uderzenia stają się słabsze, wreszcie traci siły, ręce opadają

wzdłuż boków.

Spogląda w niebo.

Powiedz mi.

Zdejmuje majtki i zanurza stopy w wodzie.

Szczęśliwe życie

Matka spytała, do kogo pójdę spać. Rzuciłem jakieś imię na chybił trafił. Nie skomentowała tego, ale podejrzewam, że się domyśliła. Być może nie miało to dla niej wtedy znaczenia: każde miejsce było dobre.

Wrzuciłem do torby piżamę i szczoteczkę do zębów.

Odprowadziła mnie na ganek.

— Baw się dobrze — powiedziała.

Mój dom stawał się coraz mniejszy, coraz bardziej odległy, nieosiągalny, gdy siedząc w głębi autobusu, wydłubywałem z siedzenia kawałeczki obicia.

Anna była w ogrodzie — włosy schowane pod błękitną chustką, gumowe rękawice i wiadro. Wylewała na trawnik brudną wodę.

— Cześć — powiedziała z wahaniem i zmarszczyła czoło. — Co się stało?

Podszedłem i pokazałem torbę. — Mogę się dzisiaj u was przespać?

Zastanawiała się chwilę. — Możesz zostać, ile chcesz. — Postawiła wiadro na ziemi, zdjęła rękawice i popatrzyła na niebo: — Nie da się oddychać, prawda?

Wysunęliśmy łóżko, wrzuciła do prania brudną pościel i dała mi czyste prześcieradło i poszewkę.

— Prześpię się na kanapie — powiedziała.

Obok kuchni był pokój, zawsze zamknięty, z zatrzaśniętymi okiennicami, stały w nim ciemne, zakurzone meble i mały zepsuty telewizor.

— Ja tam mogę spać.

— Nie ma mowy.

Zjedliśmy coś, a potem Stefano, który do tej pory o nic nie zapytał, rzucił: — Chodźmy się przejść.

Doszliśmy do placu zabaw i usiedliśmy na ławce przy huśtawkach, żeby zapalić. Zrobiło się mniej duszno; zobaczyliśmy, że na niebie gromadzą się puszyste chmury. Bzyczały owady. Zapadał zmierzch.

— Wyrzucili cię z domu?

Wyobraziłem sobie dziecko z nogami wystawionymi do przodu, z rękami

zaciśniętymi na łańcuchach huśtawki — patrzyło na mnie.

Stefano trącił mnie łokciem, zaciągając się papierosem.

— Hej, słuchasz mnie?

— Nie jestem głuchy.

— No więc jak?

Odetchnąłem głęboko, a potem opowiedziałem mu o swoim ojcu — o ostatniej nocy, o tym, jak wywłókł mnie z domu, o tym, co do mnie mówił. „Twój ojciec zna prawdę”.

— Od kiedy stracił pracę, dziwnie się zachowuje.

Opowiedziałem mu o listach, o bezsenności, o oknach furgonetki, o pociętych gazetach.

— Pewnego dnia powiedział, że jest bogiem.

— O, kurwa.

— No właśnie.

— A może to prawda — zachichotał i zaczął obgryzać paznokiec.

— To nie jest śmieszne.

— Okej.

— Nie ma się z czego śmiać.

— Wiem. Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?

— Jeśli nie mówi się o pewnych rzeczach, wydają się mniej rzeczywiste.

Stefano przytaknął: — Ale w sumie to niczego nie zmienia — dodał. — Nawet jeśli o nich nie mówisz, i tak się dzieją.

Słyszałem szum rzeki płynącej za naszymi plecami, czułem zapach wody, niesiony przez wiatr.

— A wcześniej? Jaki był wcześniej? — zapytał i w tej samej chwili mój ojciec, olbrzymi, wyłonił się z ciemności: ujrzałem, jak przechodzi przez plac zabaw, a potem znika.

— Rozśmieszał nas. Czasami złościł się bez powodu albo milczał, a ja nie rozumiałem, dlaczego, ale umiał nas rozśmieszyć.

W ciemnościach rozbłysły światła samochodu.

— Czemu go nie wysłałeś do diabła?

— Nie wiem.

— Niezły pasztet, Tex — powiedział. Zgaślił papierosa, wstał, wsadził ręce do kieszeni i kopnął ławkę.

— Co ci jest?

— Wczoraj do niego dzwoniłem — wyznał.

Jego ojciec i mój, jak gdyby byli ze sobą związani. Tak jakbyśmy my byli już ze sobą związani. Od jakiegoś czasu nie wspominał o ojcu, a ja nie pytałem.

— I co ci powiedział?

— Że lepiej będzie, jeśli na razie zostaniemy tutaj. Gdy tylko będzie mógł, prześle nam trochę pieniędzy. Mówi, że poznał jakiegoś gościa, który przyrzekł, że znajdzie mu pracę.

— Jaką?

— Przeprowadzki. Śmieszne, co nie?

Kopnął jeszcze raz ławkę.

— Przyjedzie chociaż cię odwiedzić?

— To wszystko zwykłe pierdolenie — rzucił.

Podszedł do huśtawki i wdrapał się na nią. Kiedy był na szczycie, uderzył się pięściami w piersi i podniósł ramiona do góry.

— Jestem bogiem! — wrzasnął, a mnie zachciało się śmiać.

Zbudziłem się o świcie.

Z początku nie mogłem się zorientować, gdzie jestem. Potem się odwróciłem i zobaczyłem Stefana, śpiącego z ramieniem na czole.

Pomyślałem, że jestem bezpieczny. Pomyślałem o Annie, śpiącej na kanapie.

Wiatr uderzał o mury; słuchałem go przez chwilę, a potem wstałem, otworzyłem po cichu drzwi, zamknąłem je za sobą i poszedłem do łazienki, w której były otwarte okiennice.

Niebo rozjaśniało się już pierwszym światłem poranka.

Wysikałem się, patrząc na kawałek mydła na krawędzi wanny, pociągnąłem spłuczkę, napiłem się wody z kranu i wróciłem na korytarz.

Wtedy ją usłyszałem: nuciła pod nosem. Była w kuchni — przez szparę w drzwiach wpadał wąski pas światła; zatrzymałem się jak wryty — serce mi waliło — zanim zdecydowałem się wejść.

Siedziała z łokciami opartymi na stole; odwróciła głowę i spojrzała w moją stronę, jak gdyby na mnie czekała.

— Już wstałeś? — spytała.

— No tak.

— Ja też nie mogłam spać.

— To z mojej winy? Za bardzo hałasowałam?

Potrząsnęła głową z uśmiechem. Miała na sobie nocną koszulę w kwiaty, długą do ziemi. Pod światło kwiaty wyglądały jak prawdziwe, mógłbym ich zebrać całe bukiety.

— Zrobiłam kawę. Chcesz trochę?

— Tak, poproszę.

— Jak łóżko?

— Wygodne.

— Na kanapie też się dobrze śpi — oświadczyła.

Wlała kawę do filiżanki, wzięła paczkę cukru i łyżeczkę i położyła je na stole.

— Jesteś głodny?

— Nie.

Usiadła obok mnie. Uśmiechnęła się, przyglądając się, jak piję kawę. — Nie chcę wiedzieć, co się stało — powiedziała.

— Okej.

— Ale kiedyś to minie, Elia. To nie jest tylko takie powiedzenie. Tak naprawdę jest.

— Jak?

— Że czasem czujemy się zagubieni.

Wbiła wzrok w sufit, prz gryzając wargi. Miała wilgotne oczy. — Chcesz posłuchać historii?

— Tak.

— No cóż, kiedy moja matka zmarła, ojciec do mnie zadzwonił. Chciał, żebym przyjechała na pogrzeb. Dałam mu swój numer dwa miesiące wcześniej, kiedy zatelefonowałam, żeby mu powiedzieć, że jest mi przykro, że czuję się zagubiona, czuję się... sama nie wiem. Znużona. Nawet nie wiedzieli, że mam syna, uwierzysz?

Wzruszyłam ramionami.

— Nie wiem, dlaczego to zrobiłam, to znaczy, dlaczego uciekłam. Kto wie, za kogo się uważałam. Wiesz, czym on się zajmował?

— Nie.

— Był komiwojażerem. Sprzedawał encyklopedie. W ten sposób go poznałam. Zjawił się tutaj, wyjechał, ale po kilku dniach wrócił i zabrał mnie na wycieczkę. Mówił: „Jesteś wyjątkowa, zasługujesz na coś lepszego”. Takie tam gadki. Mieszkał

sam. Pojechałam do niego. Potem miał inne kobiety. Pewnie wszystkie były wyjątkowe. Stracił tamtą pracę, a później następne. W pewnej chwili nie mogłam już tego znieść. A kiedy mój ojciec zadzwonił, po tym jak matka... nie miałam odwagi przyjechać. To się wydawało takie absurdalne. Nie umiem sobie tego wybaczyć. Ale teraz jestem tutaj. Najważniejsze, że ojciec pozwolił nam zostać.

Wzięła moją lewą dłoń i obróciła wnętrzem do góry.

— Pamiętasz, co ci powiedziałam? Że masz długą linię życia? Popatrz, będziesz szczęśliwy.

— Gdzie to widzisz?

— Uwierz mi — zapewniła.

— A ty?

Wykrzywiła wargi i puściła moją rękę. Podeszła do drzwi, otworzyła je i zapatrzyła się w słabe światło świtu.

— Twoja matka wie, że u nas śpisz?

— Nie.

— No tak. Dzisiaj znowu będzie gorąco.

Zamknęła drzwi i oparła się o nie. Wtedy zadałem jej pytanie, które dręczyło mnie od jakiegoś czasu.

— Podobał ci się mój ojciec?

— Dlaczego pytasz?

— Tak sobie.

— Twój ojciec był inny niż wszyscy. Czasami taki smutny, że miałam ochotę go przytulić. Kiedy indziej nie przestawał się śmiać i gadać. Byliśmy przyjaciółmi. Jestem pewna, że twoją matkę to irytowało.

— Nie obchodzi mnie, co ona myśli. — Wstałem i ruszyłem w stronę drzwi.

Powiedziała: — Zatrzymaj się — słabym głosem, nie patrząc mi w oczy.

Chwyciłem ją za biodra — czułem pod palcami wąskie kości miednicy — i przyciągnąłem do siebie. Chciała się odsunąć, zapała się nogami, ale przytrzymałem ją stanowczo i przytuliłem, jak gdybyśmy znajdowali się w miejscu, do którego nikt nie ma dostępu, zarezerwowanym wyłącznie dla nas.

— Nie — powiedziała.

— Dlaczego?

— Bo to niemożliwe.

Trzymałem ją jakiś czas w objęciach — zapach snu — pchnąłem na drzwi

i przylgnąłem do niej całym ciałem. Stała nieruchomo, oddychając przez usta, jęknęła i zamknęła oczy, a ja się pochyliłem i ją pocałowałem, wsuwając język między jej zęby. Musnęła go, ale po chwili zeszywniała, potrząsnęła głową i powiedziała: — Przestań. — Wyrwała się z moich objęć i wyszła do ogrodu, a kwiaty na jej koszuli nocnej kołysały się w brzasku słońca.

Kiedy na miękkich nogach wróciłem do pokoju, kręciło mi się w głowie, jakbym był kilkoma osobami naraz. Stefano rozkopał prześcieradło i zamruczał coś przez sen.

Wiem, że nie powinienem, ale nic na to nie poradzę.

Położyłem się na łóżku — zacisnąłem zęby, gdy zaskrzypiały sprężyny — a potem leżałem nieruchomo, czekając, aż ustąpi erekcja, słuchając regularnego oddechu Stefana i ćwierkania porannych ptaków, patrząc na cienie na suficie i myśląc o niej, siedzącej gdzieś na dworze, podczas gdy powoli wstawał dzień.

XII

Zanurza się w wodzie, dociera do najgłębszego miejsca i nieruchomieje — w taki sposób jeszcze dzisiaj pojawia się w moich snach.

Nabiera trochę wody w zagłębienie dłoni; nagle ślizga się na grząskim gruncie — dyszy — ale udaje mu się odzyskać równowagę. Składa dłonie w kielich, napęnia je wodą, wyciąga przed siebie ręce i podnosi wzrok.

Czyjeś kroki. Na ścieżce pojawia się mężczyzna.

Miałem nadzieję, że przyjdiesz, mówi ojciec. W końcu cię widzę.

Ja także wreszcie cię widzę.

Ojciec mówi: tak, przyszedłem, po czym zamyka oczy i polewa sobie wodą czoło, jak na chrzcie.

Czekałeś? pyta mężczyzna.

Ojciec przytakuje.

No cóż, zjawiłem się przed tobą. Myślałeś, że w tym samochodzie to jestem ja? Że jadę za tobą?

Ojciec potrząsa głową.

No więc kto to był?

Co to, kurwa, za pytanie?

Mężczyzna podnosi palec do ust, ogląda się za siebie i pyta: Jesteś pewien? Zastanów się. Kto to był? A ja kim jestem?

Pierwszy raz spotkał go, kiedy był jeszcze chłopcem, kiedy kopał dół w lasku za domem — wtedy tamten stał w milczeniu obok niego. Kilka lat później poszli z Anną Trabuio do wodospadów, mój ojciec skoczył do wody i skulił się w głębi zalewu, światło na powierzchni stawało się coraz odleglejsze, a mężczyzna był obok niego, razem wstrzymywali oddech.

Anna złapała go pod pachy i z trudem wyciągnęła na powierzchnię. Pytała, co mu strzeliło do głowy, czy chciał się zabić.

Kiedy ojca zwolnili z pracy, pewnego popołudnia mężczyzna wsiadł do furgonetki przed przędzalnią i razem czekali, aż koledzy ojca wyjdą z zakładów.

Razem stali na śniegu i patrzyli na tańczącą dziewczynę; mężczyzna znajdował się za plecami ojca, kiedy on pisał listy w kuchni, na blacie w garażu i w tylnej części

furgonetki.

Pewnego razu usiadł koło niego na zwalonym pniu i podał mu nóż, a ojciec wbił go sobie w dłoń.

To był sekret, obecność, w którą czasem wątpił i która opuszczała go w te dni, kiedy był zupełnie załamany, uważał się za przegranego frajera i siedział godzinami na ganku albo rzucał się na łóżko.

Teraz jednak mężczyzna się zjawiał. Nic więcej nie miało znaczenia.

Mężczyzna robi krok do przodu i staje w księżycowej poświacie.

No co? Nie odpowiesz mi?

Ojciec patrzy na niego i przez moment wydaje mu się, że jest do niego podobny. Przeraża go to. Przeciera oczy.

Kto to był? Powiedz mi.

Przecież wiesz, odpowiada.

Naprawdę go widziałeś?

Światła samochodu jadącego w ciemnościach za furgonetką. Twarz tego faceta za przednią szybą.

Bzdury, mówi.

Dajmy temu spokój. Jak uważasz.

Ojciec pyta go: Co mam teraz zrobić?

Mężczyzna podnosi jakąś gałąź i uderza się nią po kolanie. Czy nie tego chciałeś? odpowiada.

Myślałem, że się zgadzasz.

Nie wydaje mi się, żebym tego od ciebie żądał. O nic cię nie prosiłem. Nigdy nikogo o nic nie proszę. To nie działa w ten sposób. Zawsze robicie to, co chcecie.

Ojciec szczęka zębami, przyciska ręce do piersi, rozciera ramiona.

Pomóż mi, mówi do mężczyzny.

Wyjdź stamtąd.

Dobrze. A co potem?

Mężczyzna odwraca się i wskazuje gałęzią dziewczynę — w każdym razie ojciec odnosi takie wrażenie.

Bolące nadgarstki, żelazny drut wpijający się w ciało. Pot i łzy, których nie może osuszyć. Oddychanie sprawia jej trudność. Przylepiec pali wargi.

Uspokój się, mówi do siebie. Oddychaj.

Cokolwiek to jest, powinno się wydarzyć szybciej, ale czas jest czarną dziurą, w którą wpadła.

Jedyna rzecz, o jakiej jest w stanie myśleć, to światło dostrzeżone między drzewami, ostatni dom, obok którego przejechali, i szczekanie psa.

Trze o siebie przeguby, ale to daremny wysiłek.

Patrzy na niego, gdy nabiera wody i leje ją sobie na czoło. Słyszy, jak coś bełkocze, jak gdyby z kimś rozmawiał. Pociera ramiona, odwraca się w stronę brzegu i wychodzi z wody.

Woda jest zimna, mówi, dobrze zrobiłaś, że zostałaś tutaj.

Siada blisko niej i dziewczyna się spręża, podejmuje kolejną próbę uwolnienia rąk.

Dlaczego tak się wierzisz? pyta. Nie możesz siedzieć spokojnie?

Niech się ubierze, modli się w myślach dziewczyna. *Niech mnie wypuści.*

Ojciec mówi: popatrz na mnie, wodząc palcami po jej włosach i policzku delikatnym gestem, który wydaje się prawie pieszczotą.

Powiedziałem: popatrz na mnie. Proszę.

Sine stopy. Rozkraczone nogi. Penis. Wzdęty brzuch.

Rozpoznasz mnie? Czy to nie jestem ja?

Bierze latarkę i zapala ją.

Odwróć się w drugą stronę, mówi, i oświetla ścieżkę.

Hej, woła mężczyznę, ale jego głos rozbrzmiewa w ciszy. Pewnie gdzieś się ukrył, myśli.

Dziewczyna kuli się i przyciska piersi do kolan.

Hej, słyszysz mnie?

Mężczyzna odszedł. Ojciec gasi latarkę, upuszcza ją na ziemię i skrywa twarz w dłoniach. Wyobraża sobie, jak mężczyzna przemierza ścieżkę, mija jego furgonetkę i wraca na drogę do Ponte. Światła samochodu gasną w jego umyśle.

Posłuchaj, muszę ci o czymś opowiedzieć, mówi.

Przez chwilę zbiera myśli.

Nie wiem, czy rzeczywiście ktoś za nami jechał, taka jest prawda. Tak mi się wydaje, ale być może wszystko jest w mojej głowie.

Uderza się dłonią w czoło i w tej samej chwili dziewczyna szepcze: tak było.

Ojciec nieruchomieje.

Co powiedziałaś?

To prawda, tam ktoś był.

Patrzy na nią: jesteś w stanie mówić? Jakim cudem?

Wystarczy chcieć.

Nie odrywa oczu od jej ust, od przylepca. Zastanawia się, czy dziewczyna go nie nabiera, bo przecież to niemożliwe, ale potem przychodzi mu do głowy pytanie.

Widziałaś, z kim rozmawiam?

Wszystko widziałam.

Mówisz tak, bo się boisz.

Wcześniej się bałam. Teraz już nie, odpowiada dziewczyna.

Cieszę się.

Podaje jej papierosa, ale dziewczyna odwraca się lekko i pokazuje nadgarstki.

Zapomniałem. Przepraszam.

Ojciec zapala papierosa.

Naprawdę chciałaś, żebym wszedł tamtego wieczoru?

Ona przytakuje. Wtedy ojciec otwiera ramiona, wskazuje na drzewa, strumień i niebo: twoim zdaniem kto to wszystko stworzył? pyta, a potem wskazuje na siebie.

To byłeś ty. Wszystko istnieje dzięki tobie.

Ojciec zdejmuje jej buty, bierze swoje spodnie i koszulę i kładzie je obok pnia. Myśli o nożu. O wyczekiwaniu przed zakładami. O listach, które napisał.

Czuję się zmęczony, mówi.

Ja też.

Oboje teraz stoją i drżą. Ojciec wskazuje zaimprovizowane posłanie.

Przykro mi, nie jest wygodne. I nie mogę cię rozwiązać.

Nie szkodzi, odpowiada dziewczyna.

Niedziela

W następnych dniach Anna znowu mnie unikała. Kiedy się mijaliśmy, pytała tylko: „Jak się masz?”, nie patrząc mi w oczy. Zawsze miała coś do zrobienia.

Któregoś popołudnia poszliśmy ze Stefanem na plażę — siedzieliśmy naprzeciwko wysepki w grupie chłopaków, którzy mieli radio i jakiś podwieczorek. Wymieniliśmy się papierosami i jedzeniem. Wykąpaliśmy się; Stefano namierzył jakąś dziewczynę i zaczął ją ochlapywać, bardzo się śmiała. Wyszli z wody, oddalili się trochę, coś jej szeptał do ucha.

Kiedy suszyliśmy się na słońcu, zapytał: — Jak tam w domu?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

Klepnął mnie po ramieniu. — To wszystko pierdoły, mówiłem ci.

Rzadko już rozmawiał ze swoim ojcem i nie kłócił się tak często z matką — najwyżej ją ignorował — ale czymś, czego zupełnie się nie spodziewał, a co zdarzyło się przed Ferragosto¹, gdy stacja benzynowa została zamknięta na przerwę wakacyjną, było to, że dziadek poprosił go o pomoc.

— W czym? — spytałem.

— W robieniu różnych rzeczy.

— Jakich?

Na przykład w odświeżeniu sypialni.

— Mógłbym ją mieć tylko dla siebie — wyjaśnił. — Matka przeniesie się do salonu, to będzie jej pokój. Dziadek chce pomalować wszystko na biało i przyłączyć znowu linię telefoniczną. Nie jest taki zły.

— Wobec tego zostajesz tutaj?

— Przynajmniej na trochę.

— A co ze szkołą?

Zagarnął włosy na czoło i popatrzył na ich końcówki. — Nie wracam do szkoły, Tex. Nie jestem taki, jak ty.

Pomyślałem o pieniądzach, broszce i całej reszcie, o żetonach w kieszeniach i badawczym spojrzeniu Santa Trabuio wbitym we wnuka — ale może Stefano przestał kraść, bo nie widziałem u niego nowych fantów, a może po prostu już mi ich nie pokazywał.

Zajął im to cały tydzień: zerwali tapetę i Santo nauczył wnuka, jak używać wałka malarskiego. Stefano słuchał uważnie wszystkiego, co mówił: nagle jego dziadek stał się bardziej przystępny i chociaż dziwnie się czuł, pracując u jego boku, nie było to nieprzyjemne.

W czasie gdy byli zajęci remontem, spędzałem więcej czasu w domu. Zamykałem się w pokoju, udając, że odrabiam zadania szkolne, które mieliśmy zrobić w wakacje, ale w rzeczywistości myślałem o Annie — tęskniłem za nią. Słuchałem muzyki, czytałem komiksy. Znużony morderczym upałem, zapadałem w drzemkę bez snów i budziłem się przekonany, że zastanę Annę na łóżku obok mnie.

Matka była spokojna, przynajmniej takie robiła wrażenie, i stale czymś zajęta: opróżniła szafy i odkurzyła półki, wyszorowała całą kuchnię, wyprała zasłony, wyczyściła fugi w łazience i ciemny osad na emalii wanny. Przed kolacją często wpadała na pogawędkę do Idy. Wieczorem oglądała telewizję.

Jednak pewnego wieczoru ujrzałem, jak wracając, zatrzymuje się na podjeździe w połowie drogi i wpatruje w nasz dom, jak gdyby go nie rozpoznawała.

Byłem akurat na ganku, wkładałem buty.

Ruszyła dalej i kiedy weszła, miała błyszczące, nieobecne oczy.

Pewnej niedzieli, kiedy wiatr chłostał gałęzie drzew, ojciec nie wyszedł z domu. Zaniósł coś do furgonetki, długo spacerował po podwórzu ze spuszczoną głową, jak gdyby nad czymś medytował, po czym wszedł do środka i siedliśmy do stołu.

Popatrzył na matkę i uśmiechnął się.

— Co jest? — zapytała.

— Nic.

— O czym myślisz?

Odwrócił się, spojrział na trawnik za oknem, położył widelec na talerzu i powiedział: — Trawa za bardzo wybujala. Muszę ją dzisiaj skosić.

Po południu wiatr się uspokoił. Rozprażone do białości niebo, monotony warkot kosiarki.

Ojciec tylko w krótkich spodenkach, w ciemnych skarpetkach i butach roboczych, nieogolony. Matka zaniósła mu butelkę wody. Przerwał pracę. Powiedział coś do niej i pocałowali się.

Skończył po dwóch godzinach.

Siedziałem przy biurku, kiedy ojciec otworzył drzwi.

— Pomóż mi — powiedział.

Poszedłem za nim, nie protestując, chociaż miałem na to ochotę, i ujrzałem dwoje grabi opartych o ścianę domu.

— Weź jedno — rzucił.

Zaczęliśmy grabić. Słyszałem jego westchnienia, stęknienia bardzo zmęczonego człowieka. Myślałem o nocy, kiedy wywlókł mnie na dwór, o jego pytaniach, o matce biegnącej, aby mnie zabrać z powrotem do domu, i o tym, jak dzięki temu o świcie znalazłem się razem z Anną w kuchni Trabuiów.

Rzeczy splatają się w życiu w nieoczekiwany sposób — wtedy nie była to jasna i świadoma myśl, tylko dwa wspomnienia nakładające się na siebie i tworzące zamglony obraz. Miałem ochotę pobiec do miasteczka, ale zamiast tego otarłem pot z czoła i grabiłem dalej.

Kiedy skończyliśmy, ojciec wyciągnął z paczki papierosa, zapalił go i przycisnął do boku trzonek grabi.

— Przynajmniej przez jakiś czas nie będziesz musiał tego robić.

— Ty też nie.

— No właśnie. Ja też nie.

Popatrzył na mnie, zaciskając usta i marszcząc czoło.

— Mogę odejść? — spytałem; czułem się nieswojo.

Odwrócił się w stronę lasu i wtedy się oddaliłem.

To była ostatnia rzecz, jaką zrobiłem wspólnie z ojcem.

¹ Włoskie święto obchodzone 15 sierpnia (w kalendarzu katolickim Święto Wniebowzięcia Matki Boskiej), tradycyjnie czas wyjazdu na wakacje.

XIII

To była długa podróż, ale wreszcie dotarłeś do celu.

Zatrzymujesz furgonetkę na szosie, wysiadasz i opierasz się o maskę. W domu świecą się światła: wpatrujesz się w nie przez chwilę. Chciałbyś odpocząć.

Przesuwasz palcami po mokrych włosach, zapinasz koszulę. Ręce są brudne, buty ubłocone.

Co ja zrobiłem? zastanawiasz się.

Co sobie pomyślą, co im powiesz?

Podnosisz wzrok i widzisz swoją żonę przy oknie w kuchni: przykłada dłonie do szyby i opiera o nią czoło, jak gdyby usłyszała jakiś hałas. Potem widzisz obok niej swojego syna, machasz im ręką na powitanie, ale cię nie zauważają, nie mogą wiedzieć, że tu stoisz.

Oddychasz głęboko. Patrzysz na nieruchome gwiazdy, na sierp księżyca.

Idziesz podjazdem, wchodzisz po schodkach — zostawili drzwi otwarte, czekali na ciebie. Zatrzymujesz się w progu, chcesz zdjąć buty; w tej samej chwili słyszysz kroki i widzisz siebie idącego korytarzem, spokojnego i uśmiechniętego.

Kochanie, mówi żona. Gdzie się podziewałeś?

Byłem w garażu. Nie zauważyłem, że jest już tak późno.

Siadacie do stołu, jecie kolację. Wieczór jak każdy inny. Rodzina jak wszystkie inne.

Otwierasz usta i próbujesz coś powiedzieć, ale głos uwiązł ci w gardle. Chciałbyś powiedzieć: „Jestem tutaj”. Przyznać, że zbyt długo byłeś poza domem — nie pamiętasz nawet, jak długo — ale w końcu wróciłeś. Powiedzieć, że tęskniłeś za nimi i nie przestałeś ich kochać.

Spróbujcie zrozumieć.

Wyczerpany opierasz się o framugę i patrzysz na siebie jedzącego, roześmianego i prowadzącego rozmowę, jak gdyby nic się nie zdarzyło.

Przebaczcie mi.

W końcu się odwracasz: szosa i podwórze zniknęły. Jest tylko woda spływająca po kamieniach, cienie drzew, sadzawka i dziewczyna siedząca na pniu — która płacze. Odchodzisz, zostawiając swój dom za plecami.

To, co kochałeś, znika w mroku.

Dotarłeś tam, gdzie jesteś. Nie ma sposobu, aby wyjaśnić, co ci się przydarzyło.

Wyciągasz ramię, muskasz jej policzek.

Jestem bardzo zmęczony, mówisz, prześpijmy się, ale dziewczyna odwraca się na bok, wspiera na łokciu i siada.

Co robisz? Połóż się.

Porusza się niezdarnie, klęka — wygląda, jakby się modliła.

Powinieneś wziąć nóż i dać jej nauczkę. Powinieneś powiedzieć: „Nie zmuszaj mnie, żebym go użył”. Zaraz to zrobię, myślisz, ale powtarzasz tylko: połóż się.

Koniec lata

Tej nocy matka zadzwoniła do Idy, rozmawiały półgłosem. Ja drzemałam na kanapie, mogę sobie tylko wyobrazić ich rozmowę: — Przepraszam za późną porę, pewnie cię zbudziłam. Nie wiem, gdzie jest Ettore, nie wiem, co robić.

Ida jednak nie spała. Opowiedziała matce o dziewczynie. Zadzwonili do niej jej rodzice: byli zmartwieni, bo w domu nikt nie odbierał telefonu. Mieli nadzieję, że jest jeszcze u Idy — z powodu jakiejś podbramkowej sytuacji z Simoną — i że po prostu zapomniała do nich zadzwonić.

— Wróciłam późno — powiedziała Ida. — Bardzo się spieszyła. Gdyby spóźniła się na autobus, wróciłaby przecież, żeby poprosić o podwiezienie.

— Na pewno.

— Może poszła na piechotę.

— To też możliwe.

— Ale nawet w takim wypadku powinna już dawno dotrzeć do domu.

Matka wyznała mi potem, że poczuła się zaniepokojona, ale to był zbieg okoliczności i w pierwszej chwili próbowała nie przypisywać mu zbyt wielkiej wagi. Skupiła się na dziewczynie, wmawiając sobie, że mąż już wraca do domu.

— Może ma nowego chłopaka, o którym nie wiedzą — powiedziała. — Może są razem i nie zauważyli, jak późno się zrobiło.

Żadna z nich nie wspomniała o Giorgiu Longhim i mordercy, którego jeszcze nie złapano.

— A ty? — spytała Ida.

— Dzwoniłam do szpitala.

— Zobaczysz, że zaraz wróci.

Wiedziała o późnych powrotach mojego ojca i jego zwyczaju wychodzenia z domu po kolacji.

— Ale już jest głęboka noc.

Ida zmieniła temat, żeby ją uspokoić. — A Elia? — spytała.

— Zasnął.

— To dobrze.

Nie wiem, czy powiązała te dwie rzeczy — nieobecność mojego ojca i dziewczyny

— gdy rozmawiały przez telefon, czy dopiero później, kiedy nie mogła zasnąć i zaczęła zastanawiać się nad całą sprawą. Gdy wcześniej matka opowiedziała jej o listach, Ida stwierdziła, że ojciec potrzebuje pomocy. Matka odparła, że przesadza; dyskutowały o tym kilka dni, a potem nie widziały się już ani nie słyszały.

— Twoim zdaniem, powinnam pojechać go szukać?

Wyobrażam sobie chwilę milczenia.

— Ależ nie. Kiedy przyjedzie, spróbuj z nim porozmawiać.

Matka posłuchała jej rady.

Odłożyła słuchawkę na widełki i wyszła czekać pod czarnym, bezchmurnym niebem.

Ojciec wrócił bosy, w rozpiętej koszuli, z mokrymi włosami; furgonetkę zostawił na podwórzu. Matka zaprowadziła go do kuchni — szedł z trudem, chwiał się i zataczał.

Stałem obok lodówki, oparłem się plecami o ścianę i patrzyłem na nich.

— Siadaj — odezwała się. — Gdzie byłeś? Co się stało? — Zapytała go, dlaczego zdjął buty i skarpetki. — Zostały w furgonetce?

Ojciec nie odpowiadał.

— Kochanie, popatrz na swoje ramiona. Na szyję. I tu, na czoło. Miałeś wypadek?

Ojciec zapatrzył się w ścianę.

— Umieraliśmy z niepokoju — powiedziała matka, podniosła na mnie wzrok i gestem wskazała drzwi. — Daj mi porozmawiać z ojcem.

Podszedłem do furgonetki. Rzuciłem okiem na przednią szybę, zderzak, światła, boki, szukając wgniecenia czy zarysowanego lakieru, ale nic nie dostrzegłem.

Kluczyki tkwiły w stacyjce. Otworzyłem drzwi i nachyliłem się do środka — światło we wnętrzu było zapalone — żeby spojrzeć w tylną część samochodu: jego butów nie było.

Wałęsałem się po podwórzu, patrząc, jak trawnik wyłania się z ciemności. Słyszałem ćwierkanie ptaków. Odniosłem wrażenie, że ojciec stoi na trawie i czeka, aż do niego dołączę.

Jeździł samochodem całą noc? Zatrzymał się gdzieś?

Pomyślałem: *Mylisz się, jeśli sądzisz, że mi na tym zależy. Dość już tego.*

Drzwi furgonetki zostawiłem otwarte; zanim je zamknąłem, po raz ostatni rzuciłem okiem na wnętrze samochodu: na podłodze, wciśnięta pod siedzenie pasażera, leżała

torebka.

Od razu ją rozpoznałem.

Zjawili się po ojca późnym rankiem.

Matka pojechała za nimi swoim samochodem.

Odwiedziła mnie Ida. Nie poszła tego dnia do pracy, musiała opiekować się Simoną. Ona także chyba nie spała tej nocy.

Zapytałem ją o dziewczynę.

Odpowiedziała, że nie dała jeszcze znaku życia.

— Potrzebujesz czegoś? — spytała; Simona bełkotała coś za jej plecami. Ida nie wspomniała ani słowem o tym, co się zdarzyło: o moim ojcu i samochodzie karabinierów. Nie sądzę, żeby wiedziała, wtedy jeszcze nie, ale zapewne już się domyślała.

Próbowała nawet żartować. — Stwierdziłam: chodźmy pozawracać mu głowę.

Powiedziałem, że mam się dobrze i niczego nie potrzebuję, na co ona pogłaskała mnie po ramieniu: — Jak chcesz — i poszła sobie.

Telefon zadzwonił, kiedy byłem w łazience. Rzuciłem się do korytarza, podniosłem słuchawkę i zapytałem: — Mama?

Na chwilę zapadła cisza, słychać było tylko świst wiatru, a potem odezwała się Anna: — To ja.

Na moment zatrzymało mi się serce. Przycisnąłem słuchawkę do ucha. Policzki mi płonęły.

Powiedziała, że usłyszała o czymś, kiedy robiła zakupy, o czymś, co nas dotyczyło.

— Dobrze się czujesz? — spytała. Odniosłem wrażenie, że jest bardzo zmartwiona.

Dla mnie w tamtej chwili nie stało się jeszcze nic nie do naprawienia, nic, z czego zdawałbym sobie sprawę. Wyznałem, że się cieszę, że słyszę jej głos — daleki, jak gdyby znajdowała się w miejscu, do którego nie mogłem dotrzeć.

— Jesteś sam?

— Tak.

— Gdzie twoi rodzice?

Powiedziałem jej tyle, ile wiedziałem — że są na posterunku karabinierów. — Anna milczała chwilę, a potem zapytała: — Kiedy tam pojechali?

Nie spytała dlaczego — ja na jej miejscu na pewno zadałbym to pytanie.

— Przed obiadem.

Pusty dom, otwarte na oścież drzwi sypialni rodziców, niepościelone łóżko, rozkopane prześcieradła.

— Dzisiaj w nocy ojciec nie wrócił do domu. Zjawił się dopiero o świcie.

— Co się stało?

Odpowiedziałem, że nie mam pojęcia.

Nie wspomniałem o torebce, nie wtedy — nie zdradziłem się z tym także przed Idą ani przed mamą. Nie powiedziałem, że o brzasku wziąłem ją, zajrzałem do środka, wyciągnąłem karton papierosów, wyjąłem z niego paczkę, ukryłem ją za donicą, a potem odłożyłem torebkę na miejsce, pod siedzenie.

Ojciec musiał ją podwieźć. Ale jak to możliwe, że dziewczyna się nie zorientowała, że nie zadzwoniła jeszcze: „Wydaje mi się, że zostawiłam torebkę w furgonetce. Sama nie wiem, jak mogę być taka roztrzępana”.

Matka dołączyła do mnie, gdy stałem przy furgonetce, nachyliła się nad zderzakiem.

— Nie wydaje się uszkodzony, prawda?

Ćwierkanie ptaków przypominało dochodzący z oddali płacz.

— Spróbuj się przespać. My z ojcem idziemy trochę odpocząć.

— Potem przyjechali po niego — powiedziałem.

Samochód, trzaśnięcie drzwiczek, pukanie do drzwi.

Rodzice byli jeszcze w łóżku, ja w swoim pokoju. Matka poszła otworzyć. Usłyszałem, jak jakiś mężczyzna mówi: — Dzień dobry, szukamy pani męża. — Ojciec wyszedł do nich: — Jestem tutaj. — Skrzypienie krzesła przesuwanego po podłodze. Pstryknięcie zapalniczki.

Nasłuchiwałem chwilę — mówili cicho — a potem zszedłem do kuchni.

Byli tam dwaj karabinierzy. Młodszy wyglądał jak chłopiec, który dla zabawy przebrał się w mundur: pomachał mi ręką na powitanie, uśmiechnął się z zażenowaniem, zdjął czapkę i otarł pot z czoła. Starszy, wysoki i masywny, stał na rozkraczonych nogach ze wzrokiem wbitym w ojca. Często natykałem się na nich obu w Ponte, ale w naszym domu wyglądali jakoś inaczej, bardziej obco.

Ojciec siedział na krześle, wciąż bosy, opierając na stole podrapane ramiona, widoczne pod odwiniętymi do łokcia rękawami koszuli.

— Co się dzieje? — spytałem.

Matka odpowiedziała: — Zostaw nas samych, proszę. — Wróciłem do swojego pokoju.

— Zaparzyć panom kawy? — usłyszałem jeszcze, jak pyta.

Jeden z nich odpowiedział: — Nie.

Drzwi do kuchni zostały zamknięte. Ojciec powiedział głośno z nutą sarkazmu: — Nie musieliście się fatygować. Wiecie już, kim jestem. Albo tak wam się wydaje.

Chwilę później matka weszła do sypialni. Zdjęła sukienkę z palmami, położyła ją na łóżku i włożyła inną. Wzięła z podłogi lepsze buty ojca, a z szuflady w komodzie czyste skarpetki. Przez chwilę wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w otwartą szafę.

— Mamo?

Podeszła do mnie.

— Czego oni chcą?

— Porozmawiać z tatą. Pojadę z nimi. Zadzwoń, gdy tylko będę mogła. Wrócimy niedługo, nie martw się.

Poszedłem za nią na ganek. Ojciec stał boso, odwrócona plecami sylwetka w białym świetle poranka. Wydawało się, że karabinierzy go podtrzymują.

— Musi włożyć buty — powiedziała matka.

Ojciec wyszeptał coś do ucha młodszemu z nich, zaśmiał się, a potem się odwrócił. Na mój widok się uśmiechnął, jak gdyby wyjeżdżał w podróż, o której myślał od dawna.

Anna wysłuchiwała mojej opowieści.

— Więc co słyszałaś? — spytałem.

Zawahała się i odchrząknęła. — Tylko że coś się stało.

Sądziła, że wiem już o wszystkim, dlatego zadzwoniła. Myślała, że powie mi po prostu: bardzo mi przykro.

— Zobaczysz, wszystko się wyjaśni — dodała.

W tle słyszałem jakieś dźwięki.

— Skąd dzwonicz? — spytałem.

— Z budki — odparła, chociaż mieli już w domu telefon. Pewnie z powodu Stefana, pomyślałem. — Nie przejmuj się, naprawdę.

Światło zmętniało, wiatr uderzył okiennicami o ścianę. Patrzyłem na podchodzący do góry cień na przeciwległej ścianie i przypomniałem sobie torebkę w furgonetce,

zadrapania na twarzy, szyi i ramionach ojca oraz sposób, w jaki powiedział: „Wicie już, kim jestem”.

— Elia?

Właśnie wtedy zacząłem widzieć wszystko — najpierw niewyraźnie, a potem ze szczegółami, jak gdyby Anna mimowolnie otworzyła mi oczy. Jak gdyby to było zapisane we wnętrzu dłoni. *Trzeba w to wierzyć*. Coś, co miało zniszczyć nasze życie, rozdzielić nas bezpowrotnie.

— Elia, jesteś tam? Halo?

Później znowu przyszła Ida.

Zjadłem zimne spaghetti, wypaliłem kilka papierosów, wyciągnąłem się na kanapie i zasnąłem.

Zaczęło lać jak z cebra.

Otworzyłem drzwi. Ida strząsnęła parasol, za jej plecami stała Simona z jakąś siatką w ręce, głowa chwiała jej się pod kapturem peleryny.

— Spałeś? — spytała Ida.

Przytaknąłem.

— Widziałeś, jaka ulewa?

W kuchni było ciemno, poszła zapalić światło.

— Tak już lepiej — powiedziała, jej głos zagłuszał szum deszczu.

Przesunęła palcami po włosach, patrząc na brudny talerz na stole. Westchnęła głęboko i zmarszczyła nos, jak gdyby nieobecność moich rodziców była przyczyną jakiegoś brzydkiego zapachu. Miała na sobie wyciągnięty sweter, który sięgał jej do kolan.

Simona wyjęła z siatki blok rysunkowy i piórnik z kredkami. Ida odsunęła krzesło i powiedziała: — Zdejmij pelerynę. — Potem dodała: — Poczekaj na mnie. Muszę porozmawiać z Elią.

Miałem ochotę pójść do swojego pokoju i zamknąć się w nim na klucz, a tymczasem pozwoliłem, żeby podeszła do mnie, dotknęła mojego ramienia i wskazała korytarz.

— Chodźmy tam na chwilę.

Tak więc wróciłem do salonu.

— Usiądź — powiedziała, ale sama nie ruszyła się z miejsca; stała, pocierając dłonią o dłoń. — Dzwoniła do mnie twoja matka.

— Dlaczego nie zadzwoniła do mnie? Wracają do domu?

— Obawiam się, że nie — odparła, po czym podeszła do mnie, pochyliła się i położyła mi dłonie na ramionach. — Nie teraz.

— Co on zrobił?

Myślałem o tym przez całe popołudnie, zanim zapadłem w drzemkę. Wróciłem na podwórze, wsiałem do furgonetki, trzymałem w rękach torebkę.

Ida potrząsnęła głową.

— Matka chce, żebyś przyszedł do mnie.

— Nie.

— Nie powinieneś być sam.

Przyciągnęła mnie do siebie i pogłaskała po głowie, jakbym zaczął płakać i chciała mnie pocieszyć. Jej ręce były zimne, ale twarz gorąca. Próbowalem się opierać, stałem sztywny, z zaciśniętymi pięściami. W końcu jednak uległem i objąłem ją.

— Już dobrze — usłyszałem, jak szepcze.

Matka wróciła w środku nocy.

Leżałem na kanapie w salonie Idy, ale nie byłem w stanie zasnąć: patrzyłem w niekończącą się ciemność za oknem, na chłostane wiatrem strugi deszczu, na obrazki Simony na ścianach, płyty na półce, głośniki stereo i ruchome cienie drzew na suficie. Myślałem o tym, co na koniec powiedziała mi Anna — „Jeśli mnie potrzebujesz, jestem tutaj”. Myślałem o milczeniu Idy w czasie kolacji, o jej spojrzeniach rzucanych na zegarek, a potem na telefon. Myślałem o rodzicach i zastanawiałem się, czy są razem, czy ich rozdzielono. Wyobrażałem sobie pokoje za zamkniętymi drzwiami.

W pewnej chwili przysła do mnie Ida. Była w piżamie i tarła oczy. — Nie śpisz? — spytała.

— Ty też nie.

— Wygodnie ci tutaj?

— Tak.

— To dobrze. Zawołaj, jeśli będziesz czegoś potrzebował.

Próbowała sprawić, żebym nie czuł się osamotniony.

Skuliłem się z rękami wciśniętymi między nogi; po chwili ujrzałem, jak deszcz i ciemność przecinają światła samochodu, usłyszałem trzaśnięcie drzwiczek i piskliwy dźwięk dzwonka u drzwi.

Ida wróciła do salonu i otworzyła drzwi. Usiadłem na kanapie; gdy matka weszła do środka, Ida objęła ją, mówiąc: — Spójrz na siebie, jesteś cała mokra. — A potem: — Jest u nas Elia.

Chwilę trwały w uścisku w ciemnościach.

Chciałem wierzyć, że ojciec został w samochodzie, że powiedział matce: „Poczekam tutaj”, a ona przysłała po mnie. Próbowalem sobie wmówić, że wszystko jest w porządku, że ojciec narobił jakiegoś bigosu, ale przeprosił i to wystarczy.

— Chodź — powiedziała Ida do matki. — Zrobię kawę.

Ida zniknęła w korytarzu, po chwili wróciła z ręcznikiem, podała go matce i poszła do kuchni. Zapaliła światło i odkręciła kurek przy zlewie.

— Siadaj — zwróciła się do niej.

Siedząc w półmroku, matka przyglądała włosy. Odniosłem wrażenie, że nie zdaje sobie sprawy z tego, gdzie się znajduje, że nie zorientowała się, że jestem tuż obok. Przesunęła ręcznikiem po szyi i twarzy, a później upuściła go i osunęła się na kolana. Była moją matką, ale stawała się kimś nieznanym. Ta przemiana dokonała się właśnie wtedy.

— Mamo? — spytałem.

Simona się zbudziła i Ida poszła do jej pokoju.

— Mamo?

Chciałem wstać, ale nie byłem w stanie.

Popatrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, przyciskając dłoń do ust. Zaczęła szlochać.

XIV

Dziewczyna podnosi się i stoi nieruchomo.

Patrzysz na splot żelaznego drutu wokół jej nadgarstków, jak gdyby był piękny i prawie wzruszający. Nie jesteś już w stanie myśleć.

Powtarzasz cały czas: połóż się. Nie zmuszaj mnie, żebym wstał.

Jednak ona robi krok do przodu.

Nie ma sensu uciekać, mówisz. Nic już nie ma. Może wcześniej coś było, ale teraz już nie ma. Może to sobie wyobraziłem.

Obracasz się na bok. Wpatrujesz się w początek ścieżki, jak gdyby mężczyzna wrócił, aby ci pomóc, ale znasz już prawdę. Niebo jest czarne, wiatr świszcząc w gałęziach drzew.

Poczekaj, mówisz. Poleżymy sobie spokojnie jakiś czas. Jeśli chcesz, mogę cię wziąć za rękę. Mogę cię uwolnić.

Dziewczyna robi kolejny krok.

Wtedy zamykasz oczy i liczysz powoli do pięciu i dalej. Kiedy zbierzesz siły, kiedy przestaniesz liczyć, wstaniesz i złapiesz dziewczynę, a ona pozwoli się pociągnąć z powrotem na legowisko. Rozwiążesz ją, rozbierzesz i wreszcie będziecie sobie równi, nie będziesz już musiał się martwić.

I kiedy tak liczysz z zamkniętymi oczami — osiem, dziewięć, dziesięć — widzisz swoją rodzinę i jest ci przykro, a może nie: tego nie wie nikt.

Jestem tutaj

W rześkim, szarym świetle poranka pobiegłem na przystanek i wsiałem do autobusu.

Kierowca przyjrzał mi się, mrużąc oczy, jak gdyby w moim wyglądzie było coś, czego nie umiał ocenić.

Powiedziałem mu: dzień dobry, a on kiwnął ręką na powitanie.

Kiedy dotarłem na tył autobusu, zanim usiałem, popatrzyłem przez tylną szybę: szosa usiana kałużami, lasy i restauracja zdawały się falować, zawieszona w powietrzu.

Zamknięte drzwi budki.

Miejsce parkingowe, na którym zwykle stał samochód, puste.

Przebiegłem chodnikiem dookoła domu, bojąc się, że ich nie zastanę, że zniknęli — przenieśli się w jakieś nieokreślone miejsce, w którym wyobraziłem ją sobie poprzedniego dnia, kiedy rozmawialiśmy przez telefon, chociaż Anna powiedziała: „Jestem tutaj”.

Na trawniku leżały otwarte puszki farby, przykryte folią, pędzle, brudny wałek i zmoczone stare gazety. Pochlapana białą farbą drabina stała oparta o ścianę.

Niebo zdawało się pochylać i zapadać między drzewami.

Serce zatrzymało mi się na chwilę i znowu zaczęło bić; robiło tak od momentu, gdy matka siadła w kuchni Idy i zaczęła szlochać, trzymając mnie za ręce.

Nasłuchiwałem chwilę, ale znikąd nie dobiegał żaden dźwięk. Drzwi i okna były zamknięte. Zapukałem do drzwi — pasmo błękitu wysuwało się spomiędzy chmur — potem stanąłem pod oknem, zapukałem w szybę i przycisnąłem do niej nos. Wtedy usłyszałem, jak Anna mówi: — Chwileczkę. — Wyszła z korytarza, zobaczyła mnie i się zatrzymała. Wróciłem do drzwi, a wtedy obróciła klucz w zamku.

— Elia — powiedziała. — Wejdz.

Kuchnia pachniała plastikiem, świeżą farbą i octem. Krzesła były na stole, odwrócone do góry nogami.

Popatrzyła mi w oczy, obróciła się i nastawiła kawę. — Weź sobie krzesło — poprosiła.

Miała na sobie szorty, biały golf i skórzane sandały. Splotła ręce i uśmiechnęła się.

Nasze spojrzenia spotykały się i uciekały od siebie, dopóki nie siedliśmy nad filiżankami kawy.

— Pewnie wcale nie spałeś?

Potrząsnąłem głową. Ona także wyglądała na zmęczoną.

— Wypij, wystygnie — ponagliła mnie.

— Stefana nie ma?

— Pojechali kupić telewizor. Wyszli jakieś dziesięć minut temu.

W Ponte nie było sklepów ze sprzętem elektronicznym; wyobraziłem ich sobie, jak jadą szosą przelotową i oddalają się od miasteczka.

— Wielka zmiana — powiedziała, uciekając spojrzeniem. — Mam na myśli, że zaczynają się dogadywać.

Już od jakiegoś czasu — od wieczoru, kiedy się pocałowaliśmy — miałem wrażenie, że życie nieubłaganie popycha nas do przodu i że ten fakt, to nieustanne parcie naprzód, którego nikt nie może powstrzymać, w jakiś sposób pomoże mi pozostać na powierzchni.

— Cieszę się.

Anna odgarnęła włosy do tyłu. — Przepraszam. Masz tyle zmartwień, a ja papłę. — Podeszła do okna i popatrzyła na ogród. — Jak się czuje twoja matka?

— Źle. Nie wiem.

Moja matka wyciągnęła się na łóżku obok Idy i drzemała jakiś czas. Zbudziła się o świcie — słyszałem, jak szepczą — i wróciła do salonu. Ida pożyczyła jej swój sweter. Wypiła łyk wody i usiadła na brzegu kanapy.

„Przestało padać”, powiedziała.

Zdawało się, że w tej chwili z jakiegoś powodu jest to dla niej ważne.

„Muszę tam wrócić. Nie mogę cię zabrać ze sobą, a zresztą nawet gdybym mogła, nie zrobiłabym tego. Musisz o tym zapomnieć. Uściskaj mnie”, powiedziała. Naprawdę sądziła, że będę w stanie zapomnieć?

Patrzyłem na nią, jak bierze torebkę, wkłada buty i wychodzi, zostawiając mnie na kanapie z nadzieją, że będę tam bezpieczny.

Anna przycisnęła palec do szyby; niebo się rozjaśniało, stawało się przejrzyste i błękitne.

— Podobno zrobił krzywdę pewnej dziewczynie — odezwałem się. Była to jedyna rzecz, którą zdołała mi przekazać zapłakana matka. — Znam ją. Wszyscy ją znamy.

Anna przytaknęła. — Wiem, skarbie.

Skarbie, jak gdybym był jej synem.

Zacisnąłem nogi i zamknąłem oczy. Przez krótką chwilę były tylko ciemność, spojrzenie ojca i jego furgonetka, ale potem światło wróciło. Anna stała przede mną, opowiedziałem jej o torebce, o tym, jak ją wziąłem, zaniósłem do garażu i ukryłem na najwyższej półce metalowego regału, na którym ojciec trzymał różne kłamoty. Jak gdyby tam nikt nie mógł jej znaleźć. Jak gdyby to było zadanie zleczone mi przez ojca, kiedy go zabierano, kiedy się do mnie uśmiechnął.

Anna ścisnęła moje ręce w swoich.

— Nienawidzę go — powiedziałem.

— To nieprawda, kochasz go. On także cię kocha. Nie masz z tym nic wspólnego. I nic nie możesz zrobić.

Na jej ustach pojawił się cień uśmiechu.

— Powiedziałam ci, że znajdziesz szczęście, chociaż w tej chwili w to nie wierzysz — odwróciła moje dłonie i popatrzyła na nie. — To jest zapisane tutaj. Tylko że to jest twoje życie, a nie życie innych ludzi.

Promienie słoneczne wdarły się do kuchni. Pomyślałem o matce, siedzącej w jakimś pokoju w oczekiwaniu na swojego nieprzeniknionego męża.

Zacząłem płakać; przeprosiłem ją za to.

— Nie musisz przeproszać. Zobaczysz, wszystko się ułoży.

— Jak?

— Chodź ze mną — powiedziała.

Zaprowadziła mnie do swojego nowego pokoju — stały tam tylko łóżko i szafka — w którym okiennice były jeszcze przymknięte. Kazała mi się położyć, zdjęła mi buty i skarpetki i wyciągnęła się obok mnie. Chciałem przestać płakać, było mi wstyd. Odwróciłem się twarzą do ściany.

Powiedziała: — Ej — i zamilkła. Odsunęła mi włosy z czoła i dotknęła go, jak gdyby sprawdzała, czy mam gorączkę.

— Chcesz zostać sam?

Zaprzeczyłem i odwróciłem się, żeby na nią spojrzeć.

Zsunęła ze stóp sandały, zrzuciła je na podłogę, przycisnęła stopy do moich i potarła je. Położyłem dłoń na jej kolanie, tuż pod obrąbkiem szortów.

— Zostań.

— Oczywiście.

— Nie odchodź.

Wytarła mi łzy i pogładziła po włosach.

— Co mogę zrobić? — spytała, a ja przylgnąłem do niej, chociaż kapało mi z nosa, poczułem jej ciepło i pocałowałem ją w usta.

Odsunęła się.

— Nie chcesz porozmawiać? — spytała.

— Nie.

Chciałem ją tylko objąć, uwolnić się od ciemności i od ojca.

— Mogę cię dotknąć?

Podniosła kącki ust i spuściła wzrok. — Dobrze — odpowiedziała.

Ukląknę na tym chybotliwym łóżku, na szorstkim prześcieradle pachnącym mydłem. Rozpiąłem jej golf, wyciągnęła ramiona i uniosła plecy, żebym mógł go zsunąć — pod spodem miała biały stanik.

— Lepiej ci? — spytała.

— Tak.

Zdjąłem koszulkę, a później zsunąłem ramiączka stanika z jej ramion — były szczupłe, wąskie, kości obojczyka prześwitywały przez przezroczystą skórę.

Usiadła, rozpięła stanik, opuściła go na brzuch i zakryła piersi rękami.

— Tak? — zapytała.

— Chcę zobaczyć — powiedziałem.

Rozsunęła palce i dostrzegłem brodawki. Przymknęła oczy. — Ty powinieneś to zrobić — szepnęła.

Odjęła ręce i oparła je na łóżku. Wtedy musnąłem jej piersi.

Rozpięliśmy spodnie, zsunęliśmy je do kostek, uwolniliśmy się z ubrań i zatrzymaliśmy się na chwilę. Powiedziałem, że jest piękna — białe majtki, zetlała gumka — Anna potrząsnęła głową, wyciągnęła się na łóżku i rozwarła nogi, żeby objąć nimi moje biodra.

— Chciałabym móc wszystko wymazać — szepnęła, przyciskając moje dłonie do swoich piersi. Wtedy się pochyliłem i zaczęliśmy się całować. Umościłem się w jej ustach, wokół języka. Gdy na chwilę oderwaliśmy się od siebie, bo zabrakło nam tchu, objęła mnie i pociągnęła na siebie.

Spytałem, czy nie jestem za ciężki, ale powiedziała, że nie.

Zacząłem się poruszać, z jej stopami opartymi na moich łydkach.

— Chciałabym wiedzieć, co się czuje — powiedziała.

Wpatrywała się w jakiś punkt na suficie; o czym mówiła?

— Chcesz, żebym przestał?

Uśmiechnęła się. — A ty?

— Nie.

— Ale nie spiesz się tak. To nie tak ma wyglądać.

Ja jednak pędziłem, a pokój znikał. Zdawało mi się, że moja głowa się opróżnia, jak wiadro brudnej wody, które Anna wylała na trawnik tego wieczoru, kiedy zostałem u nich na noc.

— Nie mogę — wymruczałem i w tej samej chwili osiągnąłem orgazm.

Kiedy wróciła z łazienki, miała ze sobą rolkę papieru toaletowego: podała mi ją, zebrała swoje rzeczy i ubrała się w milczeniu.

Wytarłem się. Anna podała mi dżinsy i koszulkę. Nie wiedziałem, co zrobić z papierem, więc wepchnąłem go do kieszeni. Pomacała usta, jak gdyby sprawdzała, czy krwawią, po czym wyciągnęła się znowu na łóżku. Wzięła moją dłoń i położyła ją sobie na piersi.

— O czym myślałeś?

— O tobie — odparłem.

— Mam wrażenie, jakby jeszcze była noc — powiedziała.

Czas się przewinął jak film — ujrzałem nas oboje wyciągniętych na łóżku, potem matkę przemoczoną od deszczu, torebkę dziewczyny na półce żelaznego regału, ojca uśmiechającego się na ganku.

— Nie wiem dlaczego, ale wiedziałam o tym — wymruczała.

— O czym?

Nie odpowiedziała.

Skuliłem się u jej boku: leżała nieruchomo z zamkniętymi oczami. Miałem ochotę zacząć od początku, mimo że byłem wykończony, chciałem uwolnić rękę i wsunąć ją między jej nogi, ale kiedy spróbowałem, nie zareagowała i zobaczyłem, że zasnęła.

Pamiętam jej profil, półotwarte usta. Ostatnią chwilę szczęścia, bo byliśmy tam razem. Może wiatr. Potem zasnąłem.

To dlatego ich nie usłyszeliśmy — auta wjeżdżającego na plac, kroków na chodniku.

Zbudziliśmy się, kiedy trzasnęły drzwi kuchni i Stefano wszedł do środka, pogwizdując. Otwarta lodówka, brzęk szkła.

Anna usiadła na łóżku. Usłyszałem, jak szepcze: — O, Boże.

Sądziłem, że spaliśmy bardzo długo, tymczasem minęło zaledwie pół godziny od mojego przyjścia.

Stefano zamilkł: zapewne coś usłyszał.

Przesunęła nogi, postawiła na podłodze bose stopy. Przeczółgałem się po materacu i usiadłem. W tej samej chwili pojawił się na progu. W ręce trzymał butelkę. Zerknął w półmrok pokoju.

— Co robicie? — spytał.

Anna podeszła do niego. — Już wróciliście? Jak poszło, macie telewizor? Gdzie jest dziadek?

— Sklep był zamknięty — powiedział — więc wróciliśmy. — Nadal patrzył na mnie za plecami matki.

— Szkoda. Chodź do kuchni, weź sobie szklanę.

Zniknęła w korytarzu. Postąpił krok naprzód, wbijając we mnie wzrok, ale w końcu poszedł za matką.

Kiedy zostałem sam — słyszałem głos Anny, ale nie Stefana — założyłem skarpetki i buty. Kusilo mnie, żeby znowu się położyć i przykryć prześcieradłem, poszedłem jednak do kuchni.

Anna stała oparta o stół i wpatrywała się w podłogę. Odwróciła się odrobinę, jej poszarzała twarz była zrezygnowana. Za otwartymi drzwiami puszek z farbą i trawnik lśniący w słońcu.

— Gdzie on jest? — spytałem.

Siedział na masce zardzewiałego samochodu.

Nie odwrócił się, kiedy podchodziłem ani kiedy usiadłem obok niego.

Na chodniku pojawił się Santo Trabuo, pozdrowił mnie serdeczniej niż zwykle i wszedł do kuchni.

— Dowiedziałem się, co się stało — powiedział Stefano. — Próbowałem się do ciebie dodzwonić wczoraj i dzisiaj.

— Nie było mnie w domu.

— Domyśliłem się.

Zgiął lewe ramię i pomacał biceps. W mojej głowie rozbrzmiało echo jego śmiechu.

— Potrzebuję papierosa — odezwał się. Potem dodał: — Lepiej będzie, jeśli się teraz wyniesiesz.

— Okej.

Nie było miejsca, do którego chciałem wrócić, ale tego mu nie powiedziałem. Zeskoczył z maski, skierował się w stronę drzew w głębi ogrodu i przykucnął na piętach.

— Co robiliście? — spytał, patrząc na rzekę.

— Nic.

Parsknął śmiechem, wstał i popatrzył na dom. — To ona — powiedział.

Odwrociłem się, ale nikogo nie dostrzegłem — drzwi były zamknięte, słońce odbijało się w szybach.

— Pytałem, coście, kurwa, robili.

— Szukałem cię — odpowiedziałem słabym głosem.

To nie była cała prawda, ale częściowa.

— I jak skończyliście na tym łóżku?

Podszedł do mnie. Zeskoczyłem z maski i chciałem odejść, ale złapał mnie za łokieć i przytrzymał: — Słuchaj no — jak gdyby chciał dodać coś, czego nie wziął pod uwagę, i nie był już tego pewien.

— Zostaw mnie.

Znieruchomiał z ręką podniesioną do góry. — No co, już nie jesteśmy przyjaciółmi? Chcę tylko wiedzieć, co się stało.

Milczałem. Stefano zaczął chodzić tam i z powrotem, w końcu zatrzymał się o krok ode mnie.

— Nie powinieneś był tego robić — powiedział.

Popchnął mnie, upadłem na ziemię; siadł na mnie okrakiem i zbliżył pięść do mojej twarzy.

— Teraz dostaniesz za swoje — wyszeptał. — Teraz ci pokażę.

Być może to właśnie było najtrudniejsze: życie, które biegło naprzód i pchało nas przed siebie, każdego w inną stronę.

— Mam tego nie robić, bo jesteś po uszy w gównie? Bo twój ojciec to wariat? Tak myślisz? Biedaczek.

Wcale tak nie myślałem.

— No co, może jesteś taki jak on?

Podstawił mi pięść pod nos: w tej samej chwili usłyszałem hałas gwałtownie otwieranych drzwi, które uderzyły o mur. Stefano się wyprostował.

W ogrodzie rozległ się głos jego matki: — Dość tego!

Popatrzył na mnie ostatni raz.

Mógł mnie uderzyć, ale zamiast tego wstał, otrzepał ręce i wytarł je o koszulkę.

— Nie pokazuj się tu więcej — rzucił na odchodne. Usłyszałem, jak warknął do matki: — Odsuń się. — Wtedy usiadłem i spojrzałem w tamtą stronę: stała boso na trawniku z rękami przyciśniętymi do ust. Zrobiła w moją stronę dwa niepewne kroki, podniosła oczy do góry i wróciła do domu, robiąc to, co było słuszne.

XV

Prowadzi psa do lasu.

Ma ze sobą sznur.

Nie wiem, ile miał wtedy lat — był jeszcze chłopcem.

Pies drepcze obok, merda ogonem, muska jego łydkę, liże go w rękę. Chwilami zostaje z tyłu, obwąchując teren, ale i tak go słyszy.

Wiem, co ci chodzi po głowie.

Widzę rzeczy, których nawet nie potrafisz sobie wyobrazić.

Idzie wytrwale, oddalając się od domu.

Plamy słońca i cienia wzdłuż ścieżki. Światło i ciemność, jak zawsze.

Na małej polance owija sznur wokół drzewa, zawiązuje węzeł i woła: „Chodź tutaj”, klepiąc się dłonią po kolanie. Zaciska psu sznur na szyi.

Patrzy na niego jeszcze chwilę — pies wciąż merda ufnie ogonem, obwąchuje trawę, kupkę liści, niucha trop lisów i dzików, ale potem zaczyna ciągnąć i potrząsać głową, próbując przegryźć sznur. W końcu kładzie się z pyskiem między łapami.

Słyszysz, jak jego poszczekiwanie przechodzi w skomlenie.

Co. Chcesz. Mi zrobić?

Drapie go za uszami, gładzi po grzbiecie.

Nic.

Pies zamyka oczy.

Chciałby wyciągnąć się obok niego, zasnąć i zbudzić się gdzie indziej, w sypialni albo na podwórku, kiedy będzie szukał swojego psa, i właściwie to właśnie robi — na ogół pamiętać będzie tylko, jak grzebał go w lesie, i jeszcze mężczyznę za swoimi plecami, gdy kopał dół, płacząc i zadając sobie pytanie: „Kto mógł zrobić coś takiego?”. A jednak wiele lat później, kiedy będzie siedział za kierownicą furgonetki albo na ganku, kiedy osoby, które go kochają i które on kocha, będą przechodzić obok, rozmawiając i uśmiechając się, w jego myśli wkradnie się wątpliwość, będzie odpowiadał albo nie, wpatrując się w ścianę lub w krawędź lasu, w jego kuszącą ciemność, piastując w rękach swoje sekrety.

Potem

Bywają dni, kiedy wydaje mi się, że to był tylko sen: mój powrót do domu, odcinek drogi, który przemierzyłem pieszo, puste miejsce, tam gdzie ojciec zwykle parkował furgonetkę, samochód karabinierów obok auta matki. Garaż był otwarty; wyszedł z niego karabinier, ten, który w kuchni wpatrywał się w mojego ojca. Zapalił papierosa i przyglądał mi się, gdy się zbliżałem. W środku garażu ktoś się ruszał, widziałem jakąś postać.

— Matka cię szukała — powiedział karabinier.

Nie podobał mi się wyraz jego twarzy i ton głosu — jak gdyby świat robił sobie z niego żarty, a on uważał, że na to nie zasługuje. Kiedy podniósł czapkę, żeby otrzeć pot, zobaczyłem, że na czole odbiła mu się czerwona pręga.

— Gdzie jest mój ojciec? — spytałem.

Na progu pojawił się drugi karabinier, osłaniając oczy od słońca, popatrzył na mnie i wrócił do garażu.

Ten pierwszy zaciągnął się kilka razy, wyrzucił papierosa i zmiądzzył go obcasem. — Lepiej idź do domu. Czeka na ciebie.

Wiedziałem, że ojca nie ma, a mimo to na krótką chwilę uwierzyłem, że wrócił, że jest z matką i będę musiał im wyjaśnić, gdzie się podziewałem i dlaczego, że w tym leży problem: martwili się o mnie. Miałem nadzieję, że go wypuścili — zwykle nieporozumienie, niewłaściwa osoba — chociaż zdawało mi się, że życie bez niego będzie prostsze.

Przypomniała mi się torebka, którą ukryłem. Jak mogłem się łudzić, że jej nie znajdą?

Mężczyzna śledził mnie wzrokiem; zanim wszedłem, skinąłem głową, a on odwzajemnił gest.

Gdybym wrócił na czas, pomyślałem, zaniósłbym torebkę do lasu, oddalił się jak najbardziej od domu, wykopałbym dół i wrzucił ją do środka, a potem przysypał ziemią i liśćmi. Zrobiłbym to nie dla ojca, tylko dla siebie.

Jak to świadczy o osobie, którą wtedy byłem, nie umiem powiedzieć.

Drzwi ich sypialni były otwarte: na podłodze stos ubrań i prześcieradła.

Matka siedziała na moim łóżku, z łokciami opartymi na kolanach i twarzą ukrytą w dłoniach. Nie odwróciła się, kiedy stanąłem w progu. Powiedziałem: cześć. Spojrzała na mnie. Miała jeszcze na sobie sweter Idy.

— Nie mogę się martwić także o ciebie — powiedziała.

Poszedłem otworzyć okno — bezkresna płachta błękitu, trawnik i las, świat, który wydawał mi się znajomy.

— Co ci się stało? — wskazała na koszulkę. — Jesteś cały brudny.

— Przewróciłem się.

— Gdzie?

— Nieważne — odpowiedziałem. — Co z tatą?

Przycisnęła dłoń do żołądka. Stałem przy oknie w małej kakuży światła.

Z zewnątrz dobiegły głosy: — Tu jest.

Wiedziałem, o czym mówią.

Matka popatrzyła na mnie: — Ojciec im powiedział, Elia.

Milczał większą część nocy, obojętny na zadawane mu pytania.

Nigdy się nie dowiedziałem, dlaczego w pewnej chwili zdecydował się mówić ani jak się wtedy czuł. Podał fakty czy też to, co uważał za fakty. Facet, który jechał za nimi samochodem — nie wyjawiał jego imienia. Ucieczka do lasu. Brzeg strumienia. Chwila, kiedy związał i zakneblował dziewczynę, ale tylko dla jej bezpieczeństwa. Historia spisku. Listy, które napisał i które, jego zdaniem, przysporzyły mu wielu wrogów.

Jego strach, a potem złość. Złość i na koniec zmęczenie.

Tym, co pozostało z mojego ojca, jest jego wyznanie, jak gdyby postanowił wyciągnąć rękę, której nikt już nie chciał pochwycić, z wyjątkiem mojej matki.

— On to zrobił, Elia. Przyznał się.

Podniosła zapuchnięte oczy na zgaszony żyrandol.

— Usiądź — powiedziała.

Usiadłem obok niej; pogładziła mnie po ramieniu.

— Nie mogę w to uwierzyć. Chociaż wiem, że to prawda.

— Ja też nie — odparłem, ale w rzeczywistości wierzyłem. Karabinier zapukał i zawołał moją matkę. Wyglądziła spódnice, krzyknęła: — Już idę — i z trudem ruszyła w stronę drzwi. Nogi się pod nią ugięły, musiała się chwycić framugi.

— Mamo?

— Dam radę.

Mogłem z nią pójść, ale nie chciałem znowu spotkać się z tym mężczyzną. Pomyślałem, że mógłby mi pokazać torebkę i spytać: „Wiesz coś na ten temat?”, patrząc na mnie, jak gdybym był podobny do ojca.

Rozmawiali chwilę po cichu. Zanim odszedł, powiedział: — Proszę mi wierzyć, bardzo mi przykro.

Po chwili dołączyłem do matki: patrzyła na samochód karabinierów znikający między drzewami.

— Był uprzejmy — powiedziała.

— Co za różnica?

— Niektórzy ludzie widzą na świecie tylko złe rzeczy i to rzutuje na ich zachowanie. Ten człowiek nie jest taki. Na tym polega różnica. Ty też nie powinieneś taki się stać.

— Co ci powiedział?

Naciągnęła sweter na nogi.

— Znaleźli torebkę. Była ukryta w garażu.

Tego popołudnia telefon nie przestawał dzwonić.

Odbierała zawsze matka.

„Zajmę się tym”, mówiła.

Łatwo się było domyślić, z kim rozmawia: z Idą, bo się rozkleiła i zaczęła płakać; z dawnymi kolegami ojca i szefem placu budowy; z dziennikarzem „Echa Doliny”, któremu powiedziała: nie mam nic do dodania, a który kilka minut później zadzwonił znowu. Dwa razy w słuchawce nikt się nie odezwał i wtedy podniosła głos: — Nie macie litości? — nie byłem pewien, ale pomyślałem, że to może Anna.

A potem ten ostatni telefon.

Siedziałem przy stole w kuchni, jedząc herbatniki. Zmierzchało się już. Wstałem i stanąłem w drzwiach: matka wyszła niepewnym krokiem z łazienki, podeszła do stolika, podniosła słuchawkę, powiedziała: — Halo? — i wybuchnęła rozpaczliwym płaczem.

To był mój ojciec.

— Skarbie, jak się czujesz? Gdzie teraz jesteś?

Wywieźli go: nie był już na posterunku karabinierów obok ratusza, gdzie

potrafiłem go sobie jeszcze wyobrazić.

— To można naprawić. Musisz im to wyjaśnić. Musisz wytłumaczyć.

Ojciec coś powiedział i matka uśmiechnęła się przez łzy: na moment stała się znowu kobietą, którą zawsze była, jak gdyby jej charakter, jej natura były nierozzerwalnie związane z moim ojcem i miały zniknąć, jeśli on zniknie.

— Wiem — przytaknęła — poczekaj. — Odwróciła się, zawołała mnie gestem i włożyła mi do ręki słuchawkę. Nie miałem odwagi jej wyznać, że nie czuję się na siłach, aby z nim rozmawiać.

— Tato?

Milczał. W tle usłyszałem jakiś metaliczny dźwięk, jakby przekręcanie klucza w zamku. Popatrzyłem na matkę i powtórzyłem: — Tato?

— Elia?

— Tak, to ja.

— Jak się masz?

— Dobrze. — Nie wiem, dlaczego to powiedziałem.

Przytłumiony śmiech. Ojciec zapalił papierosa i zaczął kaszleć.

— Nie mogę myśleć, wiesz? Nie mogę zrozumieć, gdzie się znajduję. A ty gdzie jesteś?

— W domu. Wykręciłeś numer do domu.

Matka przycisnęła mi dłoń do pleców, jak gdyby chciała mnie podtrzymać albo sama znaleźć oparcie.

— Zostań tam — powiedział. — Zostań w domu. Nie porzucaj go.

Zanim się pożegnał, powiedział jeszcze coś.

— Pamiętasz tę noc, kiedy wyszliśmy razem? Przypomniała mi się.

Nie wyszliśmy, pomyślałem. Wywlokłeś mnie z domu.

— Najgorsza rzecz to pójść tam w pojedynkę — wyznał.

— Dokąd?

Nie odpowiedział od razu. I nie wyjaśnił, o co mu chodziło.

— Nie chciałem nikogo skrzywdzić, ale wygląda na to, że to zrobiłem.

— Tak, tato.

— Muszę już iść. Cześć.

— Co ci powiedział? — spytała matka, gdy odwiesiłem słuchawkę.

— Nic.

Leżałem na łóżku i próbowałem zasnąć.

Simona rysowała, leżąc na podłodze w salonie. Ida rozmawiała z moją matką. — Możemy u was zostać, jeśli chcesz — zaproponowała.

Przyniosła kolację, potem zmyła naczynia. Zanim poszedłem do swojego pokoju, objęła mnie i ucałowała w czoło.

Matka odmówiła, powiedziała, że musi radzić sobie sama — chociaż później często miała prosić Idę, żeby została.

Odprowadziła je do końca drogi — ich głosy cichły w mroku. Nastąpiła cisza i wtedy ujrzałem ojca w głębi trawnika — *Czego ode mnie chcesz?* Potem zobaczyłem Annę, obejmującą nogami moje biodra, i Stefana, popychającego mnie na ziemię i podnoszącego pięść. Nasze pokrzykiwania przy wodospadzie, gdy skakaliśmy do wody, w miejscu, w które ojciec zabrał dziewczynę — chociaż tego jeszcze nie wiedziałem.

Matka wróciła i zamknęła drzwi na klucz. Usłyszałem, jak wzdycha, otwierając szafkę, potem jakiś łoskot — coś rozbiło się na podłodze — i jej krzyk: — Ale dlaczego?

Zbiegłem do kuchni: wpatrywała się w rozbity talerz. Zebrała kilka skorup i wrzuciła je do kosza na śmieci.

— Nie chciałam krzyczeć. Zbudziłam cię?

— Nie spałem.

— W każdym razie nie chciałam.

— Nic nie szkodzi. Wracam do pokoju.

— Usiądź na chwilę — powiedziała i usiedliśmy oboje.

— O co chodzi? — spytałem szorstko, ale nie zwróciła na to uwagi albo nie uznała za istotne.

— Kiedyś powiedziałam ci, że nie powinieneś czuć się rozczarowany.

— No więc?

W tamtej chwili nic nie mogło mnie pocieszyć.

— No więc myślę, że to może zmienić twoje życie. Jeśli nie będziesz się czuł rozczarowany. Może nie teraz. Jednak musisz myśleć o jednej rzeczy.

Odwróciła się w stronę drzwi, a potem popatrzyła na mnie uważnie.

— Rozczarowanie przywiązuje cię do niewłaściwych rzeczy — powiedziała. Ludzie oczekują, że kiedy sprawy źle się ułożą, rzucisz wszystko. Toteż...

Wstała, otworzyła drzwi i zapaliła światło na ganku, jak gdyby ojciec był gdzieś na

dworze. Wpatrywała się przez chwilę w ciemność.

— Zawsze go kochałam. Nie pamiętam nawet czasów, kiedy było inaczej. To właśnie powinno łączyć cię z ludźmi, Elia. Miłość. Dobro. Cała reszta, to, na co naszym zdaniem zasługujemy, najczęściej nie ma wielkiego znaczenia.

Wykonała gest, jak gdyby kogoś pozdrawiała.

— Przemyślałam sobie pewne rzeczy, wiesz? Nie wiem, dlaczego wydawały mi się ważne. Teraz są bez znaczenia. Musisz sobie teraz stworzyć własne życie. Ja muszę zostać tutaj.

Zostawiłem matkę, która wyobrażała go sobie w mroku i przemawiała do niego łagodnie, w milczeniu, odsunawszy na bok straszne rzeczy, które zrobił.

Kiedy się zbudziłem, znowu padał deszcz.

Włożyłem dzinsy i koszulkę, pobrudzone ziemią i trawą, poszedłem do łazienki, a potem do kuchni.

Ida siedziała przy stole. Simona wpatrywała się w krople deszczu spływające po szybach. Dziesiąta rano.

— Twoja matka dopiero co się położyła — powiedziała Ida. — Śpi. Co chcesz na śniadanie?

Odpowiedziałem, że nie jestem głodny.

— Może chociaż kawę z mlekiem?

— Kawę chętnie.

Przyglądałem się jej, jak porusza się sprawnie między lodówką a zlewem, praktyczna i racjonalna pośród tej katastrofy.

— Cześć — rzuciłem do Simony, a wtedy ona podeszła do mnie i zrobiła coś, co mnie zaskoczyło: wzięła mnie za rękę, wykrzywiła usta i zmarszczyła brwi, jak gdyby odczuwała smutek, którego nie umiała wyrazić.

— Ej — powiedziałem. — Dziękuję.

Cofnęła się, ale nie spuszczała ze mnie wzroku.

Ida postawiła kubek na stole.

— Odwagi.

W tej samej chwili zawołała ją moja matka.

— Zaraz wrócę.

Wypiłem kawę, a Simona dalej mi się przyglądała.

— Niezły pasztet, co, Tex? — powiedziałem, naśladowując głos Stefana. —

Naprawdę niezły pasztet. — Potem wyszedłem na dwór, na rześkie, wilgotne powietrze. Na ganku paliło się jeszcze światło. Kwaśna ślina podeszła mi do gardła, kiedy schodziłem na podwórko. Dotarłem do skrzynki pocztowej. Dokąd mogłem pójść? Byłem przemoczony i zziębnięty, płakałem.

Przestań, powiedziałem do siebie.

Potem ujrzałem samochód zaparkowany na poboczu.

Przednia szyba była zaparowana. Światła zapaliły się i zgasły, wycieraczki odgarnęły wodę, a ja pobiegłem do niej.

Mogę tylko powiedzieć, że tego lata miałem szesnaście lat, a ona trzydzieści sześć. Że mój ojciec porwał dziewczynę i został aresztowany. Że mój jedyny przyjaciel nakrył mnie w łóżku ze swoją matką. Że Anny nie powinno tam być i że długi czas milczeliśmy. Że w pewnej chwili wzięła mnie za rękę i wtedy zapytałem: — Czy Stefano wie, że tu przyjechałaś? — a ona potrząsnęła głową. Że nawrzeszczał na nią poprzedniego dnia, wyszedł z domu, trzasnąwszy drzwiami, a kiedy wróciła, był zamknięty w swoim pokoju. Że nie zjadł kolacji. Że wzięła samochód tylko po to, żeby się uspokoić, ale potem przyjechała tu, na wzgórze. Że chciała zawrócić, ale została.

— Powinnam była to zrobić — powiedziała.

Lewą rękę trzymała na kierownicy, jak gdyby właśnie miała ruszać. — Jak się czuje? — spytała.

— Rozmawiałem z nim wczoraj przez telefon.

— Miałam na myśli twoją matkę.

Wzruszyłem ramionami.

— Dokąd szedłeś?

— Nie wiem — odparłem.

Uśmiechnęła się, puściła moją rękę i zabębniła palcami w udo. Schyliłem się i położyłem głowę na jej kolanach.

— Nikt nie jest taki sam, jak inni, Elia. Twój ojciec jest tylko sobą. — Przesunęła palcem po krawędzi mojego ucha. — Czasami był taki smutny, mówiłam ci. Jak gdyby zamknął się w swoim świecie i nie umiał się z niego wydostać. Myślę, że pewnego dnia uratowałam mu życie.

Nie przestając mnie pieścić, opowiedziała mi o wodospadach, o tym, jak ojciec wskoczył do wody i nie wynurzał się na powierzchnię.

— Nikomu o tym nie mówiłam. Teraz wiesz ty. Może nie powinnam była, ale taka jest prawda.

Deszcz spływał po szybach samochodu.

— Jestem pewna, że od tego dnia robił, co mógł, żeby się temu nie poddać, żeby zostać z wami.

— Gównu mnie to obchodzi — powiedziałem.

— To nieprawda. Właśnie dlatego to tak boli.

Pochyliła się i pocałowała mnie w policzek. — To było cudowne — szepnęła.

— Co?

— Wczoraj.

Na moment pomyślałem o szczęściu. Pomyślałem o rzece i zakładach, o wystygłych kominach fabrycznych i skarpie, o plaży i wodospadach, i wydało mi się, że nigdy nie przyjrzałem im się naprawdę uważnie. Porzucone miejsca, od lat moknące w deszczu.

— Chcę tu z tobą zostać — powiedziałem.

Wyciągnęła rękę w stronę deski rozdzielczej i zapaliła silnik.

— To było cudowne. — Poruszyła nogami, jak gdybym był ciężarem, od którego musi się uwolnić. — Wracaj do matki.

Wysiadłem z auta i patrzyłem na nią, stojąc w deszczu, gdy zawracała samochód i oddalała się szosą.

XVI

Wyobraziłem sobie to wszystko — ojca i dziewczynę, to, co sobie powiedzieli, to, co on powiedział i pomyślał. Co mu się zdawało, że widzi. Bo historia mojego ojca jest po części również moją historią. A także historią mojej matki, prawie całą. Ale to, co się stało, kiedy dziewczyna zdołała się podnieść i chwiejnie oddaliła się w mrok, to, co zrobił mój ojciec, jest najtrudniejsze do wyobrażenia.

O mężczyźnie na ścieżce dowiedziałem się od matki. Opowiedział jej o nim ojciec, kiedy odwiedziła go w więzieniu. Wyznał, że spotkał go już wcześniej, wytłumaczył gdzie i kiedy. „Wiesz, że to nieprawda, Ettore”. Ale to, co sobie powiedzieli z tym mężczyzną, kiedy ojciec był w wodzie, to tylko mój sen na jawie, i należy do mnie.

To Ida powiedziała mi, że to się zdarzyło przy wodospadzie. Wspomniała o strumieniu i zalewie — nie znała tego miejsca — a ja od razu zrozumiałem. Puszki po piwie ustawione w rzędzie za drzewem, przypadkiem odkryte przez Stefana.

Przychodzi tu ktoś inny.

Znaleźli nóż: na ostrzu była zaschnięta krew. Znaleźli przyłepiec, latarkę, jej buty i całą resztę. Nawet nie próbował ich ukryć, tak jak nie ukrył torebki.

Rozłożył ramiona przed karabinierami, kiedy stawili się w naszym domu. *Jestem tutaj.* Nie stawiał oporu.

Jestem pewien, że tego właśnie chciał.

Tam na dole

Czasami udawało mi się wyobrazić sobie, że on nie istnieje albo że nie jest moim ojcem. Niekiedy wspominałem pewien grudniowy dzień: odgarnialiśmy śnieg na podwórzu, ojciec położył się na ziemi i zaczął poruszać rękami i nogami, przekonując mnie, że odcisk jego ciała zostanie tam do końca zimy.

— To niemożliwe, tato.

— Zobaczysz.

Tego samego wieczoru zaczął znowu padać śnieg.

Odcisk zniknął.

Siedziałem w swoim pokoju, podczas gdy matka dyskutowała z Idą o tym, co trzeba zrobić, słyszałem, jak wybuchała płaczem albo dzwoniła do adwokata, którego poleciła jej Ida — ona też potem za niego zapłaciła, bo my nie mogliśmy już sobie na to pozwolić.

Po raz ostatni zobaczyłem go na oddziale intensywnej terapii.

Ludzie z jego celi opowiadali, że w pewnej chwili wytrzeszczył oczy, podniósł ręce do piersi i osunął się na ziemię.

Przetransportowano go do szpitala; jego serce się zatrzymało.

Miał trzydzieści siedem lat.

Kilka dni wcześniej rozmawiałem z nim przez telefon. Był rozkojarzony, głos miał chropawy, jakby zaspany. Kaszlał i bełkotał, oddalając słuchawkę do ust.

Kilka razy zapytał: — Kim jesteś?

— To ja, tato.

— Elia?

— Tak.

— Przepraszam, coś mi się pomyliło.

Matka pojechała go odwiedzić w pewną niedzielę — ja jeszcze tego nie zrobiłem — i po powrocie do domu opowiadała, że ojciec źle się czuje, wygląda fatalnie i nie chce jeść: jak mogą trzymać go w więzieniu?

„Wiesz dlaczego”, powiedziałem.

„Nie jestem idiotką. Nie to mam na myśli”.

Sędzia zażądał opinii psychiatrycznej, aby ocenić, czy mój ojciec będzie w stanie znieść proces. Cały czas powtarzał historię o samochodzie i pościgu. Odmawiał opisanego auta i ujawnienia nazwiska człowieka, który za nim jechał. „Naraziłbym was na niebezpieczeństwo”.

— Miałem sen — powiedział mi w pewnej chwili swoim dawnym głosem. — Byliśmy w furgonetce, ty, ja i mama. Wiedziałem, dokąd mam jechać, i wszystko było w porządku. Kiedy się zbudziłem, wszystko wydawało mi się prawdą. Ale jestem tutaj, zamknięty.

— To był tylko sen.

Ojciec westchnął.

— Dla mnie nie ma różnicy.

Popędziliśmy do szpitala, gdy tylko do nas zadzwonili. Niekończąca się podróż, w trakcie której matka powtarzała: „O, Boże”.

Pozwolili nam wejść na kilka minut, w fartuchach i maseczkach. Matka przykucnęła obok maszyny, która przekładała bicie serca na słabe fale światła i dźwięków, opuściła maskę, wyszeptała mu coś do ucha i musnęła wargami jego usta.

Ja nie podszedłem. Stałem daleko od łóżka, wpatrując się w nieruchome ciało ojca pod prześcieradłem i w plecy matki. Powiedziała później, że to była ważna chwila, że jest przekonana, iż ojciec wyczuł naszą obecność w pokoju i siłą woli nakazał swojemu sercu bić jeszcze chwilę, bo nie chciał odchodzić w samotności i pragnął zachować ostatnie wspomnienie osób, które kochał najbardziej na świecie.

Umarł wkrótce potem.

Próbowali go reanimować, bezskutecznie.

Czekaliśmy na korytarzu. Patrzyłem na strażnika więziennego, który przestępował z nogi na nogę.

Matka rozmawiała z lekarzami, trzymając mnie za rękę, i powiedziała, że chce go jeszcze raz zobaczyć.

Kiedy wróciła na korytarz, wydawała się skurczona i poszarzała.

— Już go nie ma.

Wróciliśmy do domu. Patrzyłem na drogę i samochody, na zaciągnięte, niskie niebo. Matka szlochała. Nie byłem w stanie ogarnąć tego, co się zdarzyło, nie wydawało mi się to prawdą. Siedziałem otępiały, przejeżdżając przez nieznaną mi

miasteczka.

Na prostym odcinku drogi matka zjechała na pobocze, zgasiła silnik i wysiadła. Śledziłem ją wzrokiem, gdy się oddalała, w końcu także wysiadłem z samochodu. Powietrze było zimne, u naszych stóp płynął strumień. Ujrzałem plastikowy worek unoszony nurtem wody.

— Daj mi chwilę — powiedziała.

Właśnie wtedy, wpatrując się w wodę, przypomniałem sobie, co ojciec dodał w czasie rozmowy przez telefon, gdy miałem już odwiesić słuchawkę.

— Jesteś tam jeszcze?

— Tak, tato.

— Poszedłeś rzucić okiem?

— Przepraszam, nie rozumiem.

— Tam na dole.

— W jakim sensie tam na dole?

— Nie wolno ci nigdy odpowiadać pytaniem na pytanie.

XVII

Cokolwiek miał zamiar zrobić tej dziewczynie — kiedy zaproponował jej podwiezienie, opowiedział historyjkę o pościgu, zmusił ją do przejścia ścieżki, związał, zakneblował i na koniec kazał położyć się obok niego, gdy był nagi — mój ojciec tego nie zrobił i pozwolił jej uciec.

To właśnie się wydarzyło.

Leżał wyciągnięty na boku, a ona się oddaliła.

Wyobrażałem ją sobie często, jak przedziera się ścieżką przez las, gałęzie biją ją po twarzy, kamienie i korzenie ranią stopy. Jest przerażona, pewna, że ojciec ją dopędzi i użyje noża, ale w końcu dociera do miejsca, w którym stoi zaparkowana furgonetka.

Wyobrażam ją sobie, jak rozgląda się dookoła i zaczyna się wlec, widmowa postać na środku szosy, w stronę tego szczekającego psa, w stronę światła — domu, w którym przyszli jej z pomocą — i to wszystko, co stało się potem, przed świtem i o brzasku.

Wyobrażam też sobie ojca: ubrał się, wrzucił do wody swoje buty i wrócił do furgonetki. Nie napotkał dziewczyny w drodze powrotnej — była już bezpieczna.

Kiedy matka wspomniała mi o torebce, nie przyznałem się do tego, co zrobiłem.

— Dlaczego ją tam położył? Jaki to miało sens? — zapytała, a ja nie odpowiedziałem.

Być może poczułaby ulgę, gdyby wiedziała, że ojciec nie miał z tym nic wspólnego — przynajmniej z tym — że nie próbował jej ukryć, ale nie miałem odwagi powiedzieć jej prawdy.

Prawda (2)

Na pogrzeb, który odbył się w pewien szary, zimny poranek, przyszło niewiele osób. Kilku dawnych kolegów z zakładów, murarze i robotnicy z placu budowy, Ida i Simona, dwie znajome matki z biblioteki. W głębi kościoła siedział samotnie w ławce Santo Trabui, w garniturze i białej koszuli, zapiętej na ostatni guzik. Gdy tylko ceremonia się skończyła, wyszedł.

Na cmentarzu matka chwyciła mnie za łokieć, wskazała na trumnę i wyszeptała: — Popatrz na ojca. — Kiedy wsuwano trumnę do niszy, nogi się pod nią ugięły i Ida musiała ją podtrzymać.

Gdy wróciliśmy do domu, matka znieruchomiała za progiem.

— Bez niego nie wiem, co mam robić — powiedziała.

Ida odprowadziła ją do sypialni, pomogła jej się rozebrać i wróciła do kuchni.

— Usiądź na chwilę — zaczęła mówić o mojej matce, o napięciu, w jakim żyła, kochając ojca i próbując mu pomóc, a jednocześnie chroniąc mnie przed nim.

— Będziesz musiał szybko dorosnąć. Twój ojciec...

— Nienawidzę go — przerwałem jej. — Chciałbym nie być jego synem.

— Wiesz, że tak nie jest. W każdym razie nienawiść ci nie pomoże. Nie pomaga nikomu. Być może właśnie tego musisz się teraz nauczyć.

Kilka lat temu podziękowałem jej za te słowa.

„Próbowałem. Wciąż próbuję”.

Popatrzyła na mnie, stukając palcami po brodzie. „Chyba pamięć mnie zawodzi”.

Miała prawie siedemdziesiąt lat. Powolna i ciężka, wciąż potrafiła zmiażdżyć mnie w uścisku albo wybuchnąć gromkim śmiechem.

I rzeczywiście, także wtedy roześmiała się głośno: „Nie pamiętam, żebym ci kiedyś mówiła coś takiego”.

Wymazała to z pamięci i zajęła się sobą. Właściwie to nie było jej życie, ale moje i mojej rodziny, i było to moje lato.

Tydzień później wróciłem do szkoły.

Koledzy mi nie dokuczali, ale trzymali się z daleka; niewiele mnie to obchodziło.

Po lekcjach wracałem prosto do domu, mając nadzieję, że po drodze nikt nie zwróci na mnie uwagi. Na syna Ettore Furentiego.

Oddali nam furgonetkę, którą wywieźliśmy na złom.

Za to ubrania ojca pozostały w szafie, płyn do golenia, szczoteczka i brzytwa — w łazience, klamoty — w garażu.

Ida zatrudniła nową dziewczynę.

Matka wróciła do pracy w bibliotece.

Wieczorami siadaliśmy przy stole — matka wpatrywała się w puste miejsce ojca, tarmosząc w rękach serwetkę i nie tykając jedzenia. Nie wiedzieliśmy, o czym rozmawiać. Oglądaliśmy telewizję — matka skulona na kanapie, ja na podłodze. W sobotę jechałem z nią do miasteczka i robiliśmy zakupy, chociaż posiłki najczęściej i tak gotowała Ida.

Telefon wciąż jeszcze dzwonił: pewnego dnia ktoś zapytał falsetem, czy jestem synem mężczyzny, który lubił porywać dziewczyny, i czy ja także miałbym na to ochotę. Pewnej niedzieli jakiś typ, którego głos wydał mi się znajomy, powiedział, że to mój ojciec zabił dziecko w kopalni.

— Co za szczęście, że zdechł — dodał, zanim odłożył słuchawkę.

Kiedy wróciłem do salonu, matka wpatrywała się w podłogę. — Kto to był? — spytała.

— Nikt.

Zrobiła mi miejsce obok siebie.

— A jeśli naprawdę to zrobił?

— Co?

— Wiesz co.

— Popatrz na mnie, Elia. Nie powinieneś ich słuchać, cokolwiek mówią. Jeśli o tym myślisz, przestań, bo to nieprawda. Niczego nie musisz się wstydzić.

Następnego dnia zebrałem swoje komiksy, zaniósłem je na podwórze, zrobiłem z nich stos i spaliłem wszystkie, patrząc na dym rozpraszający się w zimnym jesiennym powietrzu. — *To wszystko pierdoły, Tex.* Wróciłem do pokoju, zerwałem ze ściany fotografię dziecka i wrzuciłem w płomienie.

Nadeszła zima i zaczął padać śnieg.

Matka zachorowała. Miała wysoką gorączkę, wymiotowała. Postawiła miednicę na szafce, naciągnęła na siebie kołdrę i zawołała mnie.

— Musisz pójść do apteki. Kup mi aspirynę — powiedziała i zboląła przekręciła się na bok.

Zobaczyłem ją, gdy wychodziłem z apteki — do tej pory się to nie zdarzyło i tego się właśnie obawiałem. Nie zauważyła mnie od razu. Przeszła przez ulicę i przeskoczyła zwał brudnego śniegu. Pomyślałem o jej bosych nogach na ścieżce. Nosiła teraz krótkie włosy, miała wychudzoną twarz i wyostrzone rysy. Kiedy znaleźliśmy się naprzeciwko siebie, podniosła głowę i popatrzyła na mnie.

— Cześć — powiedziałem.

— Cześć — przygryzła usta.

— Jak leci?

Co za kretyńskie pytanie.

Uniosła brwi. — A u ciebie?

— W porządku.

— To dobrze.

Przesunęła ręką po włosach, jak gdyby chciała je rozczesać, gest, który wciąż pamiętałem, który nie zmienił się po tamtej nocy z moim ojcem, i ujrzałem ją znowu, jak wysiada z autobusu, sapiąc i ziewając, i w ogrodzie za domem Idy, opalającą się w staniu — rozdarcie nie do zacerowania.

Odwróciła wzrok.

— Chciałem tylko... — zacząłem.

Potrząsnęła głową. — Pozwól mi przejść.

— Przepraszam — powiedziałem i odsunąłem się na bok.

Było to któregoś ranka w styczniu — błękitne niebo, na podjeździe leżał śnieg. Szkoła jeszcze się nie zaczęła.

Siedliśmy z matką do śniadania.

— Muszę z tobą porozmawiać.

Podniosła wzrok i wzięła głęboki oddech.

— Musimy uporządkować dom. Rzeczy ojca. Każdego dnia otwieram szafę i widzę jego ubrania. Nie mogę tego znieść, rozumiesz? Nie jestem w stanie.

— Okej.

— Muszę to zrobić.

— Rozumiem.

— Potrzebuję twojej pomocy.

Skończyła śniadanie i poszła się przebrać. Dołączyłem do niej po kilku minutach. Wskazała mi szafę.

— Możemy je zawieźć do parafii — odezwała się.

— W porządku.

— Buty też. Zostaw sobie coś na pamiątkę.

Zaczęła bezgłośnie płakać.

Popatrzyłem na ubrania ojca; nie myśląc wiele, wziąłem jakiś sweter i koszulę. Resztę rzeczy wsadziłem do worków. Matka wyrzuciła poźółką bieliznę i kilka starych piżam, potem zdjęła z wieszaka kurtkę.

— Ta zostanie ze mną — powiedziała i włożyła ją na siebie.

Zeszliśmy do garażu i rozejrzeliśmy się wokoło.

— Co z nią zrobimy? — spytała, dotykając zniszczonej tapicerki na oparciu kanapy.

— Wyrzucimy ją — zaproponowałem.

Jakoś dotargaliśmy ją do szosy i zostawiliśmy obok koszy na śmieci. Matka, opatulona w kurtkę ojca, cofnęła się o krok i po raz ostatni spojrzała na kanapę.

W drodze powrotnej wzięła mnie pod ramię. Pobladła, szła z trudem. Śnieżne zasy błyszczały w słońcu.

— Rzuć okiem na narzędzia. Zdecyduj, co z nimi zrobić. Zatrzymajmy piecyk, chcę go postawić obok łóżka.

— Zajmę się tym — zapewniłem.

Kiedy zostałem sam w garażu, odniosłem wrażenie, że ojciec stoi w półmroku i patrzy na mnie.

Usłyszałem, jak mruczy: *Wszędzie szukali. Teraz twoja kolej.*

— Zostaw mnie w spokoju — odpowiedziałem.

Pod małym okienkiem znajdowała się umywalka: podszedłem do niej, żeby napić się wody i obmyć twarz.

Szafka pod umywalką. Nie miałem pojęcia, co w niej może być. Otworzyłem: stos gazet, rękawiczka bez pary i worek z solą drogową, którą ojciec wysypywał na podjeździe. Odłożyłem gazety na podłogę, żeby je później wyrzucić, ukląknęm, wziąłem jedną i przekartkowałem. Wtedy coś z niej wypadło: paczka owinięta w pierwszą stronę „Echa Doliny”, porządnie obwiązana sznurkiem. Po lewej stronie u góry ojciec napisał czarnym flamastrem: JA.

Znalazłem nożyczki i rozwinąłem paczkę. To, co ujrzałem, pozbawiło mnie tchu: kartka wyrwana z zeszytu, na której napisał: PRAWDA, i dwadzieścia jeden listów w zaklejonych kopertach, wszystkie zaadresowane, z naklejonymi znaczkami. Listy, o których myślałem, że je wysłał. Historia spisków, które chciał zdemaskować.

Cały czas leżały w garażu.

Nigdy nie dotarły do adresatów.

Matka zawołała: — Elia? Wszystko w porządku?

Popatrzyłem na zimowe światło za drzwiami garażu, na przejrzyste niebo i śnieg. Wtedy mi się przypomniało.

Poszedłeś rzucić okiem?

Gdzie?

Tam na dole.

Kiedy pokazałem matce listy, wybuchnęła płaczem.

Płakała i uśmiechała się na zmianę, powtarzając: — No widzisz?

Odsunęła krzesło, usiadła i rozrzuciła listy na stole; muskała je, jak gdyby były ciałem mojego ojca. Potem posłała mnie po pudełko, w którym trzymała drobne pamiątki, medalion po babci i stare zdjęcia.

Włożyła listy do pudełka.

— Nie chcę ich otwierać — powiedziała. I nigdy tego nie zrobiła.

Życie

Stefano rzucił szkołę, tak jak zapowiedział.

Pewnego dnia matka pojechała zatankować samochód i ujrzała, jak *ten chłopak* wychodzi z budki z papierosem w ustach, z brudną szmatą wystającą z kieszeni.

— Był sam. Zapytałam go o dziadka, ale nie odpowiedział.

Nie znał jej. Zastanawiałem się, co by zrobił, gdyby się przedstawiła. Powiedziałałby, że przykro mu z powodu mojego ojca? Zapytałby, jak się mam?

Nie sądzę. To nie było w jego stylu.

Wrócili do Turynu pod koniec lutego.

Przed ich wyjazdem poszedłem na stację benzynową, ale zatrzymałem się przy budce telefonicznej. — *Nie pokazuj się tu więcej.*

Anna stała w oknie: popatrzyła w moją stronę, wychyliła się, pomachała mi ręką i zamknęła okno.

Nigdy więcej nie poszedłem do wodospadów.

Zdałem do następnej klasy, mimo że nawet nie otworzyłem podręcznika.

W któryś czerwcowy wieczór powiedziałem matce, że idę na urodziny kolegi, ale w rzeczywistości poszedłem do restauracji „Myśliwy”, pustej i ciemnej, usiadłem na krawężniku na parkingu i wpatrywałem się w firanki w oknach.

Nie wiem, jak długo tam siedziałem. W końcu podniosłem kamień, zamachnąłem się, wycelowałem w szybę i cisnąłem nim: szyba pękła.

Rzuciłem się do ucieczki.

Kiedy wróciłem do domu, matka leżała na kanapie przy zgaszonym świetle.

— Już wróciłeś? — spytała.

— Idę spać. Jestem zmęczony.

W lecie sytuacja się pogorszyła.

Chodziłem na plażę, ale siedziałem z daleka od wszystkich, nie zdejmując ubrania, patrząc, jak inni się kąpią, opalają, śmieją i całują. Kiedy ktoś się do mnie odzywał — nie zdarzało się to często — odpowiadałem półsłówkami.

Dałem się pobić wielkiemu, starszemu chłopakowi, który właśnie skończył szkołę. Sprowokowałem go. Skrzywił się i powiedział: — Jesteś taki sam, jak twój ojciec.

Rzuciłem się na niego z zaciśniętymi pięściami, ale przewrócił mnie na kamienie i walnął w twarz.

— Nie zwracaj mi dupy! — ryknął.

Powiedziałem matce, że to była moja wina.

— To nieprawda — odpowiedziała, przykładając mi lód do ust. To nie była twoja wina. To nie była wina ojca. To nie była niczyja wina. Powtarzała to latami.

Pewnego ranka wróciłem na stację benzynową.

Santo Trabuo siedział w swojej budce z głową opuszczoną na piersi. Wyglądał, jakby spał. Powietrze było gorące, nieruchome. Otworzył powieki i spojrzał na mnie.

— Wejdz. Chcesz papierosa?

Podał mi paczkę. Podeszedłem i wziąłem papierosa.

— Czego tu szukasz? — spytał.

Jak miałem mu to powiedzieć?

Zapatrzył się w żarzący się koniuszek papierosa, przytaknął, jak gdybym zadał mu to pytanie, i powiedział: — U nich wszystko w porządku. Rozmawiamy przez telefon.

Potał szorstkie policzki. Zaczął kaszleć i podniósł do ust chusteczkę; zgasił papierosa w popielniczce pełnej petów. Ja też zgasilem swojego.

— Nie chciałem panu przeszkadzać — odezwałem się, szykując się do wyjścia.

— Elia?

Wpatrywał się w jakiś punkt za moimi plecami, za dystrybutorami benzyny, szosą i zachwaszczonym polem. Zobaczyłem krew na białym materiale chusteczki.

— Pyta o ciebie — powiedział. — Zawsze chce wiedzieć, co u ciebie słychać.

— Kto?

Milczał przez chwilę.

— Przecież wiesz — odparł i dodał: — Musisz być silny.

Nie zostało mu wiele czasu — umarł sześć miesięcy później.

Oddalając się, popatrzyłem na pusty dom i znowu ujrzałem Annę, jak nucąc, rozwiesza pranie, i Stefana siedzącego na murku w prażącym słońcu i gorącym wietrze.

Ja wyjechałem w 1982 roku.

Po skończeniu szkoły pracowałem jakiś czas w fabryce mebli; wieczorem wracałem

do domu, gdzie zawsze czekała na mnie matka. Mówiła często o ojcu, przywoływała zabawne wspomnienia i wydarzenia. Utyła, jej oczy zamgłyły się za szklami okularów.

„Brakuje mi go”, powtarzała.

Udawałem, że jej słucham, ale tak naprawdę nie słuchałem. Matka kiwała głową i uśmiechała się. Wiedziała równie dobrze jak ja, że chcę wyjechać i że nie mam wyboru.

Potem znalazłem pracę w zakładzie produkującym żaluzje, półtorej godziny drogi samochodem od Ponte. Praca jak każda inna, małe miasteczko jak każde inne. Rzeka i lasy. Inna dolina. Odpowiadało mi to.

Nadal tu pracuję. I mieszkam.

Nigdy się nie ożeniłem i nie mam dzieci. Żyję jednak w związku z kobietą: jest rozwódką, pracuje w księgowości i ma dziesięcioletniego syna, inteligentnego i myślącego chłopca. W weekendy śpią u mnie, a ja wtedy czuwam w ciemności, nasłuchując jej oddechu, lekkiego i regularnego, i skrzypienia łóżka polowego w pokoiku obok. Czasami chłopcu śni się jakiś koszmar, wtedy wstajemy, ona kładzie się obok niego, nie całkiem rozbudzona, szepcze: „Już dobrze”, i tuli go w ramionach.

Zatrzymuję się na progu — czuję ich bliskość i ciepło — a potem idę do kuchni i wypalam papierosa.

Opowiedziałem jej o ojcu, o Annie i jej synu, o tamtym lecie. Tylko ona o tym wie.

— Jestem do ciebie przywiązana — mówi.

— Ja też.

— Tak naprawdę to cię kocham.

— Ja też.

— Nie masz zamiaru uciec, prawda? — pyta.

— Jak się domyśliłaś? Widziałaś walizki?

— Nie żartuj sobie ze mnie.

— Dokąd się wybieram, twoim zdaniem?

Dokąd mógłbym odejść?

Rzadko wracam do Ponte.

Rozmawiamy z matką przez telefon: pyta mnie o chłopca — bardzo go lubi i uważa, że jest do mnie podobny — i kiedy przyjadę ją odwiedzić.

— U ciebie wszystko w porządku, skarbie?

— Oczywiście.

— Pozdrawiają cię Ida i Simona.

— Przekaż im ode mnie pozdrowienia.

Lubię ten dom i swój pusty ogród. Z okna mojej sypialni widać rzekę. Lubię czytać — powieści, tak jak matka. Lubię czuwać do późna, siedząc na leżaku pośrodku trawnika, kiedy jest gorąco i w środku nie da się oddychać. Piję zimne piwo. Lubię słuchać śpiewu ptaków przed świtem. Czasami o brzasku, po bezsennej nocy, patrzę na wnętrze swojej lewej dłoni, szorstkie i pokryte odciskami, jak gdybym mógł z niego wyczytać to, co Anna zapowiedziała mi pewnego dnia — swoje szczęśliwe życie. Niczym drogę, którą miałem, jej zdaniem, podążyć i przemierzyć ją aż do końca, popychany wiatrem tego odległego lata.

Nie jesteś szczęśliwy?

Kto to wie.

Myślę, że tak. Jesteśmy tylko ludźmi, Elia.

Długo zadawałem sobie pytanie, jaka jest prawda, ale nie znam odpowiedzi.

Ojciec, który uśmiecha się, zanim zniknie.

Być może pragnął tylko, żeby pewnego dnia ktoś — ja — rzucił na niego snop światła, zobaczył go takiego, jakim był naprawdę, i pozwolił mu odejść, tam gdzie musiał odejść.

Mam nadzieję, że to zrobiłem.

Wszyscy byśmy tego chcieli.

Są też twoje wspomnienia, wyobrażenia i sny, twoje upiory. To, czego nikomu nie możesz wyznać. Kiedy oni śpią, w środku nocy, do kuchni, nucąc cicho, wchodzi Anna w golfiku i sandałach, a Stefano siada na stole, kiwa do mnie głową i pyta: jak leci, Tex?

Nic się nie zmieniliście, mówię. Chciałem wam podziękować — ale oni nie odpowiadają.

Patrzę na nich, kończąc papierosa, a potem wracam do łóżka i napotykam ojca przechodzącego przez korytarz. Pojawia się w drzwiach, rozgląda dookoła w półmroku pokoju, a potem siada obok mnie.

— Czego jeszcze chcesz? — pytam.

Mam dopiero szesnaście lat. Jest lato. Dom, w którym mieszkaliśmy.

— Wstawaj — odpowiada. Drżą mu ręce. — Chodź ze mną.

— Dokąd?

— Zobaczysz.

— Dlaczego to zrobiłeś?

— Tak jakoś wyszło.

— To byłeś ty? Chodzi mi o tego chłopca.

— Co to za pytania?

— Nie odpowiada się pytaniem na pytanie. Sam mnie tego uczyłeś.

Ojciec się uśmiecha. — To prawda.

— No, to powiedz mi.

— To nie ja.

Wieje wiatr — w mojej głowie nigdy nie przestał wiać, nawet na chwilę. Biorę ojca za ręce i ściskam je: są cienkie i zimne, są dłońmi mojego ojca. Chcę, żeby przestały drżeć. To jeszcze młody mężczyzna i jest tylko cieniem na drodze czy w furgonetce, odciskiem ciała na śniegu. Zadaję sobie pytanie, czy nie jest tak, że nigdy nie był niczym więcej — być może zdawał sobie z tego sprawę i nie mógł tego znieść. Przynajmniej pod koniec.

Wysuwa dłonie z moich dłoni.

— Co z matką? — pyta.

— Wszystko w porządku.

— Na pewno nie chcesz ze mną pójść?

— Nie mogę, przepraszam.

— Gniewasz się na mnie?

— Już nie. Chyba nie.

— Jednak czasami umiałem cię rozśmieszyć — mówi.

— Tak, czasami.

— Nie zapomnij o tym.

— Nie zapomnę.

— Na pewno?

— Tak. Idź już spać.

Wtedy wstaje powoli.

— Dobranoc — mówi. — Niebawem się zobaczymy.

Patrę za nim, jak znika w ciemnościach. Zaciskam dłonie na prześcieradle, jak gdyby to mogło mi wystarczyć. Czekam, aż ona wróci do łóżka i wyciągnie się obok mnie. Drobne rzeczy. Jej oddech, wraz ze świstem wiatru, który tylko ja jestem

w stanie usłyszeć. Melodia płynącej w oddali rzeki. Zapach nocy. Dobro, które mimo wszystko dajemy i otrzymujemy. Szczęśliwe życie. Życie, które pozostaje, tylko to jedno, którego nie można zmarnować.